(834)
Rok XVI 44

PLASTYKA
PLASTYKA
PLASTYKA
PLASTYKA

Ten straszny, przyszły świat

# ODGŁOSY

ŁÓDŹ 1 LISTOPADA 1973 R. TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA: 3 ZŁ.

## W WASZE RĘCE

Jak zapowiadaliśmy w ubiegłym numerze, oddajemy w Wasze ręce pierwszy numer „nowych" „ODGŁOSÓW". Większy format, zwiększona objętość: będziemy na przemian wydawać numery 12 i 16 kolumnowe. W sumie objętość naszego tygodnika zwiększy się około 50 procent.

Jak do tego doszło? Na obecną, niewątpliwie korzystniejszą sytuację naszego tygodnika złożyło się wiele przyczyn. Wynikają one ze zmian w polityce kulturalnej partii, nadającym środkom masowej informacji wyższą rangę. Wiążą się także z ogólnym rozwojem krajowej, a zwłaszcza łódzkiej bazy poligraficznej, zwiększoną produkcją papieru itd. Dodajmy jeszcze nieskromnie, że nowe możliwości to także efekt aktywności redakcji i większej niż w przeszłości obecności „ODGŁOSÓW" na rynku czytelniczym. (W ostatnim roku nakład naszego tygodnika wzrósł o około 20 proc.)

Trzeba jednak odpowiedzieć na zasadnicze pytanie: jak chcemy te nowe możliwości wykorzystać? By jak najlepiej wywiązać się z odpowiedzialnej roli tygodnika społeczno-kulturalnego dla czytelników [illegible] i województwa łódzkiego. I mieć [illegible] z wykonywanej pracy. Umówmy się, że odpowiedzią będą następne, kolejne

(Dalszy ciąg na str. 2)

Fot. Zb. Hałatek

TADEUSZ MICHALSKI

## RAPORT Z PERYFERII

**– Kochasz swoją mamusię?**
**– Nie, proszę pana.**
**– A tatusia?**
**– Tak.**
**– Dlaczego?**
**– Bo, proszę pana, tatuś kupił mi kiedyś ciastko z kremem.**

**Stoi przede mną czteroletnia dziewczynka. Przyprowadziły ją do biura dobre sąsiadki. Proszą o przyjęcie do sierocińca. Ojciec odsiaduje kolejną karę więzienia. Matka zostawiła „na chwilę" Kasię u sąsiadek. Chwila przeciągnęła się w tydzień – „poszła w Polskę".**

— Opiekowałyśmy się nią — mówi nieśmiało starsza kobieta — dawałyśmy jeść, ale pan rozumie, mamy własne dzieci, dłużej nie możemy. Trzeba coś poradzić

Biorę dziecko na kolana i słucham. Kobiety opowiadają:

— Najgorzej było w nocy. Pijaństwo i łajdactwo. Jak zabrakło czystej, na stół wędrował „błękit Paryża".

— „Błękit Paryża"?

— Nie wie pan? No, denaturat.

Dziecko wyrzucano wówczas na korytarz. Niekiedy spało tam do rana, czasem litościwi ludzie brali do siebie. Ileż to razy przyjeżdżała milicja, uspokajając nocne burdy. Zabierano wówczas na komendę wesołych gości. Przy tej okazji — w obecności władzy — wzbierała matczyna miłość do dziecka, jedynego, najukochańszego, którego nie odda nikomu.

Potem wracały „normalne" dni i noce, tygodnie i miesiące...

Drobnymi rączkami dziecko kurczowo trzyma się mojej szyi.

— Powiedz Kasiu, wrócisz do mamy? Mama musiała na kilka dni wyjechać i załatwić ważną sprawę. Ale niedługo przyjedzie.

(Dalszy ciąg na str. 5)

## RETKINIA

W granicach Łodzi, w zachodniej części miasta powstaje wielkie osiedle: **RETKINIA**. Będzie tu już w 1978 roku mieszkać około 80 tys. osób. Będzie to nowe miasto, wielkości niejednego miasta powiatowego, które powstaje na rolniczych terenach Łodzi. O sprawach Retkini z 1973 roku piszą:

**ANDRZEJ MAKOWIECKI – „Przetarg na rozbiórkę wsi".**

**HENRYK WARECKI – „Miasto spółdzielcze".**

KONRAD FREJDLICH

## DUSICIEL powiatowy

**Wyglądało to na sprawę tuzinkową, jakich tysiące odnotowały repertoria sądowe. W drugim dniu świąt Wielkanocnych 12 marca 1971 r. w jednym z mieszkań przy ulicy Abramowskiego pobito kobietę. Tak przynajmniej twierdziła zalękniona, dwunastoletnia dziewczynka, córka pokrzywdzonej.**

Tego dnia matkę odwiedził jakiś nieznajomy mężczyzna: słyszała jego głos w kuchni, kiedy przyszła prosić o herbatę. Nie doczekała się na nią i usnęła. Nad ranem obudziło ją charczenie matki. Zobaczyła wtedy

(Dalszy ciąg na str. 10)

RYSZARD BINKOWSKI

## POCHÓWEK DLA HAŁABURDY

(CZYLI RELIKTY PRZESZŁOŚCI)

**Przez rzadkie, łagodne pagórki wału morenowego czołga się przedwieczorna mgła. W tym bezleśnym pejzażu dobrze widoczna wieżyczka jednonawowego, klasycystycznego kościółka. Kościółek jest z 1830 roku, kamienna kropielnica z końca XV wieku. Ale nawet woda święcona nie wygnała złego ducha z MAZEWA.**

(Dalszy ciąg na str. 4)

# W WASZE RĘCE

Dalszy ciąg ze str. 1

numery „ODGŁOSÓW". Niech one, a nie deklaracje, będą odpowiedzią naszego zespołu redakcyjnego, naszych Współpracowników i samych Czytelników, którzy także swoimi opiniami pomagają nam redagować pismo.

Zostawiamy więc sprawę otwartą, jak otwarta jest formuła naszego tygodnika: spełnić swój obowiązek wobec współczesności. A mówiąc dokładniej: sprostać naszym czasom, jakże pięknym, jak piękny może być trud tworzenia, ale niełatwym. Nie tylko robotnicy, inżynierowie, organizatorzy pracy, ale i my działający w sferze kultury, współtworzący nadbudowę naszego systemu społecznego, a więc wszyscy musimy, a także świadomie chcemy zwielokrotnić swój wysiłek. Innej możliwości nie ma i być nie może, jeśli jak najszybciej chcemy zmaterializować wizję naszej socjalistycznej Ojczyzny, tę wizję, którą wszyscy mamy wpisaną w mózgi i serca.

ODGŁOSY

**W czasie obrad I Krajowej Konferencji Partyjnej odbyło się XI plenarne posiedzenie KC PZPR. Plenum zatwierdziło rezolucję w sprawie dotychczasowych wyników i zadań partii w realizacji programu VI Zjazdu PZPR, jaką uchwaliła I Krajowa Konferencja. Wytyczne te stały się dokumentem partyjnym wskazującym nam wszystkim kierunki naszej dalszej działalności.**

# NASZ DOROBEK

Zamykając obrady I sekretarz KC PZPR — EDWARD GIEREK powiedział m.in.:

Wysłuchaliśmy tu pierwszych sekretarzy Komitetów Wojewódzkich partii. Można stwierdzić, że wszystkie wojewódzkie organizacje partyjne miały z czym przyjść na I Krajową Konferencję. Za ten wielki i cenny dorobek w realizacji programu VI Zjazdu przekażcie, towarzysze delegaci, podziękowanie i uznanie wszystkim ludziom pracy, wszystkim członkom partii.

W plenarnej dyskusji głos zabierali też pierwsi sekretarze łódzkiej i wojewódzkiej organizacji partyjnej: Bolesław Koperski i Zbigniew Zieliński.

BOLESŁAW KOPERSKI powiedział m.in.:

W ogólnonarodowym dorobku dwóch i pół lat mieści się także niemały wkład ludzi pracy robotniczej Łodzi. Szczególnie cieszy to, że wysiłek łódzkiego robotnika był niezmiernie istotny dla zapewnienia równowagi rynkowej, co miało niemałe znaczenie w związku z tak wysokim wzrostem płac realnych ludności. O wysiłku tym świadczy podjęta na apel partii dodatkowa produkcja w ramach banku „30 miliardów". W ciągu trzech kwartałów osiągnęła ona wartość 1 miliarda 318 milionów złotych, co stanowi już ponad 96 proc. zobowiązań zadeklarowanych przez nasze załogi.

Ich rzetelna praca pozwala już dzisiaj twierdzić, że łódzki przemysł osiągnie w przyszłym roku taką wartość produkcji, jaką zakładano na ostatni rok 5-latki. Oznacza to, że przekroczy on swoje pierwotne plany o około 15 miliardów złotych, przy czym blisko 7 miliardów przypada na towary, przeznaczone bezpośrednio na rynek krajowy. (...)

W ostatnim czasie przekazaliśmy do użytku szereg dużych i ważnych zakładów przemysłowych, przy czym dobrą łódzką tradycją stało się to, że załogi uruchamiają w nich produkcję o wiele wcześniej niż planowano, bowiem zanim budowlani w całości oddadzą nowy obiekt, już instaluje się w nim maszyny i rozpoczyna produkcję. W ten sposób na przykład przędzalnia czesankowa „Polanii" dała już przędzę dla przemysłu dziewiarskiego wartości ponad 20 milionów złotych, a przecież fabrykę tę przekażemy do eksploatacji 7 listopada. Ponadto, budując nowe zakłady, równocześnie szkolimy i przygotowujemy dla nich niezbędną kadrę o wysokich kwalifikacjach.(...)

Jesteśmy żywotnie zainteresowani w stałym poszerzeniu się tych pozytywnych przeobrażeń w ludzkim rozumowaniu i działaniu, toteż zgodnie z intencją uchwały IX Plenum, problemy pracy z kadrą, doskonalenie polityki kadrowej stanowią przedmiot naszej codziennej troski.(...)

Poszukujemy w gospodarce krajowej rezerw materiałowych. We wszystkich zakładach istnieją programy poprawy gospodarki materiałowej, jednak nie wszędzie konsekwentnie są one realizowane. Ponadto są jeszcze pewne obszary nie do końca spenetrowane. Spójrzmy na przykład na kwestię surowców wtórnych. Nie ma jeszcze u nas systemu ich wykorzystania, co więcej — nie ma także społecznego nawyku ich gromadzenia. A przecież nie jesteśmy krajem zasobnym w surowce. O wadze problemu świadczy fakt, że o wiele bogatsze od nas kraje przywiązują ogromne znaczenie do tej sprawy a wartość produkcji uzyskanej w skali światowej z surowców wtórnych ocenia się na 20—25 miliardów dolarów. Mówię o tym dlatego, że Łódź jest ośrodkiem przemysłu, który zużywa duże ilości surowca importowanego i stąd sprawa ta leży nam szczególnie na sercu. Dążymy do wytworzenia właściwego klimatu wokół tego tak ważnego problemu. (...)

Oszczędność materiałów i wzrost wydajności pracy stanowią dwie podstawowe przesłanki wzrostu dobrobytu. Na obecnym etapie możliwe jest tylko takie postępowanie, które przy właściwej polityce cen zapewnia ciągły wzrost płacy realnej. Dlatego w pełni popieramy zawarte w referacie Komitetu Centralnego propozycje dotyczące rozwiązania tego problemu.(...)

Partia nasza podejmuje z roku na rok coraz trudniejsze i ambitniejsze zadania. Każdy z nas odpowiada za ich wykonanie, każdy więc musi być indywidualnie rozliczany ze swej pracy przez organizacje i instancje partyjne. Dobrze, że zasada ta staje się powszechnym zwyczajem w życiu partyjnym.

Szczególna odpowiedzialność za realizację polityki partii spoczywa na kadrze działaczy społecznych i gospodarczych. Z doświadczeń naszych wynika, że nie wystarczy tylko kierować na odpowiednie odcinki pracy ludzi zaangażowanych, o wysokich kwalifikacjach zawodowych i ideowo-moralnych, ale trzeba także wymagać od nich systematycznego podnoszenia poziomu wiedzy społeczno-politycznej. W przeciwnym wypadku, jak wskazuje praktyka, istnieje niebezpieczeństwo popadania tych ludzi w samouspokojenie, rutynę, minimalizm i niedostrzeganie ogromnych rezerw, jakie tkwią w ludzkich inicjatywach i ambicjach. Przeciwdziałamy temu prowadząc z kadrą indywidualne rozmowy, zwiększając jej udział w szkoleniu partyjnym na Wieczorowym Uniwersytecie Marksizmu-Leninizmu. Po raz pierwszy studiami WUML objęliśmy, tworząc samodzielne grupy, aktyw nauczycielski, dziennikarzy, pracowników rad narodowych i związków zawodowych, młodzież. Przyjęliśmy zasadę szkolenia na WUML nowo przyjmowanych pracowników aparatu partyjnego. W tym systemie szkolenia partyjnego uczestniczy ponad 2 tys. aktywistów.

Program rozwoju Łodzi stał się czynnikiem, który wywołał ożywienie społeczne, rozbudził w ludziach poczucie współodpowiedzialności za dalszy postęp, wyzwolił w nich wiele cennych inicjatyw. Cała Łódź buduje w czynie społecznym 600-hektarowy Park Kultury i Wypoczynku. Na Widzewie rozwinął się ruch podejmowania osobistych zobowiązań przepracowania społecznie na rzecz swego zakładu i miasta 12 godzin w roku. Ruch ten obejmuje inne dzielnice, a na przykład w Zakładach im. Obrońców Pokoju zatrudniających ponad 11 tys. ludzi, zobowiązania takie podjęło już 80 proc. załogi.(...)

ZBIGNIEW ZIELIŃSKI, I sekretarz KW PZPR w Łodzi:

Przemysł nasz dostarcza już dziś 25 proc. krajowej produkcji tkanin wełnianych, 17 proc. tkanin bawełnianych, ponad 60 proc. barwników oraz wiele innych wyrobów przemysłowych, decydujących o tempie zmian w strukturze konsumpcji i odgrywających ważną rolę w utrzymaniu równowagi rynkowej. Produkcja przemysłowa województwa w okresie trzech lat wzrośnie o około 36 proc., co oznacza przekroczenie planowej wartości o 5,5 mld zł.

Nastąpił także szybki, powszechnie odczuwalny wzrost dochodów ludności. W ciągu trzech lat wyniesie on 42 proc., zaś wartość zakupów ludności zwiększy się o 38 proc., a stan oszczędności w PKO i SOP o 85 proc. W związku z tym podejmujemy działania dla zapewnienia dalszego, szybkiego wzrostu produkcji i pełniejszego jej dostosowania do potrzeb rynku, a także na eksport. Zadania w tym zakresie mają znaczenie nie tylko ekonomiczne, ale i polityczne.

W naszych warunkach można to uzyskać przyśpieszając modernizację przemysłu lekkiego, a zwłaszcza wełnianego i bawełnianego oraz skracając cykle inwestowania zakładów, które powinny rozpocząć produkcję w najbliższych dwóch latach.

Dlatego też dążymy do zwiększenia w strukturze inwestycji nakładów na zakup techniki i technologii. W toku konsultacji przed konferencją ten kierunek działania zyskał powszechne poparcie partyjnych organizacji zakładów i przedsiębiorstw.

Podejmujemy również działanie na rzecz dozbrojenia technicznego przedsiębiorstw branży elektro-maszynowej, która w dużej mierze kooperuje z zakładami w innych regionach kraju. Chodzi tu głównie o zakłady wytwarzające wyroby elektryczne i elektroniczne, przy których sprawa nowoczesności ma szczególne znaczenie.

Problemy modernizacji przemysłu wiążemy również z koniecznością poprawy warunków pracy i możliwościami szybszego wzrostu wydajności pracy, który w porównaniu z 1970 rokiem wyniósł 24,4 proc. Stałe podwyższanie wydajności pracy stanowi niezbędny warunek rozwoju produkcji przemysłowej, zwłaszcza że mamy do czynienia z pogłębiającym się w całym regionie, a szczególnie w obrębie aglomeracji łódzkiej, niedoborem siły roboczej.

Zebraliśmy niemało spostrzeżeń i wniosków, które posłużą lepszemu wykorzystaniu zasobów ludzkich, szybszemu wprowadzeniu metod organizacji procesów produkcji, poprawie kierowania i zarządzania. Dlatego równolegle z prowadzeniem właściwej polityki kadrowej, zwłaszcza wobec kierownictw przedsiębiorstw, podejmujemy szerszą działalność szkoleniową i wychowawczą — obejmującą mistrzów, brygadzistów i cały tzw. dozór średni. Poprzez bezpośrednie działanie wśród załóg, kształtujemy postawy zaangażowane, nawyki solidnej i rzetelnej roboty, dyscypliny społecznej. W tym zakresie realizujemy program podnoszenia kultury pracy zatwierdzony przez Plenum KW.

Rozwijamy partyjne działania dla zapewnienia terminowej realizacji inwestycji, skracania czasokresu budowy oraz szybkiego dochodzenia do docelowych zdolności produkcyjnych. W najbliższych latach oddamy do użytku 13 większych zakładów, co zwiększy zdolności produkcyjne naszego przemysłu o 6,7 mld zł rocznie.(...)

Organizacja partyjna województwa łódzkiego w okresie od VI Zjazdu zdobyła wiele cennych doświadczeń w pracy ideowo-politycznej i organizatorskiej. Okrzepły nasze szeregi, odbudowaliśmy i w ofensywnej działalności pogłębiamy więź z całym społeczeństwem efektywnie realizujemy kierowniczą rolę organizacji i instancji partyjnych w poszczególnych zakładach pracy i środowiskach.(...)

Za najważniejsze partyjne zadanie KW uważa wzmożenie tętna pracy ideowo-wychowawczej dla umacniania dyscypliny społecznej i kształtowania postaw obywatelskiej odpowiedzialności. Jesteśmy przeświadczeni, że działalność ta przyniesie znaczną poprawę gospodarności, dyscypliny, ładu i porządku publicznego.

Czeka nas w najbliższym okresie wielka kampania polityczna i organizatorska — wybory do rad narodowych. Wojewódzka organizacja partyjna przygotowuje się do niej, określając plan działania na najbliższe dwa lata w każdym powiecie, zakładzie i środowisku.

Chodzi o to, by rady narodowe w nowej kadencji podjęły działanie z nowym rozmachem i były faktycznym organizatorem pracy na swoim terenie.

W naszym działaniu wewnątrzpartyjnym, jak i w oddziaływaniu na poszczególne organizacje i instytucje, na całe społeczeństwo, wzbogacać będziemy formy pracy podstawowych i oddziałowych organizacji partyjnych. Chcemy, by tętniły one pełnią życia, były prawdziwym forum otwartej i szerokiej krytyki tego wszystkiego co hamuje i przeszkadza w rozwoju.

Mimo to mamy jeszcze słabe ogniwa, a w niektórych środowiskach zwłaszcza na wsi, szeregi nasze nie są zbyt liczne. Realizacja zwiększonych zadań, jakie podejmujemy, w najbliższych dwóch latach wymagać będzie działania na rzecz dalszego umocnienia zwartości szeregów partyjnych i skuteczniejszego oddziaływania członków partii na środowisko.(...)

# NASZ GOŚĆ

*Jan Plater w towarzystwie krakowskich harcerzy przed Pałacem Kultury im. W. Lenina w Alma-Ata.*

*Foto H. Grzęda*

**Redakcję naszą odwiedził przedstawiciel Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Polskiej z Karagandy w Kazachstanie — JAN PLATER. Gość nasz jest potomkiem rodziny Platerów, z której wywodziła się Emilia Plater. Mieszka w Kazachstanie, gdzie żyje przeszło 300 tys. Polaków. Dzięki staraniom Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Polskiej otrzymują oni wiele wydawnictw i czasopism, wychodzących w Polsce. Wśród nich do Karagandy dociera i nasz tygodnik.**

**Towarzystwo Przyjaźni Radziecko-Polskiej, którego czynnym działaczem jest również Jan Plater, ma w Kazachstanie 124 oddziały i liczy około 230 tysięcy członków. Sprawami naszego kraju interesują się nie tylko obywatele radzieccy polskiego pochodzenia, ale również przedstawiciele innych narodowości tej republiki. W bibliotekach prowadzonych przez TPRP znajduje się około 20 tys. polskich książek. Cieszą się one dużym powodzeniem, jak również organizowane wystawy polskiego plakatu, fotografii oraz sztuki ludowej różnych regionów Polski.**

**Towarzystwo Przyjaźni Radziecko-Polskiej w Kazachstanie organizuje liczne konkursy dla młodzieży szkolnej i studentów. Tematem tych konkursów jest wiedza o Polsce Ludowej. Wiele kół TPRP utrzymuje stałe kontakty z kołami TPPR w Polsce. Jan Plater był inicjatorem ciekawej formy kontaktu z Polską. Z okazji licznych akademii poświęconych na przykład rocznicy wyzwolenia Polski, powstania Wojska Polskiego czy wyzwolenia Warszawy przeprowadza się bezpośrednie rozmowy telefoniczne z Polską, którym przysłuchują się wszyscy zgromadzeni na akademii. Rozmowa taka transmitowana jest przez głośniki a uczestnicy akademii przekazują pozdrowienia dla przyjaciół w Polsce.**

**W Karagandzie — jak poinformował nas Jan Plater — jedna z kopalń nosi imię Polski Ludowej, a dwie ulice noszą imiona zasłużonych Polaków: Tadeusza Kościuszki oraz Gustawa Zielińskiego — poety, uczestnika Powstania Listopadowego; zesłanego przez carat na Syberię. W tym roku jeszcze jedna ulica Karagandy otrzyma imię Mikołaja Kopernika.**

**B.M.**

# DOBRY PRZYKŁAD RĘCZNA

Ziemia Łódzka była zawsze i jest bardzo gościnna. Mogli się o tym przekonać uczestnicy społeczno-politycznej imprezy, jaka w dniach 20—21.X. br. odbyła się w Ręcznie pow. Piotrków Trybunalski, a której współorganizatorami były redakcje **„Chłopskiej Drogi", „Głosu Robotniczego"** i **Polskiego Radia w Łodzi.**

W sobotę wieczorem przy ognisku dziennikarze byli przyjmowani przez gospodarzy Ręczna i przedstawicieli władz wojewódzkich, z wiceprzewodniczącym Prezydium WRN w Łodzi. **Wł. Pawlakiem** na czele. W następnym dniu przedstawiciele prasy spotkali się z naczelnikami gmin i przodującymi działaczami wsi województwa łódzkiego. Imprezę uświetnił występ „Wesołego Autobusu", który zaprezentował szerokiej publiczności swój 168 program, tyle bowiem zebrało się ich w ciągu 15 lat działalności tej popularnej w mieście i na wsi audycji radiowej.

Ręczno nie przypadkowo stało się gospodarzem imprezy. Ta stara, zagubiona wśród lasów i pozbawiona dróg dojazdowych wieś, w Polsce Ludowej zmieniła całkowicie swoje oblicze. Pomoc państwa, a przede wszystkim znakomita organizacja czynów społecznych sprawiły, że już w 1949 roku zbudowano tu Wiejski Ośrodek Zdrowia. Dziś rozbudowuje się go, dzięki czemu stanie się on jednym z niewielu, pierwszym w Polsce, wiejskim szpitalem.

Dzięki zaangażowaniu mieszkańców założono we wsi wodociągi, zbudowano aptekę i Wiejski Dom Kultury, w którym mieszczą się biura Urzędu Gminy, poczta, biblioteka, sala widowiskowa (kino „Jutrzenka" z aparaturą do wyświetlania filmów panoramicznych), pomieszczenia dla OSP oraz klubo-kawiarnia.

Również w czynie społecznym zbudowano na terenie gminy 45 km dróg, w tym 22 km o nawierzchni smołowo-asfaltowej. Dzięki temu każda wieś ma dobry dojazd do gminy, istnieje też dobre połączenie autobusowe, m.in. bezpośrednio do Łodzi.

Gospodarze gminy, mając na uwadze piękne położenie wsi, a więc lasy, bliskość Pilicy, postanowili wykorzystać walory turystyczno-rekreacyjne Ręczna. Hotel na 60 miejsc, Dom Myśliwego i prywatne kwatery zapewniają organizację wczasów i obozów dla 3000 osób w sezonie.

Na terenie gminy Ręczno usługi w zakresie mechanizacji rolnictwa prowadzi MBM w Ręcznie, istniejący od 1969 r. oraz trzy kółka rolnicze. Prowadzi się też melioracje łąk i pastwisk.

Ziemia tu biedna, piaszczysta, przeto rolnicy dużą wagę przywiązują do rozwoju hodowli trzody chlewnej. Druga sprawa — co już zaznaczono — to rozwój turystyki i organizacji wczasów. Ręczno w 1972 r. zajęło III miejsce w Polsce za organizowanie wczasów „pod gruszą" i otrzymało nagrodę w wysokości 100 tys. zł.

Tym bardziej więc w tak gospodarnej wsi można było wymieniać doświadczenia w organizowaniu życia społeczno-gospodarczego i kulturalnego na terenie gmin.

Z wypowiedzi naczelników i działaczy wiejskich wynikało jasno, że reforma administracyjna wyszła wsi łódzkiej na dobre. Daje się zauważyć sprawne działanie urzędów, dzięki czemu rolnicy mniej tracą czasu na załatwianie swoich spraw. Wzrasta ranga gminnych szkół zbiorczych, a ich dyrektorzy współpracując z naczelnikami, przyczyniają się do ożywienia życia kulturalnego na terenie gminy.

Niemal wszyscy naczelnicy podkreślali, że wzrasta wydajność z ha, poprzez intensywniejsze nawożenie i wykorzystanie maszyn rolniczych, bowiem na terenie województwa działają 2952 kółka rolnicze, które w pierwszym półroczu b. roku wykonały usługi o wartości 361 mln zł.

W nowych gminach prowadzi się kursy gospodarstwa domowego, dziecińce, zespoły odchowu kurcząt, konkursy higieny obór, bydła i produkcji mleka, z których mogą korzystać członkinie Kół Gospodyń Wiejskich.

Oczywiście, mimo tych wszystkich osiągnięć, jest jeszcze wiele trudnych spraw do rozwiązania. Trzeba zadbać o sprawne dowożenie dzieci do szkół zbiorczych, skonsolidować współpracę między służbą rolną i weterynaryjną, kłaść nacisk na właściwe wykorzystanie i konserwację sprzętu rolniczego. Ponadto są niektóre dość skomplikowane przepisy prawne, które sprawiają kłopoty naczelnikom gmin. Warto by więc pomyśleć o udzieleniu im pomocy ze strony radców prawnych. Ale i na to przyjdzie czas, przecież gminy wystartowały niedawno i trzeba dłuższego doświadczenia, aby należycie ocenić ich pracę.

Na zakończenie wystarczy tylko dodać, że spotkanie w Ręcznie było pożyteczne, a dokonana w jego trakcie wymiana doświadczeń przyczyni się do dalszej poprawy pracy nowych gmin, a tym samym do dalszego rozwoju łódzkiej wsi.

(rb)

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.
Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI.

# PO I KRAJOWEJ KONFERENCJI PARTYJNEJ

# TWORZYĆ DLA WSPÓŁCZESNOŚCI

**Wiele miejsca poświęcaliśmy przed I Krajową Konferencją Partyjną sprawom społecznym i gospodarczym. Publikowaliśmy wypowiedzi delegatów oraz artykuły związane z możliwościami dalszego przyśpieszania tempa rozwoju kraju. Obecnie oddajemy głos delegatom na I Krajową Konferencję Partyjną, wywodzącym się ze środowisk twórczych i naukowych, a także związanych codzienną pracą z życiem tych środowisk. W redakcyjnej rozmowie udział biorą: sekretarz KŁ PZPR — JERZY CHABELSKI, I sekretarz KU PZPR Uniwersytetu Łódzkiego — doc. JANUSZ BORKOWSKI, naczelny redaktor „Głosu Robotniczego", członek Egzekutywy KŁ PZPR — SERGIUSZ KŁACZKOW, naczelny redaktor „Odgłosów" — JERZY WAWRZAK i aktor Teatru Nowego — JAN ZDROJEWSKI.**

**J. CHABELSKI:** Okres po I Krajowej Konferencji Partyjnej to czas kontynuacji roboczych dyskusji i przygotowań do realizacji perspektywicznego programu rozwoju kultury w naszym mieście. Łódź staje się z każdym rokiem nowoczesnym ośrodkiem przemysłowym, naukowym i kulturalnym. W opracowanych wstępnych wersjach programu ujęto podstawowe zadania stojące przed środowiskami twórczymi, działaczami kultury i administracją państwową. Komitet Łódzki partii i aktyw partyjny w środowiskach twórczych nadają tym problemom odpowiednio wysoką rangę. Podczas inauguracji roku kulturalno-oświatowego duża grupa twórców reprezentująca wszystkie środowiska odwiedziła kilka dużych zakładów pracy, zapoznała się z budową nowych dzielnic mieszkaniowych i przemysłowych. Kilka dni temu w KŁ PZPR odbyło się spotkanie środowisk kultury, poświęcone dyskusji nad „Prognozą rozwoju kultury polskiej do roku 1990". Dyskutowaliśmy nad tym ważnym dokumentem również w kontekście naszych łódzkich spraw. W I kwartale przyszłego roku zaplanowaliśmy posiedzenie plenarne Komitetu Łódzkiego partii poświęcone problemom kultury.

Stworzenie odpowiedniej do potrzeb społeczeństwa miasta bazy kultury zostało kompleksowo ujęte w programie rozwoju. W tej części program jest spełnieniem zgłaszanych od dawna postulatów środowisk twórczych. Okres do roku 1975 przeznaczamy na wszechstronne przygotowanie tych inwestycji. Po tym okresie przystąpimy do ich realizacji. Wymienię tu dla przykładu nowy gmach muzeum sztuki, filharmonii, budowę teatru, kin i domów kultury.

Podjęte obecnie i w niedalekiej przyszłości wysiłki odbudowy i budowy bazy materialnej kultury pozwalają zagwarantować awans kulturalny mieszkańców miasta, rozszerzać uczestnictwo społeczeństwa w konsumpcji i współtworzenia kultury, wyrównywać szanse udziału w niej wszystkich środowisk społeczno-zawodowych.

**S. KŁACZKOW:** — Powinniśmy stale pamiętać: czemu, jakiemu celowi ma służyć polityka kulturalna partii? Ma pomagać w wychowywaniu współczesnego człowieka epoki socjalizmu. Wysokich zadań, o wiele bardziej ambitniejszych niż stawialiśmy sobie do tej pory, nie wykona człowiek o niskiej kulturze. Polityka partii zmierza do tego, aby stwarzać warunki zarówno do powstawania nowych wartości kulturalnych, jak i ich upowszechniania, określa cele strategiczne, pozostawiając twórcom wybór takich środków, aby były one powszechnie akceptowane przez odbiorcę, aby były dla niego zrozumiałe, aby dzięki temu mógł łatwiej, z większym zaangażowaniem osobistym przyjąć przekazywane mu treści.

**J. ZDROJEWSKI:** — Byliśmy wszyscy na I Krajowej Konferencji, braliśmy udział w jej pracach, poznaliśmy program partii i wiemy, jak wielkiej trzeba siły, jak ogromnego zangażowania i koncentracji sił, aby ten program, będący dalszym krokiem w realizacji uchwały VI Zjazdu partii, wykonać. Kiedy czasem słucham w telewizji spontanicznych wypowiedzi ludzi pracy, o tym, co już zrobili i co jeszcze chcą zrobić, to próbuję postawić na tym miejscu ludzi pióra czy teatru, i zastanawiam się, jak wielkiej mobilizacji sił trzeba wymagać od twórcy, aby dał wartości będące miarą współczesnych potrzeb, aby nie poczuł, że stoi na uboczu.

**S. KŁACZKOW:** — Myślę, że niezbędnym warunkiem do takiej mobilizacji jest głębsze wejście twórców w sprawy, które nurtują ludzi, większe zbliżenie się do współczesnego życia. Żeby móc zabierać głos na jakikolwiek temat, wypowiadać swoje poglądy i dzielić się przemyśleniami w sprawach interesujących wszystkich, a dotyczy to różnych form wypowiedzi ludzi poszczególnych środowisk, potrzebny jest ich bliski związek z życiem. Instancje łódzkiej i wojewódzkiej organizacji partyjnej stwarzają im możliwości poznania tych spraw, które nurtują nasze społeczeństwo, poznania problemów, którymi żyją nasze organizacje partyjne.

**J. BORKOWSKI:** — Jeśli stawiamy twórcy zadanie pełnego włączenia się w życie, jeśli wymagamy od niego, aby nie stał z boku, to sądzę, że warto też zastanowić się, na ile stanie się to wskutek prowadzenia określonej polityki kulturalnej, a na ile — spontanicznie.

**J. ZDROJEWSKI:** — Uważam, że to wszystko, co dzieje się w naszym życiu, ten głęboki i wartki nurt przeobrażeń nie może pozostawić nikogo obojętnym, że to wciągnie również twórców

**J. BORKOWSKI:** — Właśnie, ale to będą skutki spontaniczne. Polityka — żeby posłużyć się słownikową definicją — jest sztuką zdobycia władzy i jej sprawowania. Mieści się w tym również takie pojęcie jak polityka kulturalna, ale ta ostatnia rodzi zjawiska wymierne i niewymierne. Wzrost czytelnictwa, ilości widzów w teatrach, wystawy plastyczne — to wszystko skutki wymierne. Ale nam tu chodzi o pełniejsze zaangażowanie twórców w proces tworzenia nowych, odpowiadających współczesnemu społeczeństwu dzieł artystycznych, wartości kulturalnych. I tu rodzi się pytanie, czy środki, jakimi posługujemy się w realizacji zadań polityki kulturalnej są wystarczające, czy doprowadzą do tego, aby twórcy nie stali na uboczu, aby nie zajmowali się sprawami marginesowymi?

**S. KŁACZKOW:** — Ja rozumiem politykę także jako sztukę zdobywania sojuszników, formowania takiego programu, który wyraża interes całego narodu, znajduje uznanie i poparcie w narodzie. Przypomnijmy sobie uchwałę VII Plenum KC partii. Przecież sformułowano tam program opierający się na ogólnoludzkich, uniwersalnych wartościach, bo tego wymaga interes narodu, który buduje socjalizm. I czy takiego programu można nie zaakceptować? I czy ten program nie jest inspiracją dla środowisk twórczych?

**J. BORKOWSKI:** — Przecież nam wszystkim powinno zależeć na tym, żebyśmy w społeczeństwie zamożnym, jakie chcemy stworzyć, nie stali się tylko sumą jednostek.

**J. CHABELSKI:** — Podstawowym problemem działalności kulturalnej obok troski o wysoki poziom artystyczny, są treści ideowe w twórczości, działalności placówek upowszechniania kultury, w każdym obszarze działalności kulturalnej. Zarliwość ideowa i głęboki humanizm dzieła sztuki może tylko gwarantować postęp w myśleniu i działaniu w dobie rewolucji naukowo-technicznej. Poprzez typ bohatera, wzorce osobowe, kształtowanie postaw twórczych i aktywnych — sztuka może współuczestniczyć w wielkim dziele tworzenia społeczeństwa socjalistycznego.

**J. WAWRZAK:** — W naszej polityce kulturalnej były okresy takie jak tzw. socrealizm, z bohaterem uproszczonym. Wtedy funkcję kultury sprowadzono do roli propagandy. Było to potrzebne w okresie formowania się władzy ludowej. Lata sześćdziesiąte były latami kształtowania się mód, oddziaływania wpływów obcych.

Ale w każdym z tych okresów inny był bohater. W przeszłości bohater mógł być nieskomplikowany, bo chodziło o przedstawienie spraw zasadniczych. Dziś powinniśmy sobie stawiać inne, trudniejsze zadania. Jeśli dawniej bohaterem mógł być — powiedzmy — dyrektor, który wykonywał plan, to dziś to już nie wystarcza, wykonywanie planu jest normalnym obowiązkiem, dziś problemem staje się dokonywanie rewolucji technicznej w przemyśle. Dziś bohaterem powinien być taki człowiek, który byłby zdolny „przeskoczyć samego siebie".

**S. KŁACZKOW:** — Ja uważam, że nie należy tu bać się trudności. Wielkość utworu — moim zdaniem — polega na tym, że jego autor potrafi myślą wybiegać naprzód, trafnie przewidywać, a jednocześnie osiąga i to, że maksymalnie duża liczba odbiorców będzie się utożsamiać z losami bohaterów, pomyśli, że przecież, i „mnie coś takiego mogło spotkać", że są to sprawy nam wszystkim bliskie, że jest w nich zawarta jakaś część naszych wspólnych, losów, współczesności.

Chciałbym też wyrazić i taką opinię — jest to moje przekonanie, ale sądzę, że tak myślą i inni — że byłoby dobrze, gdyby niektórzy twórcy wyzbyli się mitu wieszczów, ludzi odpowiedzialnych za naród, za następne tysiąclecie naszej historii, a bardziej związali się z naszym dniem dzisiejszym, ze współczesnością.

**J. WAWRZAK:** — Podzielam ten pogląd. Zawiera się w nim odwieczne pytanie: co ma weryfikować twórczość: współczesność czy przyszłość?

**J. ZDROJEWSKI:** — Nie przypuszczam, aby ktoś pisał dziś z myślą tylko o czytelniku 2000-go roku, czy tworzył jakiekolwiek dzieło dla przyszłych pokoleń. Każdy chce mieć sprawdzian swojej pracy już dziś, teraz, kiedy tworzy.

**J. WAWRZAK:** — Tak. Dla każdego ważne jest to, jaką funkcję teraz spełnia jego dzieło, czy on swoją pracą oddziaływuje na społeczeństwo, czy jest dostrzegany, czy to, co ma do powiedzenia jest przez społeczeństwo odbierane. A więc współczesność weryfikuje każde dzieło. Niestety, trzeba jeszcze tę oczywistą prawdę przypominać.

**J. BORKOWSKI:** — A to, czy dzieło to ostanie się w czasie, czy zaaprobują je również przyszłe pokolenia, zależy w dużej mierze od tego, co twórca ma do powiedzenia o swojej współczesności, jakie uniwersalne prawdy i sprawy w tym dziele zawiera.

**J. CHABELSKI:** — Zdajemy sobie w pełni sprawę z tego, że dalszy postęp społeczno-ekonomiczny zależeć będzie od rozwoju świadomości ludzkiej. To nakłada na front ideologiczny którego ważnym ogniwem są środowiska twórcze, odpowiedzialne i trudne zadania. Uchwały VI Zjazdu i VII Plenum KC PZPR, potwierdzone praktyką dwóch ostatnich lat, skłaniają do przeświadczenia, że polityka kulturalna partii znajduje pełne zrozumienie i poparcie ludzi kultury i sztuki. Socjalistyczna treść sztuki, jej ideowe oblicze świadczą o zaangażowaniu w najistotniejsze sprawy kraju. Liczne dokonania i nowe inicjatywy łódzkich środowisk twórczych — literatów, plastyków, aktorów, ludzi nauki — są tego najlepszym przykładem.

**J. WAWRZAK:** — Twórcy niezbędny jest nieustający związek z życiem i to dwojakiego rodzaju. Raz — jako źródło inspiracji, a dwa — jako sprawdzian skuteczności oddziaływania. Ja zaczynałem jako poeta. Dlaczego teraz nie piszę wierszy, tylko prozę? Ponieważ rezonans poezji jest niewielki, mimo konkursów recytatorskich, mimo formalnego rozwoju tej dziedziny literatury. W moim odczuciu poezja nie funkcjonuje w naszym społeczeństwie. Tomiki poezji ukazują się w niewielkich nakładach, wiersze pisze się hermetycznym językiem, mało czytelnym.

**S. KŁACZKOW:** — Wyczuwam w tym nutę żalu, że ten gatunek twórczości jest mało popularny. Rzecz chyba w samej poezji. Na przykład w Związku Radzieckim imprezy poetyckie gromadzą ogromne liczby słuchaczy.

**J. ZDROJEWSKI:** — Tam jest wysoka kultura żywego słowa.

**S. KŁACZKOW:** — Chyba nie tylko.

**J. WAWRZAK:** — Tam jest też większa nośność poezji, ona ma charakter obywatelski.

**S. KŁACZKOW:** — A właśnie. Tam poezja chwyta istotne problemy. Słyszałem w radzieckiej telewizji Jewgienija Jewtuszenkę, który tuż po zabójstwie prezydenta Allende recytował „Generalskie buty". Nie przepadam za patetycznym stylem recytacji, ale mimo to głęboko to przeżyłem.

**J. ZDROJEWSKI:** — Telewizja jest autentycznym miejscem, gdzie powinno się prezentować poezję, na oczach ludzi i dla ludzi, a nie do szuflady.

**J. WAWRZAK:** — My tu mówimy o poezji. Nasza poezja ucieka od ważnych, współczesnych problemów i w rezultacie społeczeństwo odwraca się do poezji plecami. Ja to trochę upraszczam, ale spróbujmy to uogólnić. Powstaje sprzężenie zwrotne, które można odnieść również do innych dziedzin twórczości.

**J. BORKOWSKI:** — To jest negatywne sprzężenie zwrotne, nie ma niestety pozytywnego sprzężenia.

**J. ZDROJEWSKI:** — Mam ciekawe spostrzeżenia z naszego teatru. Z Teatru Nowego. Spotykam się często z różnych okazji z widzami. Okazuje się, że wielu widzów wiernych jest naszej scenie i doskonale pamięta inscenizację z minionych czasów. Ktoś mi się zwierzył nawet, że niektóre sztuki pomogły mu zrozumieć sprawy dziejące się wówczas, pomogły znaleźć się we właściwym nurcie politycznym. I widzowie mówią, że był to teatr polityczny i domagają się takiego teatru, teatru zaangażowanego we współczesność.

**J. WAWRZAK:** — Tylko, że ówczesny teatr polityczny dokonywał rozrachunku z przeszłości. Dziś chodzi o coś innego.

**J. ZDROJEWSKI:** — O wizję.

**J. WAWRZAK:** — O przyszłość. Dużo łatwiej jest oceniać, dokonywać rozrachunków, niż tworzyć wizję.

**J. BORKOWSKI:** — Łatwiej pisze się o historii.

**J. WAWRZAK:** — Tym bardziej, że ma być to wizja fascynująca i piękna, wielka wizja, ale też — w jakimś sensie zwykła, powszednia.

**S. KŁACZKOW.** — Ja bym tego tak nie nazywał. To nie jest zwykła, powszednia wizja. Nie jest rzeczą zwykłą, tworzyć wizję przyszłej Polski, kraju, który osiągnie wyższą rangę niż ją sobie nawet wyobraziliśmy. Partia zaprasza do udziału w tworzeniu takiej wizji, pyta: a co ty zrobisz, aby wizja ta stała się rzeczywistością?

My tu mówimy o sprawach wielkich, o społeczeństwie, narodzie kraju. Słusznie, bo to nasze sprawy. Ale spójrzmy też na własne podwórko. Mamy przecież program rozwoju miasta, kształtujemy jego przyszłość na następne lata. Tu też potrzeba kształtowania wizji, potrzeba wyjścia poza sprawy własnych środowisk. Dlaczego naukowiec nie ma wyrazić swojej opinii o linii repertuarowej teatrów? Dlaczego aktor nie ma mówić o rozwoju gazety, pokazywać, czego, mu w tej gazecie jeszcze brakuje? To są przykłady, a takich spraw jest znacznie więcej. Program rozwoju miasta nie jest zamknięty i potrzeba wielu opinii i uwag, aby stał się on nie tylko na miarę naszych potrzeb, ale i naszych ambicji. A tego nie osiągniemy, jeśli ciągle będziemy tkwili w wąsko pojętych sprawach zawodowych, sprawach środowiska, jeśli sprawy miasta nie staną się sprawami nas wszystkich.

**J. ZDROJEWSKI:** — Tym bardziej, że partia zaprasza do udziału w kształtowaniu przyszłości nie tylko poszczególne środowiska, ale każdego z nas, indywidualnie, osobiście. I tu nie można zasłaniać się układami środowiskowymi, wyważać proporcje. Trzeba po prostu mówić, co ma się do powiedzenia.

**J. WAWRZAK:** — Choćby i dlatego, że tu od nas w Łodzi wymaga się szczególnego wysiłku, nie tylko ze względu na przeszłość, której braki trzeba nadrobić, ale i na nasze potrzeby i ambicje. Musimy wreszcie skończyć z partykularyzmem i kreowaniem wielkości na skalę Łodzi. A jak to zrobić, jeśli nie będziemy stawiali sobie i innym wysokich wymagań? Powinniśmy mówić ludziom: bądź wybitny nie tylko w skali Łodzi, nie bądź twórcą łódzkim, lecz polskim. W ten sposób najlepiej przysłużysz się swemu miastu.

**J. CHABELSKI:** Oczekujemy jako partia i oczekuje tego społeczeństwo, wypowiedzi w najważniejszych sprawach narodu, podejmowania wielkich i kluczowych tematów, które są przedmiotem ogólnego zainteresowania. Widzimy pomocną funkcję kultury w kształtowaniu w naszym społeczeństwie wiary w możliwość jeszcze bardziej dynamicznego rozwoju kraju, w możliwości jeszcze większego przyspieszenia. Będziemy stale oceniać i weryfikować do aktualnych potrzeb udział kultury w przeobrażeniach Łodzi, dążyć do zwielokrotnienia jej wpływu na pobudzanie twórczej aktywności mieszkańców miasta.

**J. BORKOWSKI:** — Gościliśmy w Uniwersytecie Łódzkim działacza ze szczebla centralnego. Pokazywaliśmy mu uczelnię, warunki, w jakich pracujemy. Tu nam się wali, tam ciasno, tu nie ma miejsca. Obejrzał, a później powiada: tak nie można pokazywać. Pytamy: a jak można? Mówcie: w tych warunkach zrobiliśmy tyle i tyle, w lepszych zrobilibyśmy o wiele więcej. Gdybyśmy mieli inne, to dopiero pokazalibyśmy na co nas stać, zrobilibyśmy, ho, ho, ile. I to nam bardzo pomogło. Dziś nie ma już u nas biadolenia. Mnie się wydaje, że kiedy zaczynamy mówić o sprawach łódzkich, to zaraz wspominamy, jak to chodziliśmy do szkoły pod górkę. A to chyba nie tak powinno być. Wspominaniem mało osiągniemy. Rzeczywiście, powinniśmy stawiać sobie zadanie nie tyle na miarę potrzeb, ile na miarę ambicji i rozbudzać te ambicje.

**J. ZDROJEWSKI:** — Mam propozycję, aby tworzyć w Łodzi grupy twórcze, w skład których wchodziliby literaci, plastycy, naukowcy, dziennikarze, aktorzy, działacze kultury, którzy dobieraliby się na zasadzie temperamentu, uzdolnień, zainteresowań i celów.

**J. WAWRZAK:** — Proponuję uznać naszą dyskusję za otwartą nadal. Nie kończymy jej. Będziemy do tych spraw powracali i mile widzielibyśmy innych, którzy włączyliby się do niej.

**Notowała:**
**BOGDA MADEJ**

RYSZARD BINKOWSKI

# POCHÓWEK DLA HAŁABURDY

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Przed kościółkiem, na przystanku autobusowym dwóch chłopów w płaszczach ortalionowych, którzy już zdołali godnie uczcić imieniny Jadwigi, wiedzie taką oto dysputę:

**— Mówię ci, jedźmy do restauracji w Daszynie!**

**— Nie, bo mordę obiją!**

**— A ja się tych parobków nie drygam!**

**— A ja ci radzę, żebyśmy jeszcze zajrzeli do Grzybowskiego.**

**— U Grzybka w żelaznym sklepie była kontrola, znaleźli pół litra na ladzie i koniec...**

Znaczy, nie będzie knajpy „Pod hacelem". A ja chciałem się tam wybrać, choć radzono mi, że to niebezpieczne. Bo w Mazewie każdy obcy traktowany na równi z daszyniakiem.

Mazewiacy mówią:

**— Dworusy, fornale, parobki, chłopki, chamskie pomioty!**

Daszyniacy na to:

**— Ciołki! Szlachta zagonowa z herbem. W herbie głupi ciołek strzyże głupio uchem.**

### SPOTKANIE POD MUREM

Mówią jeszcze o ołtarzykach, nad którymi wiszą skrzyżowane szabelki, ale ja tego nie widziałem. Tylko pod osłoną mroku mogłem obejrzeć sobie Mazew. Szlachecki lecz biedny. Około setki gospodarstw, chałupy liche, niektóre rozpadną się z czasem. Najokazalsze budowle to kościół i szkoła. Kiedyś mogło tu być świetnie. Inteligencji więcej niż w **DASZYNIE.** Felczer Woźniak, organista, nauczyciele, wójt Tymieniecki. Gospodarstwo pani Ty nieniecklej, jeszcze po wojnie nieźle stało, ale teraz może świecić przykładem chyba tylko młody Bartnicki.

Na odcinku drogi między salą OSP a murami wznoszonego domu dla pracownków służby zdrowia natknąłem się na chłopa. Nikogo w pobliżu, więc pytam:

— Pan tutejszy?

**— Zależy jak dla kogo...**

— Chciałem tylko spytać o gminę w Mazewie. Będzie czy nie będzie?

Usunął się pod ścianę i szepcze:

**— Pan może z Warszawy?**

— Nie, ale o tej gminie chciałem pogadać.

**— To nic nie powiem! Ci z Daszyny pana nasłali.**

— Nikt mnie nie nasyłał. Chcę tylko napisać w gazecie o tej waszej gminie.

**— Niech pan nie udaje głupiego! Przecież mnie by tu ukatrupili!**

Przytrzymałem go za rękaw i mówię:

— Nie wiem, jak się pan nazywa, nawet twarz trudno dojrzeć w mroku. Więc jak? Po co tak wciąż jeździcie do urzędów?

**— Ja nie jeżdżę! I mało kto już wierzy, że tu będzie gmina. Chłopy klną, że dali się namówić na składki. Co? No, były takie zbiórki pieniężne na opłacenie delegacji! Ale dobrze im tak! Tu ktoś z góry tak napuszcza, judzi, a głupie jeżdżą za tą gminą. W jednym sklepie, ale nie powiem w którym, było 20 tysięcy manka. Chodzą plotą, że to na opłacenie tych delegacji...**

— Ta budowa też licho wam idzie — mówię, wskazując mury, pod którymi stoimy.

**— Nikt nie siedzi, a powinien! Zrobili taki kopiec, obstawiony dobrą cegłą, a w środku sam gruz. A ile worków cementu skamieniało... Panie...**

Pchnął mnie i skoczył na tył budowli. Ulicą szło kilku ludzi. Odetchnąłem, kiedy mnie minęli. Tamtego też już nie było.

Ale wcale się temu nie dziwię. Strach ogarnął wszystkich. Nauczycielki boją się wyjść za próg, sekretarz POP w Mazewie, **Firaza,** boi się pracować na poczcie; radna **Łuczakowa** płacze, bo jest zaczepiana na ulicy, poszturchiwana i lżona, że sprzedała Mazew; inspektorowi Wydziału Oświaty z PPRN w Łęczycy, „tubylcowi", przyczepiono do samochodu kartkę z napisem: **„zdrajca Mazewa"**, gdyż był za utworzeniem gminnej szkoły zbiorczej w Daszynie. Jeździł z tą kartką, wzbudzając powszechną wesołość. Jego żona jest dyrektorem szkoły w Mazewie...

### W DASZYNIE

też nie wszyscy odważają się mówić na temat lokalizacji gminy. Indagowany w sekretariacie POM urzędnik nawet mi pozwolił usiąść. Uparcie wydłubywał widelcem makrele z sosu pomidorowego i milczał. W końcu wydusiłem z niego, że w Daszynie powinna być gmina, bo sam POM zatrudnia 150 ludzi i są szanse dalszego rozwoju, ale na ten temat mogą gadać kompetentne czynniki...

Kiedy zwierzyłem się jednemu z przedstawicieli władz powiatowych, że chociaż ukradkiem, ale jednak byłem w Mazewie, s tał z niedowierzaniem:

**— I Buła pana nie załatwił?**

— Jaki znów Buła?

**— A taki tam jeden, tak go tam nazywają...**

### SILNA GRUPA

Buła to przywódca nowej „silnej grupy pod wezwaniem", sprzęgniętej więzami rodzinnymi i ambicjonalnymi, która bije się, stosując wszelkie dozwolone chwyty, o utrzymanie gminy w Mazewie. Buła jest silny, więc prawdopodobnie i mnie zechce załatwić, skoro obiecał załatwić innych, począwszy od I sekretarza KP PZPR w Łęczycy, **tow. Budzińskiego** i przewodniczącego PPRN, **K. Wielca,** na naczelniku gminy w Daszynie, **J. Filipczaku** i I sekretarzu KG, **C. Kopczyńskim** skończywszy. Ale ja się nie cofnę, **bo maleńka, dywersyjna mafia nie może być reprezentantem społeczeństwa. Od początku batalii sołtysi i radni zachowywali trzeźwość i wywiązywali się z obowiązków, a będące z początku pod presją grupy społeczeństwo Mazewa i Kolonii Mazew też już doszło do siebie i nie będzie popierać warcholstwa.**

A zaczęło się wszystko od tego, że w myśl postanowień partii i rządu, tak jak w całym kraju, i w powiecie łęczyckim przystąpiono do tworzenia gmin. Powiatowe władze ustaliły po wielu konsultacjach, że z maleńkich gromadzkich rad narodowych z siedzibami w Mazewie i Daszynie powstanie jedna gmina z siedzibą w Daszynie. Zanim podjęto ostateczną decyzję, prawie **stuosobowy tłum mazewiaków przybył do PRN,** by przez 3 godziny udowadniać Budzińskiemu i Wielcowi, że rzucają Mazew na pastwę losu. A więc:

**— Jak świat światem gmina była w Mazewie.**

**— Do Daszyny daleko i nie ma żadnego dojazdu!**

**— My, od wieku wieków wolni kmiecie, nie pójdziemy do dworusów!**

**— Do naszego kościoła przyjeżdżał dziedzic i każdemu z osobna podawał rękę!**

Zaszłości należy docenić i władze to respektowały. Wiadomo — **Mazew jest wsią z tradycjami.** Ludzie byli zawsze wolni, posiadali przywileje. Długo i cierpliwie tłumaczono mazewiakom, że **pomieszczenie władz gminnych w Daszynie przynosi obopólne korzyści i że wiele argumentów przemawia za tym, aby do tego doszło.**

### NA MAPIE

jasno widać, że **ani Mazew, ani Daszyna** nie leżą w środku gminy. **Ale Daszyna jest bliżej centrum i bliżej jest z niej do Łęczycy. Daszyna leży przy ważnym szlaku śląsko-bałtyckim (trasa E-16).** Spośród 18 sołectw nowej gminy przy E-16 bezpośrednio położonych jest 9, a pośrednio z nią związane są dwa sołectwa (Jarochówek i Koryta), czyli razem 11. To gwarantuje znakomity dojazd do władz gminnych, punktu skupu i sklepów GS. Tymczasem w byłej gromadzie Mazew sieć dróg znajduje się w opłakanym stanie. Stąd wynikały m. in. takie historie, że od czasu do czasu noce w Mazewie były pełne kwiku i ryku. Tak ryczały, kwiczały stojące o głodzie i chłodzie świnie i krowy w punkcie skupu, gdyż przez zasypane zimą drogi nie można ich było przewieźć do Łęczycy.

Stary **Otto z Mazewa** wciąż gospodarował na cyku, więc doprowadził gospodarstwo do ruiny, może **syn Jerzy** je teraz podciągnie. Daszyna powstała z parcelacji, gospodarstwa są mniejsze, ale dobrze utrzymane, a w **Mazewie ok. 30 proc. gospodarstw ekonomicznie podupadłych.**

**W Daszynie** jest więcej sklepów, stoją jedno- i dwu-piętrowe bloki mieszkalne, a wielki fronton POM, pełen kwiatów, gazonów, trawników i ślicznie przyciętych ozdobnych żywopłotów jest lepszą wizytówką dla gminy, niż wszystkie ogródki w Mazewie.

**W byłej gromadzie Mazew 2 tys. mieszkańców, w gromadzie Daszyna zaś — 5 tysięcy...**

**Wreszcie szkoła.** Z zewnątrz wygląda ona jeszcze jako tako, tak jak w Mazewie działa tutaj SPR, ale wewnątrz ciasnota, zacieki. Jedna z nauczycielek pokazała mi dar kogoś z Łęczycy, nie pamiętam już kogo, czyli szafę. Było to wielkie porysowane pudło, odrapane, z poodklejaną dyktą, dziurawe i skopane, a więc w sam raz do straszenia dzieci, że się je tam wsadzi, jak nie będą grzeczne. Ale to dygresja...

Wracając bowiem do rzeczy, należałoby wysnuć wniosek, że **gminna szkoła zbiorcza powinna mieścić się w ładnym budynku szkoły mazewskiej.** Tak, ale szkoła mazewska byłaby tu za ciasna. Uczy się w niej 120 dzieci, gdy tymczasem w Daszynie aż 266 i tutaj szkoła gminna ma większe szanse rozwoju. A w **Mazewie pozostanie szkoła zbiorcza. I lecznica weterynaryjna, i ośrodek zdrowia.** Nawet myśli się o jego rozbudowie i stworzeniu gabinetów specjalistycznych, aby stare, sterane kobiety nie tłukły się do Łęczycy za poradą lekarską. **W Mazewie założy się też wodociągi.** Na złą ziemię (a może tylko złe gospodarowanie) mazewiacy nie powinni już narzekać, bo tak jak w Daszynie zmeliorowano im grunty.

Przedstawiłem tu wiele argumentów **za i przeciw,** będą jeszcze dalsze, ale i te pozwalają chyba stwierdzić, że **nie ma mowy o majoryzowaniu Daszyny,** ale że gmina na pewno powinna w niej znaleźć siedzibę, bo **Mazew nic nie straci, może natomiast wiele zyskać w sferze materialnej.**

### POCIĄGNĘŁY PIENIACKIE PIELGRZYMKI

Nie ma jednak rady na partykularyzm i wąsko pojęty patriotyzm lokalny. Pociągnęły ieniackie pielgrzymki do Łęczycy, Łodzi i Warszawy. Domagano się utworzenia dwóch małych gminek. Władze mówiły, że sprawę **rozpatrzą.** Dla Mazewa znaczyło, że załatwi się pozytywnie. Sami więc ustalili terminy przeniesienia gminy do Mazewa: 15 stycznia 1973, potem 1 luty, 1 czerwca, a teraz ma się to stać 1 stycznia 1974 r.

**Tak więc siedziba gminy znalazła się w Daszynie.**

**— A jak przewozili dokumenty do Daszyny, tośta stali jak dupy!** — znajduje się mądry po czasie.

Najbystrzejsza okazała się **woźna Królikowska,** która uskuteczniła pierwszy we wsi miastowy wybryk, włamując się na dzikiego lokatora do opuszczonej siedziby byłej GRN. Zaraz się wszyscy ucieszyli, bo nowe władze gminne usunęły kobiecinę. Ale później, prawnie zresztą, przydzielono jej zajęte mieszkanie.

Dwadzieścia lat rada gromadzka gnieździła się w tej chałupie ze schodzącymi do ziemi oknami, nawet na skansen nieprzydatnej, bo jakby kobyła pierdła zdrowo, ściany rozsypałyby się z hukiem. Teraz stali przed nią mazewscy i zastanawiali się głośno, co władze urządzą w tej budzie. Przyczajony na uboczu mieszkaniec Daszyny zauważył:

**— Ani chybi hodowlę mazewskich ciołków założą!**

Zakotłowało się, rozpiekliło, wściekliznа poszła po ludziach! No bo po co ich nazywać ciołkami, wypominać, że nie potrafili należycie wykorzystać szans, jakie dawał im król Jagiełło. Nie sięgałem do źródeł, wiem tylko, że w r. 1416 miała miejsce nieudana lokacja. I ja nawet lubię mazewiaków za ten ich sentyment do tradycji, za honor i ambicję, ale po co oni z kolei mieszają z błotem parcelantów daszyńskich? Nie ma dziedzica Nieszczyskiego i każdy czuje się równy na swoim gospodarstwie, nie te czasy.

Mazew mówi:

**— My wszystko robimy czynem społecznym!**

Tu i ówdzie zasięgam opinii, przeglądam dokumenty w gminie, doszukuję się mazewskiego zaangażowania. A więc biją się o szkołę. Zanim jednak ją wybudowano, ksiądz musiał dać kawałek ziemi, bo nie było chętnych.

Liberalizm władz jest może zbyt duży. Chcecie wodociągi? Proszę! Ale powołany komitet nawet palcem nie ruszy w tej sprawie.

**Z Mazewa do trasy E-16 zbudowano 6 km drogi i uruchomiono linię autobusową.** To się dla nich nie liczy!

**Wokół Mazewa zbudowano ok. 8 km dróg, na 9,7 km w całej gminie. A mazewiacy zamiast iść z podatkiem do sołtysa, mazewiacy wysyłają pieniądze pocztą. Omijają sołtysa.**

Na NFOZ Daszyna wpłaciła 89,3 proc. należności, sołectwo Mazew 42 proc. Mimo to 20 marca b. roku społeczeństwo przegłosowało, że w Mazewie będzie się budować ten dom dla służby zdrowia. Miał być również dla nauczycieli, ale...

Zmieniono komitet, bo budowa kulała, w nowym działa tylko lekarz dentysta, inni się migają, jakkolwiek wszyscy wierzą, że ten dom przeznaczy się na siedzibę gminy w Mazewie!

Z Mazewa trzeba było przenieść GS do Daszyny, gdyż zabrakło miejsca, ale wiecie, jak ta instytucja musi się teraz nazywać? **„GS Samopomoc Chłopska w Mazewie z siedzibą w Daszynie"!**

### A CO NA TO DASZYNA?

Daszyna nigdzie nie jeździ. Pracuje. Obecny budynek gminy zbudowano w czynie społecznym, tak samo Wiejski Dom Kultury. Rozpoczęła się budowa nowego biurowca gminnego i posterunku MO. W najbliższej przyszłości: budynek SOP, strażnica, MBM, Wiejski Dom Towarowy, dom dla nauczycieli, skwerki z ławeczkami, wodociąg. Powstała już spółdzielnia mieszkaniowa, która liczy 60 członków.

A do Mazewa, choć jest tam MBM i kółka rolnicze, trzeba wysyłać maszyny z Daszyny, żeby ziemię uprawiały i budowały drogi. Mazewiacy nie chcą nawet podwieźć szlaki z odległości 200 m, do budowy domu dla Służby Zdrowia, pomijając to, że wodę trzeba tam dowozić z Daszyny. A więc nie ma czym, zwłaszcza, że buduje się z nadwyżek budżetowych.

Nie uznają nowej gminy to i nie dają ostemplować dowodów stemplem z nowym nazewnictwem. Krzyczą, że się topi miliony, a niektórzy znakomici gospodarze z Mazewa mają po 9 tys. długów wobec państwa. Wpada taki do urzędu gminnego i grożąc jak Piotr Skarga, dudni:

**— Ja wszystkich nauczę! Wyście nic nie umorzyli, bo byłem ze skargą u Muszyńskiego!**

**— My cię, stary, załatwimy za te zabawy** — dzwonią z Mazewa do naczelnika Filipczaka.

Bo będzie tylko jedna zabawa w miesiącu, gdyż w Mazewie, po każdej zabawie Ośrodek Zdrowia zapaskudzony, wybite butelkami szyby, nawet betonowe pokrywy na szambach leżą w gruzach.

**Cyprian Kopczyński,** zastępca dyrektora d/s technicznych w POM, jest I sekretarzem KG dopiero od lipca, ale dał się już poznać jako energiczny, zaradny działacz, znający i rozumiejący ludzi.

**— Trzeba wzmocnić POP w Mazewie. Członek partii winien świecić dobrym przykładem i nie tolerować warcholstwa.**

A na co dzień jest tak! Wiezie chłop z Mazewa świnię na punkt skupu w Daszynie, to go ci pieniacze zatrzymują i pytają, czemu to robi...

**— Bo potrzebuję pieniędzy.**

**— Masz, my ci pożyczymy.**

I zawracają.

Albo:

**— W Daszynie budują wielki wóz.**

**— A po co?**

**— Będą przewozić do siebie kościół z Mazewa!**

**— Daszyna i tak do nas przyjdzie! Do kościoła, na cmentarz.**

Starej Królikowskiej bębni się po nocach do okien i grozi, że marny jej koniec, jeśli nie opuści budynku dawnej GRN.

### I TU ZACZYNAJĄ SIĘ

**sprawy niepokojące.** Ta jeszcze drobna, ale są ważniejsze. **Bo jeśli grupa wichrzycieli obrzuca obelgami przedstawicieli władz powiatowych i bojkotuje spotkanie z przedstawicielem KC, to wtedy trzeba się już poważnie nad tym zastanowić. A jeśli jeszcze do tego Mazew nie uczestniczy w uroczystościach 1-Majowych i Święta Odrodzenia, urządza na własną rękę dożynki, nie dopuszcza dzieci do IX alertu sprawnościowego, to sprawa staje się naprawdę niebezpieczna. Wykorzystywanie nowego, swobodnego kursu politycznego dla szerzenia zaściankowego szowinizmu chwieje wiarą i zaufaniem ludzkim. No, bo jeśli nie ma silnych na hałaburdów...**

Ale ja jestem daleki od pisania aktu oskarżenia. Ja wiem, to się już czuje, że małemu peletonikowi warchołów, który jedzie do tyłu, wymyka się poparcie u społeczeństwa. Niejeden już zrozumiał, że gmina pozostanie w Daszynie, bo w ten sposób Mazew zyskuje nawet więcej niż Daszyna, i że tylko w dużej jednostce administracyjnej można osiągać najkorzystniejsze wyniki w rozwoju własnym wsi i pomnażać ich potencjał gospodarczy. Wszyscy żyją pod tym samym niebem. Tak Mazew ze swym starym kościółkiem, jak Daszyna z drewnianym, zabytkowym dworem. **I ci, i tamci tu się będą rodzić, umierać, żenić. W tym nieco sennym, zamglonym krajobrazie łagodnych pagórków...**

I byłoby dobrze, gdyby zrozumiało to całe społeczeństwo Mazewa i nie patrzyło obojętnie na poczynania hałaburdów.

*Foto: Archiwum*

*Rys. W. Kondek*

(Dalszy ciąg ze str. 1)

— Proszę pana, ja nie chcę do mamy. Ja chcę do cioci. (czytaj — sąsiadki).

Biorę za słuchawkę. Wykręcam numer Pogotowia Opiekuńczego.

— Panie dyrektorze, za chwilę dwie panie przywiozą do placówki czteroletnią Kasię W. Proszę przyjąć. Przyczyny wyjaśnię później.

## LIST

Kilka dni temu do Pogotowia Opiekuńczego mama Kasi przysłała z więzienia list. Za awanturnictwo i kradzież, „gdzieś w Polsce" skazana została na kilkuletni pobyt w więzieniu.

**„Jestem zaniepokojona brakiem wiadomości o Kasi. Martwię się, czy jej się coś złego nie dzieje. Panie Dyrektorze, proszę powiedzieć małej, że bardzo ją kocham i tęsknię".**

A ja ciągle myślę o maleńkiej Kasi, która chciałaby być tylko u „cioci", o brudnym, ciemnym korytarzu, „błękicie Paryża" i o ciastku z kremem.

## W MELINIE

Godzina 22,00. Razem z funkcjonariuszem MO odwiedzam dobrze znane organom ścigania mieszkanie. Pukamy do drzwi. Cisza.

— Proszę otworzyć — mówi plutonowy. — Jest na pewno w mieszkaniu, ale wyczuła nieproszonych gości i nie chce wpuścić — dodaje.

# RAPORT Z PERYFERII

— Kto tam? — słychać po długiej przerwie zachrypnięty głos kobiety.

— Milicja, proszę otworzyć.

Wchodzimy. Już pierwsze spojrzenie na kobietę pozwala zorientować się nam, że jest w stanie nietrzeźwym.

— Panowie w jakiej sprawie? O co chodzi? Żyć porządnemu człowiekowi nie dają — bełkoce.

— Ile pani dziś wypiła?

— Panie władzo, ja wypiłam? Co też pan! Tylko małe piwko.

— No, no, wiemy, jakie to piwko. No więc ile?

— Ile, ile? — próbuje się oburzyć. — A co to was właściwie obchodzi?. Piłam za swoje. Wolno mi. Zabronicie? Jak będę chciała to jeszcze wypiję i przy was.

Chwiejnym krokiem podchodzi do kredensu. Za chwilę trzyma w ręku półlitrową butelkę denaturatu. I zanim plutonowy zdążył wyrwać jej z rąk błękitny „napój", wychyliła część zawartości butelki.

Nie wytrzymałem.

— Czy pani zwariowała, przecież to trucizna!

— Szkoda słów i nerwów — zwraca się do mnie plutonowy. — Ona tak zawsze. Od trzech lat, jak mam ten rejon, jeszcze nie widziałem jej trzeźwej. Leczyliśmy „na odwykówce", ale co to pomogło. Po powrocie do domu zaczęło się wszystko od początku.

Gdzie córka? — pytam.

— Jak to, gdzie? W łóżku, a gdzie miałaby być w nocy? O, w tamtym, w tamtym pokoju — wskazuje chwiejącą się ręką. — Tylko nie wchodzić mi i nie budzić.

— No to zobaczymy czy śpi.

— Jak mówię, że śpi, to śpi. A zresztą — macha niedbale ręką — idźcie, niedowiarki — i siada na czymś co bardzo dawno było chyba tapczanem.

Świecimy latarką. Na szerokim metalowym łóżku śpi piętnastoletnia Mariola, obok niej chrapiący mężczyzna.

— Halo, obywatelu, proszę wstać. Szybko, szybko. Szkoda czasu. Nie udawać. — Jeszcze jedno energiczne pociągnięcie za ramię i zaspany gość leniwie ściąga się z łoża.

— Ubierać się. Proszę dowód.

39-letni mężczyzna z trudem wciąga na siebie ubranie. Jest pijany.

— No, co — mówi plutonowy — najpierw popiło się u mamusi, a potem do łóżka z córeczką. Czy wiecie, że Mariola ma piętnaście lat?

— Panie władzo — próbuje tłumaczyć — to ona winna — wskazuje na matkę. Mówiła, że ma już 17 lat. Uwierzyłem. Zresztą kto by jej dał piętnaścię lat. Dobrze zbudowana, wygląda na prawdziwą kobietę.

Wychodzimy z pokoju. Próbuję nawiązać rozmowę z matką. Ale jaki to może być dialog między pijaną kobietą, a zdenerwowanym i przerażonym świadkiem tego niesamowitego widowiska.

— Dlaczego namawia pani córkę do uprawiania nierządu?

— Co też pan gada takie głupoty! Ja namawiam? Ja namawiam? Ma swoje lata, to wie co robi!

— Przecież to jeszcze dziecko — próbuję tłumaczyć.

— Taki chce jej pani zgotować los?

Milczenie. Spogląda na mnie zamglonym wzrokiem.

Opuszczamy w milczeniu mieszkanie. Razem z plutonowym wędruje na komendę mężczyzna. Jutro wieczorem już nikt nie „odwiedzi" Marioli w „rodzinnym" domu.. Dziewczyna zabrana zostanie do Pogotowia Opiekuńczego. Zmęczony wracam do domu pustymi ulicami miasta.

## PROSBA

— Proszę pana, czy mógłby mnie pan przyjąć do domu dziecka?

Oczy piętnastoletniej dziewczynki śledzą każdy mój ruch, zdają się błagać: Niech pan nie odmawia!

— Dlaczego chcesz iść do domu dziecka? Masz rodziców? Co oni robią?

Każda taka prośba dziecka rodzi dziesiątki pytań. I jakąkolwiek otrzymamy odpowiedź, pytać się będziemy dalej. Dlaczego?

— Proszę pana, ja do nich nie wrócę. Nie chcę, nie chcę! Jak mnie stamtąd nie zabierzecie, to nie wiem, co ze sobą zrobię!

— No dobrze, dobrze, zabiorę, tylko uspokój się. Żebym mógł ci pomóc — muszę znać całą prawdę, nawet tą, o której trudno jest czasami mówić.

— To wszystko, proszę pana, zaczęło się po śmierci ojca. Miałam wtedy dwanaście lat. Rok później matka ponownie wyszła za mąż. Początkowo było bardzo dobrze. Wydawało się, że ojczym kocha mnie jak własną córkę. Jego troskliwość i zapobiegliwość o dom łagodziły stopniowo mój wielki ból po stracie ojca. Cieszyłam się nawet, że będzie nam znów dobrze, jak dawniej. Szybko jednak zorientowałam się, że byłam w błędzie. Kiedyś, w czasie wieczornej kąpieli wszedł bez pytania do łazienki. „Jesteś ślicznie zbudowana — powiedział. — Kto by pomyślał, że masz dopiero czternaście lat".

— Wówczas nie wiedziałam jeszcze o co mu chodzi. — Dziewczynka zaczyna płakać. — Później... Matka pracowała właśnie na nocną zmianę w fabryce. Wrócił do domu, kiedy już leżałam w łóżku. Był podpity. „Nie chce mi się wyciągać pościeli z tapczana, jestem zmęczony" — powiedział od niechcenia. — Prześpię się z tobą". „To może ja przygotuję twoje łóżko?" — zaproponowałam. Kiedy jednak próbował się na mnie położyć zaczęłam krzyczeć. Dobiegłam do drzwi. Chciałam uciec na klatkę schodową. Schwycił mnie za włosy. „Kłaść się spać i milczeć. I ani słowa nikomu, bo jak nie, to ci tak gębę spiorę, że..."

Następnego dnia nie poszłam do szkoły. Zresztą po co miałam iść... żeby rozmyślać o tym, co się stało.. Matka przyjęła z niedowierzaniem wyjaśnienie o wymyślonej przeze mnie chorobie.

Nie wytrzymuję. Przerywam opowiadanie dziewczynki i własne milczenie.

— A matka? Co na to matka?

— Długo nie wiedziałam, co z sobą zrobić. Bałam się groźby ojczyma, ale przede wszystkim wstydziłam się matki.

— Mamo — zaczęłam — twój mąż... „Co ty wygadujesz, chyba naprawdę jesteś chora?" — Nie, mamo jestem zdrowa, ale tak było — szlochałam. „Dobrze, wyjaśnimy to wszystko, wyjaśnimy... porozmawiamy, porozmawiamy" — powtarzała w zdenerwowaniu.

— I co, rozmawiała? — zapytałem.

— Nie.

— Nie rozmawiała, nie żądała od niego wyjaśnień? — pytałem natarczywie.

— Nie, proszę pana. Kiedy ojciec wrócił z pracy, w milczeniu podała mu obiad, zmyłyśmy naczynia, posprzątałyśmy w mieszkaniu, a potem matka musiała już pójść na nocną zmianę. Tego wieczora nie rozmawiali z sobą.

— A później? — pytam.

— Później już było dobrze.

— Co to znaczy: było dobrze?

— No, rozmawiali ze sobą.

— A o tym też rozmawiali?

— Nie, o tym, nie. Proszę pana, to zabierze mnie pan do domu dziecka?

— Tak, tak, na pewno zabiorę, tylko musisz poczekać kilka dni, bo w tej chwili nie ma wolnych miejsc.

— Ale ja nie mam gdzie spać. Koleżanka powiedziała, że już dłużej u niej nie mogę nocować. Rodzice zabronili.

— Nie masz gdzie spać?

— Bo ojczym później jeszcze dwa razy próbował... Uciekłam z domu. Teraz nie mam już nikogo. Jeśli pan nie pomoże...

— Powiedz mi, dlaczego matka nie stanęła w twojej obronie?

— Nie wiem, proszę pana. Może bardzo go kochała i nie chciała stracić — dodała cichutko.

## W SPRAWIE ZOSI

Odbieram telefon.

— Halo? Czy to Kuratorium?

— Tak. Słucham.

— Dzwonię ze szkoły nr... Jestem wychowawczynią klasy IV. Wczoraj dowiedziałam się, że moja uczennica, Zosia W. od kilku dni pozbawiona jest jakiejkolwiek opieki. Ojciec w szpitalu, stan beznadziejny, matka z przyjacielem wyjechała w nieznanym kierunku. Zawiadomiłam już milicję. Chciałam prosić o umieszczenie Zosi w domu dziecka.

— Dobrze, proszę zaprowadzić dziecko do Pogotowia Opiekuńczego przy ul. Kopernika 36.

## OCZEKIWANIE

Nie będę powtarzał jeszcze jednej i jeszcze jednej tragedii małej, bezbronnej istoty. Pracując od wielu lat w Kuratorium Okręgu Szkolnego m. Łodzi na stanowisku wizytatora opieki nad dzieckiem, spotykam się codziennie z nieszczęściem dziecka — ofiarą rodzicielskiej bezmyślności, matczynego i ojcowskiego okrucieństwa. Przytoczone powyżej przykłady są więc tylko próbą odtworzenia tych zdarzeń, których sam byłem świadkiem, uczestnicząc, wspólnie z milicją, w kontrolach domów (czytaj — melin), bądź też słuchając relacji ludzi, którzy nie chcieli być jedynie biernymi obserwatorami dziecięcych tragedii i przyszli do Kuratorium szukać dla nich pomocy.

Jest w naszych łódzkich domach dziecka dużo dzieci, które już nigdy nie powrócą do swoich „mamuś" i „tatusiów", którym państwo nie pozwoli, dla ich dobra, wrócić do nich.

Dzieci te oczekują na swych przybranych, ale prawdziwych rodziców.

**TADEUSZ MICHALSKI**

ANDRZEJ MAKOWIECKI

# PRZETARG NA ROZBIÓRKĘ WSI

28 września br. przeczytałem w „Dzienniku Łódzkim" następujący komunikat:

**„Zakład Projektowania i Usług Inwestycyjnych „Inwestoprojekt" Łódz-Miasto, ul. Piotrkowska 94, ogłasza przetarg nieograniczony na sprzedaż do rozbiórki obiektów i innych naniesień znajdujących się na nieruchomościach w Łodzi: ul. Bydgoska 13, 15; ul. Balonowa 99, (i dalej do nr 148); ul. M. Fornalskiej 42, ul. Narciarska 19; ul. Zagrodniki 15. W przetargu mogą brać udział przedsiębiorstwa państwowe, spółdzielcze, nieuspołecznione oraz osoby fizyczne.**

**Przystępujący do przetargu winni obowiązkowo wpłacić wadium w wysokości 1000 zł (jeden tysiąc) od każdej nieruchomości na konto CZ SBM (...) co najmniej na 1 dzień przed datą przetargu".**

Podążając tropem tej informacji przekonałem się, że za zimnym szpalerem cyfr kryje się wiele pięknych planów i wspaniałych nadziei, wiele oczekiwań, radości, westchnień, smutków i ludzkich łez...

**Dworzec Kaliski** jest ostatnim przyczółkiem śródmieścia. Za Dworcem Kaliskim nie ma już tylu pojazdów na drogach, a ulice w porze zmierzchu świecą pustkami. Hałas, dym, sadze, tłok w autobusach i rejwach na tramwajowych przystankach — wszystko to przecina skalpel torów. W centrum zostały teatry i kina tu jest jeszcze trochę zieleni. Centrum dyszy, przedmieście oddycha Za Dworcem Kaliskim rozpoczyna się inne życie...

Mijając stadion i wchodząc w przeciąg ulicy Bratysławskiej można poznać kilka nowych dzielnic. Na niektórych tynk zdążył już obeschnąć, ale są i takie, których wizja drzemie jeszcze w planach. Po lewej ręce rozciąga się kompleks czteropiętrowych domów z górującym nad nimi, samotnym wieżowcem... Kawiarnia, restauracja, urząd pocztowy, biblioteka, klub Spółdzielni Mieszkaniowej **„Osiedla Młodych"**, Dom Handlowy **„Gosia"**, parę magazynów, apteka, pralnia, księgarnia i coś tam jeszcze... Jest to skromny, ale piękny kawałek miasta: barwny, uporządkowany fragment ulicy, która w swoim dalszym biegu, tuż za Wróblewskiego, gdzie kończy się trasa trzech pośpiesznych autobusów: **„F", „G", „K"** gwałtownie zmienia charakter...

Patrząc wciąż w lewo widzi się teraz więcej tych wysokich, dziesięcio- i jedenastopiętrowych bloków: jedne już zamieszkałe, inne w fazie szklenia i malowania, pod jeszcze inne kładzie się dopiero fundamenty. Robota trwa aż do późnych godzin wieczornych, a także w niektóre niedziele. Idzie zima, trzeba się śpieszyć... Mróz jest wrogiem tych, co wznoszą domy i tych, co kilkadziesiąt metrów dalej ryją pod torami jeszcze jedno piękne, bezkolizyjne przejście, jeszcze jeden wiadukt. Zastępca Przewodniczącego Prezydium RN m. Łodzi — KSAWERY KRASSOWSKI, nie kryje zadowolenia: — będzie wspaniała trasa: połączy nas z Pabianicami i odciśnie swoje piętno na całej dzielnicy.

Po prawej stronie, w kwadracie ulic: Bratysławska, Oszczepowa, Retkińska i Balonowa wyrosła niepostrzeżenie inna wielka dzielnica. To już nie KAROLEW. To RETKINIA. W promieniach październikowego słońca wyraźnie rysują się kontury bloków z białego betonu: kolonia czteropiętrowców okraszona tu i ówdzie wieżowcami o szlachetniejszych niż w innych dzielnicach sylwetach. Przewodniczący **Krassowski:**

**„W pierwotnych planach Retkinia miała liczyć sto dwadzieścia tysięcy. mieszkańców. Teraz, po rezygnacji z Pienistej mówimy o osiemdziesięciu pięciu. Retkinia rozbudowywać się będzie „na Zachód" i zyska sobie w przyszłości dobrą sławę, podobnie jak zyskał ją sobie Teofilów C — najpiękniejszy chyba fragment Łodzi".**

Pomiędzy Karolewem, który kończy się na wspomnianym już wiadukcie, a Retkinią, która tu się dopiero zaczyna, biegną cztery tramwaje: „8" i, w godzinach szczytu, „24" kończą bieg przy Oszczepowej, „19" i „20" przedzierają się porytym koparkami tunelem tej ulicy aż do Retkińskiej, w którą skręcają i zatrzymują się dopiero w szczerym polu. Kontrast jest tu ogromny. Z jednej strony — biała, pięknie pod względem architektonicznym rozwiązana i szybko pnąca się w górę dzielnica, z drugiej — wyszczerbki starych domów, pozbawione chodników drogi, kępy drzew, dzikie połacie trawy, ugorne placyki... Przechodzisz jeszcze obok poletka kukurydzy i już masz przed sobą **ulicę Balonową.**

Trzeba przyznać, że jest się tutaj czym zdziwić i wzruszyć. Bo to już niby Łódź (i nie od wczoraj), ale tak naprawdę — mamy przed sobą najprawdziwszą, dorodną wieś. Ciągną się wzdłuż ulicy chałupy pod słomą, stodoły za smołowanymi parkanami, sady owocowe, gdzie błyszczą w słońcu gruszki i jabłka czerwone jak krew i większe niż pięść. Z bocznych dróżek wyjeżdżają raz po raz chłopskie, zawalone warzywami furmanki; wiejskie kobiety pedałują zawzięcie na rowerach skrajem żwirowanych alejek. Poprzez szpary w płotkach przeświecają uprawne, pocięte w szachownice poletka, a przed każdą posesją, od frontu, stanowiąc niejako wizytówkę poszczególnych gospodarzy, wybuchają klomby kwiatów. Dla przybysza ze śródmieścia Balonowa, to właśnie kwiaty! Nie kończąca się rewia gerberów, chryzantem, wysokich róż, astrów, goździków, których wielkość zdumiewa i na które mówi się tutaj: szaboty...

Zaczepiam dwóch młodych ludzi, którzy idą wolno w stronę tramwajowego przystanku:

**— Panowie z tej wsi?**

— To już miasto, prosze pana!

**— No, wiem, administracyjnie miasto... I co tu słychać?**

— Względem tej rozbiórki?

**— Tak.**

— Żałoba!

**— Wszyscy się martwią?**

— Nie wszyscy — mówi niższy z tych dwóch. — Starzy się martwią, młodzi się cieszą.

**— A panowie?**

— My jesteśmy młodzi...

Podają mi swoje nazwiska. **Adam Pycio** ma dwadzieścia jeden lat. Twierdzi, że namieszkał się już w tym wiejskim pejzażu i tylko czeka, żeby przeprowadzić się gdzieś bliżej śródmieścia. Kłopot polega na tym, że dadzą mu wraz z rodziną wspólne mieszkanie, a on, ewentualnie, chciałby się ożenić. Pycia kolega prosi, żebym nie ujawniał w druku jego nazwiska. Też ma dwadzieścia jeden lat i też chętnie się wyprowadzi. Nie, w blokach mieszkania nie chce, woli jakąś kawalerkę zastępczą w okolicy Piotrkowskiej...

Wchodzę z nimi do wiejskiej spółdzielni. Biorą piwo; przysiadają na ganku pośród innych wielbicieli chmielu: robotników rolnych, gospodarzy... Kierowniczka spółdzielni, **Maria Lopka** jest chętna do zwierzeń... Jej dom zniknął już z powierzchni ziemi. Dostała mieszkanie kwaterunkowe na Kopernika. Owszem, proponowano jej bloki, ale mąż jest rzemieślnikiem, jego praca wymaga odpowiednich pomieszczeń. Trudno było mu się przyzwyczaić do nowej dzielnicy. Rozpaczał, nie spał po nocach.

**— A pani?**

— No, widzi pan. Tam mieszkam, a tu codziennie przyjeżdżam do pracy. Nawet w niedziele źle mi w mieście i zaglądam tu na parę godzin. Ale to już niedługo. Za miesiąc nie będzie już tej spółdzielni, tak jak nie ma już moich kwiatów i moich drzew...

**Janina Mucha i Teresa Karp** tkwią w tym samym nastroju. Człowiek przyzwyczaił się do swojego... Ciężko mu będzie zamieszkać w blokach. To nieprawda, że cała młodzież raduje się z rozbiórki. Radują się ci, którzy biorą w niej udział, i ci, którzy mają stare domy i nierentowne gospodarstwa. Ale więcej jest takich, co rozpaczają. Pewnie, starzy cierpią najwięcej... Ile już tu było zebrań w tej sprawie... Ile delegacji i pism do Ministerstwa i władz miejskich...

W spółdzielni otacza mnie coraz więcej ludzi. Nie wierzą już, aby dało się cokolwiek zmienić czy choćby odroczyć. Chcę po prostu podzielić się swoimi rozterkami. To prawda, że władze dają im wysokie odszkodowania i że momentalnie zapraszają ich do zamieszkania w nowych blokach. Jak kto przywiązany do miejsca, w którym stoi jeszcze jego dom, to może dostać mieszkanie w tym bloku, który powstanie niebawem na jego ziemi... **Wacław Duraj,** sześćdziesięciosiedmioletni obywatel, czeka na taką podmianę.

**— Ile pan dostał za swój dom?**

— 270 tysięcy.

**— A za ziemię?**

— 51.

**— A za wszystko?**

— Za wszystko, to dostałem dokładnie 447 tysięcy 426 złotych.

**— Jest pan na rencie?**

— Tak, moja renta wynosi 1.580 złotych.

**— I mimo to jest panu smutno?**

— No, pewnie. Człowiek przyzwyczaił się rządzić na swoim.

**— Ale rozumie pan konieczność tych zmian?...**

— Rozumiem. Wszyscy ludzie, nawet ci, co rozpaczają, rozumieją, że trzeba się poddać wyższej racji. Tyle tylko że niektóre domy są takie ładne... Mogłyby chyba pozostać wśród tych bloków...

To prawda. Niektóre domy, to po prostu wille. Tarasy,balkony.W środku centralne ogrzewanie, łazienki... Państwo płaci za nie odszkodowania w wysokości kilkuset tysięcy złotych, a biorący udział w przetargu na rozbiórkę kupują je za dwa, trzy tysiące... Łapie mnie na ulicy zdenerwowana ko-

# RETKINIA

(Dalszy ciąg na str. 6)

# RETKINIA

(Dalszy ciąg ze str. 5)

bieta. Zaczęła budować swoją willę przed dziesięcioma laty, pięć lat dopiero mija, jak tu mieszka... I już będzie trzeba się wyprowadzać... Nie mógłby pan coś poradzić?...

Przewodniczący Prezydium RN m. Łodzi — **Ksawery Krassowski,** powiedział mi, że niektóre z tych strojnych domów uda się wkomponować w powstającą, piękną dzielnicę. Zieleń, drzewa — będą chronione. Wszystko, co cenne i ładne podlega specjalnej trosce.

Nie mówię jednak o tym. Nie wiem przecież, czy ostanie się akurat jej dom.

Wędrując od zagrody do zagrody szybko nabieram przekonania, że podział: młodzi się cieszą, starzy rozpaczają, jest z gruntu fałszywy...

Na skraju wioski rozmawiam z siedemdziesięciotrzyletnią **Anną Brych.**

— Pan do wyceny? — pyta z nadzieją w głosie. Wspiera się na lasce, cierpli od lat na gościec stawowy. — Do mnie pan może?

**— Nie. Jestem z prasy.**

— Aaaa. — W głosie kobiety słychać zawód.

**— A pani dom także do rozbiórki?**

— Tak. Nie mogę się już doczekać.

**— Nie szkoda pani gospodarstwa?**

— Nie.

**— I gdzie pani zamieszka?**

— Albo w blokach z siostrzenicą, albo w Domu Rencisty. Ale raczej w Domu Rencisty. Wie pan, jak to jest z rodziną. Stary człowiek nie ma już u młodych uważania.

**— I nie żal pani wsi.**

— Nie. Stoję tak na drodze i czekam. O, widzi pan? — pokazuje mi sąsiednią chałupę, którą nawiedza właśnie jakiś urzędnik, a później inną chałupę i innego, krzątającego się na podwórku urzędnika. — Tam już przyszli, a ja nie mogę się doczekać...

Kiedy wracałem, zaczepił mnie na drodze jeszcze inny urzędnik. Szukał właśnie zagrody Anny Brych!

Zagrodniki też były dużą i bogatą wsią — tłumaczy mi pięćdziesięcioletni, ogorzały jegomość. — Panie, jaki był krzyk, kiedy likwidowali Zagrodniki. Dużo chłopów cierpiało, ale teraz, jak się niektórych spotyka, to są zadowoleni. Pourządzali się jakoś w tych blokach. Gadam z jednym, a on powiada: Kanada! Ciepła woda, ogrzewanie w tych, no... kalafiorach...

**— Ma pan ziemię?**

— Trochę. Ale, panie, tu mało kto żyje z samej ziemi. Albo się dorabia w przemyśle, albo w handlu. Ja jestem za rzemieślnika...

**— Ma pan dzieci?**

— No, pewnie. Syn chodzi do Technikum w Łodzi. On mówi: ja jestem łódzki chłopak i ja dla Łodzi źle nie chcę. Łódź potrzebuje mieszkań z kulturą, a nie jakichś tam chałup i stodół!

**— Nie wszyscy tak mówią i tak myślą.**

— No, pewnie. Ludziska boją się nowego. Przywykli do starych kątów.

Rozmawiając z **Marią Lopką,** usłyszałem:

— Retkinia żywiła kiedyś pół Łodzi. I co ma teraz począć człowiek o duszy rolnika? Co?! Pójdzie do bloków i codziennie będzie stamtąd wychodził w pole? Słyszał pan o czymś takim?

**— Ziemię też można sprzedać.**

— Oczywiście. Wszystko można. Ale on kocha te swoje obory, ten swój sprzęt: maszyny, traktory, sieczkarnie i ten swój inwentarz... Gdzie teraz będzie trzymał konie, krowy, owce, kury, kozy...

A zatem wieś, czy też **ulicę Balonową** toczy rozterka. Jedni cieszą się z tego, co nadchodzi, inni opłakują to, co musi odejść. Jedni robią bilans tego, co już dostali od miasta (elektryczność, tramwaje, oświetlenie ulic, szkołę) i tego, co jeszcze dostaną (sklepy, kluby, restauracje, kina, kioski, pawilony usługowe), inni wspominają to, co już stracili (ową sielską ciszę) i to, co lada miesiąc stracą (ów sielski, ukwiecony krajobraz).

Niepokój, który unosi się nad wioską, nie jest w historii kraju czymś nowym.

Niepokój ten jest zaledwie miniaturą dramatów, które przeżywali kiedyś mieszkańcy wiosek pod Nową Hutą i Soliną, Turoszowem i Płockiem, Tarnobrzegiem i Olsztynem.

**Wiadomo — gwałtowne przemiany, jakkolwiek zawsze prowadzą do wzniosłych celów, wymagają takich ofiar. To, co zapoczątkowało się w Łodzi po Grudniu, można biorąc pod uwagę długoletnią stagnację i wiekowe zaniedbania, nazwać rewolucją. Łódź realizuje obecnie swoją wielką szansę rozwoju. Łódź potrzebuje nowych dzielnic dla dziesiątków tysięcy ludzi. Jest to interes nadrzędny, któremu — chcąc nie chcąc — muszą podporządkować się jednostki.**

**Zresztą, rozmowy z mieszkańcami ulicy Balonowej utwierdziły mnie w przekonaniu, że wszyscy, nawet ci najbardziej zagorzali obrońcy starego krajobrazu, pogodzili się w duchu z sytuacją. A nawet więcej — uznają, że jest to dziejowa konieczność na której ich dzieci na pewno nie stracą.**

ANDRZEJ MAKOWIECKI

# MIASTO SPÓŁDZIELCZE

**W pierwotnym założeniu RETKINIA miała być miastem 100-tysięcznym. Dla porównania: budowana od 1951 roku Nowa Huta — dziś dzielnica Krakowa — jest miastem 100-tysięcznym, Nowe Tychy — również budowane przez wiele lat są dziś miastem 70-tysięcznym, a największe miasto województwa łódzkiego — Pabianice — ma przeszło 60 tys. mieszkańców. RETKINIA jednak w ostatecznej wersji będzie miała około 80 tys. mieszkańców.**

**— Co spowodowało tę zmianę** — pytam inż. **WITOLDA WIĘCKOWSKIEGO,** zastępcę dyrektora Zakładu Projektowania i Usług Inwestycyjnych Łódź — Miasto, Zakładu podległego Łódzkiemu Oddziałowi Centralnego Związku Spółdzielczości Mieszkaniowej.

— Kiedy opracowywano założenia dla Retkini projektowano wtedy według innych zasad architektonicznych i urbanistycznych. Dziś są one już zmienione. Budynki stawia się w większej niż poprzednio odległości, więcej miejsca zostawia się na zieleń i tak zwaną małą architekturę, pełniej wyposaża się osiedla w pawilony handlowe i usługowe, a także budujemy mieszkania o większej niż uprzednio powierzchni. I to wszystko wpłynęło na to, że Retkinia będzie miała w ostatecznym kształcie nie 100 tys. mieszkańców, a około 80 tysięcy.

**— Na kiedy? To znaczy, kiedy planuje się zakończenie budowy nowego miasta w zachodniej części Łodzi?**

— Chcemy poważnie skrócić pierwotny termin i planujemy ukończenie budowy Retkini w 1978 roku.

**— To już za pięć lat. Sądzę, że nie będzie to łatwe.**

— To nie jest łatwe już teraz.

**— Dlaczego?**

— Kłopotów jest wiele.

**— Zacznijmy od pierwszego z brzegu.**

— Wszystkie są pierwsze z brzegu i dlatego proponuję inny porządek. Od dołu, czyli od podstaw. A więc od załatwiania spraw majątkowo-prawnych dotychczasowych posiadaczy ziemi i zabudowań w rejonie przyszłego miasta oraz od spraw przygotowania tych terenów pod budowę.

**— Są tu opóźnienia?**

— Tak, bo są to dość trudne sprawy. Podam może taki przykład. Mamy budować szkołę. Zdecydowano, że już teraz rozpoczniemy jej budowę, aby była gotowa, kiedy będą już stały bloki Retkini — Wschód, Retkini — Zachód i Retkini — Śródmieście. Ale teren, gdzie ma stanąć szkoła należy do dwóch rolników. Jeden godzi się na sprzedanie swojej ziemi na proponowanych mu warunkach, a drugi — nie. Sprawa przeciąga się, a tu trzeba już przygotowywać uzbrojenie terenu, czyli kłaść kanalizację, zakładać sieć elektryczną, budować wodociągi, drogi i tak dalej.

**— Przyszłe miasto Retkinia leży na terenach rolniczych.**

— I to powoduje nie tylko kłopoty przy wywłaszczaniu dotychczasowych właścicieli. Niektórzy godzą się na wykup ziemi, wpłacają wkład do spółdzielni mieszkaniowej i otrzymują mieszkania, porzucając tym samym rolnictwo. Inni dostają ziemię w innych rejonach, ale często bez zabudowań, a więc potrzebny im czas na zorganizowanie nowej gospodarki. To też nie ułatwia budowania nowego miasta.

**— Przyszła Retkinia leży też na terenach pozbawionych wszelkich urządzeń komunalnych.**

— I to też dotyczy spraw podstawowych. Trzeba nie tylko uzbrajać teren pod przyszłą budowę, ale mieć do czego podłączyć sieć kanalizacyjną, wodociągową, gazową czy centralnego ogrzewania.

**— Prace muszą zatem postępować jednocześnie, na kilku odcinkach. Jest to przykład inwestycji kompleksowej, gdzie jakiekolwiek opóźnienie wywołuje cały łańcuch ujemnych skutków.**

— W tej chwili budujemy Retkinię — Wschód. W naszym języku określamy to jako realizację czterech zadań. Pierwsze — to Zagrodniki I i zadanie to kończymy. Drugie — to Zagrodniki II, ale w części południowej. I tu już oddaje się pierwsze bloki. Trzecie — to dalsza część osiedla Zagrodniki II — północna. Tutaj buduje się urządzenia komunalne oraz tak zwane stany zerowe. Wreszcie zadanie czwarte — to Piaski, będą one leżały w poprzek ulicy Balonowej i tu trzeba przygotowywać uzbrojenie terenów.

Ale na tym nie koniec. Przystępujemy też do budowy osiedla, które będzie leżało przy ul. Hufcowej i będzie w przyszłości należało do śródmieścia Retkini, a także zaczynamy przygotowania do budowy Retkini — Zachód. Pierwsze domy Retkini — Zachód mają być gotowe w 1975 roku i właśnie, aby dotrzymać tego terminu już teraz trzeba przystępować do uzbrajania terenu.

**— A śródmieście?**

— Budowa śródmieścia Retkini będzie ostatnim etapem budowy miasta.

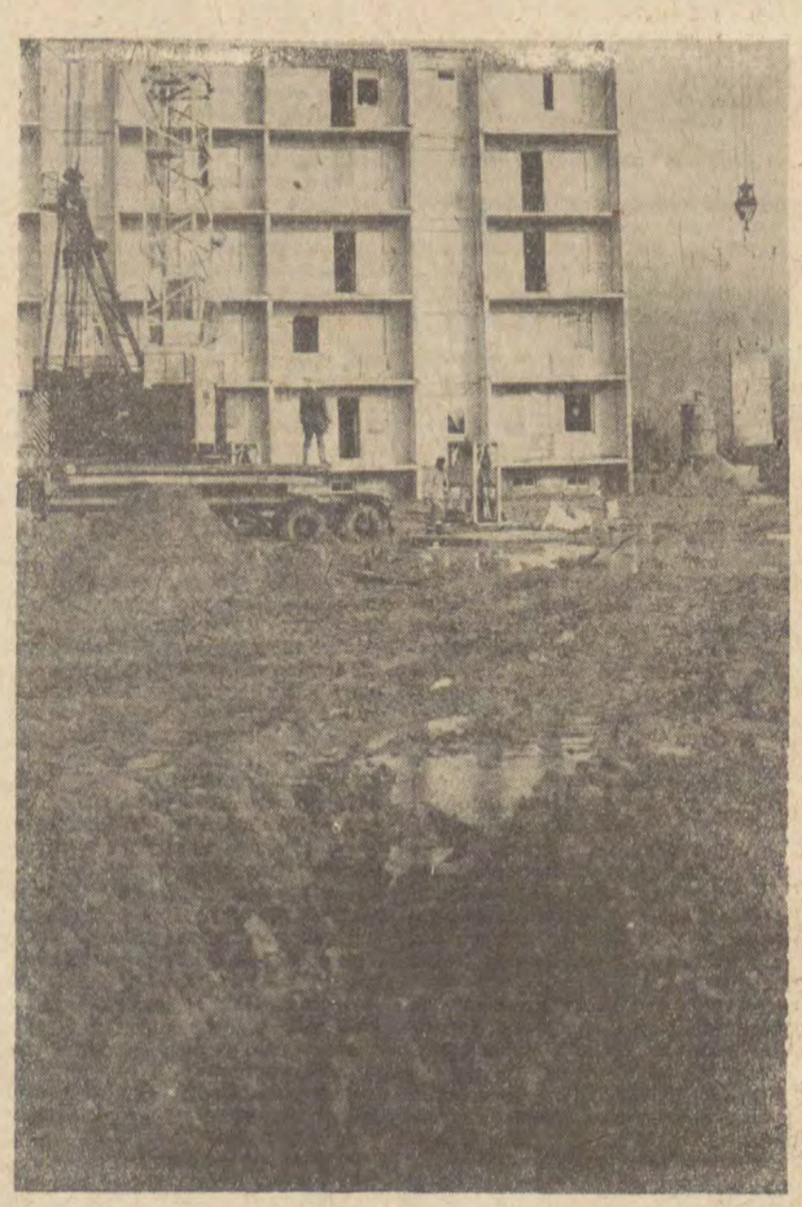

**— Co planuje się w śródmieściu?**

— Będzie to centrum handlowo-usługowe dla całego miasta.

**— Niezależnie od tego, że każde osiedle będzie miało odpowiednie wyposażenie w sklepy, punkty usługowe, szkoły i przedszkola?**

— Niezależnie. Dla śródmieścia przewidujemy centralne szkoły, ośrodek zdrowia, kawiarnie, restauracje, hotel, kina.

**— A teatr? Czy pomyślano o tym, że w takim mieście — dość przecie oddalonym od ulicy Piotrkowskiej — przydałby się teatr?**

— Przewiduje się dużą salę teatralno-kinową. Jest już urbanistyka przyszłego centrum Retkini. Natomiast nie ma jeszcze szczegółów dotyczących samego projektu. Jest tu jeszcze wiele niewiadomych. Retkinia będzie przecież miała około 80 tys. ludności, pomyśleliśmy więc o radzie narodowej dla tej części Łodzi. Może to być w przyszłości dzielnica, ale dziś jednak trudno odpowiedzieć, czy to będzie samodzielna dzielnica, czy też nie, bo może nie będzie takiej potrzeby. Natomiast na pewno trzeba będzie postawić budynek dla Zarządu Spółdzielni „Polesie", która będzie administrowała tym miastem.

**— Spółdzielczym miastem.**

— Tak. To jest pewnik. O teatrze myślano również, ale decyzji jeszcze nie ma.

**— Retkinia będzie miastem administrowanym przez spółdzielczość i jest miastem budowanym przez spółdzielczość. Czy to jest tylko specyfika Łodzi?**

— Myśli pan też o Teofilowie?

**— Niezupełnie. Teofilów stał się spółdzielczym osiedlem już w trakcie budowy. Retkinię buduje przecież spółdzielczość od pierwszego bloku. Na Teofilowie było trochę inaczej.**

— W Poznaniu powstaje podobne osiedle — Winogrady. Ale wracając do Retkini, to prawda, że buduje ją spółdzielczość, bo nasz Zakład Projektowania i Usług Inwestycyjnych jest generalnym inwestorem i zajmujemy się budowaniem całego miasta, ale budujemy je dla „Polesia" — domy mieszkalne, jak też dla oświaty — szkoły i przedszkola, dla służby zdrowia — ośrodki zdrowia, przychodnie, dla handlu i dla usług. Do tej pory nie zajmowaliśmy się inwestowaniem w tak szerokiej skali i musimy gromadzić niezbędne doświadczenia.

**— A kto projektuje?**

— „Miastoprojekt".

**— Czy macie również wpływ na architektoniczny kształt Retkini, bo jak do tej pory jest ona szara i jednostajna.**

— Zdajemy sobie z tego sprawę. Retkinia powstaje z elementów przygotowywanych przez Fabrykę Domów, to trochę utrudnia urozmaicenie. Ale myślimy i o tym i będziemy dążyli do tego, aby było to nie tylko duże miasto spółdzielcze, ale i piękne miasto. Wiele można będzie osiągnąć przez urozmaiconą, atrakcyjną, dobrze zaprojektowaną i dobrze wykonaną tak zwaną małą architekturę.

**— Byłoby dobrze, aby tak się stało, bo mamy już w Łodzi sporo monotonnych osiedli, a bardzo potrzeba ładnych, w których chciałoby się mieszkać.**

— Myślę, że Retkinia taką właśnie będzie, kiedy będzie już gotowa.

**— Życzę powodzenia!**

**Rozmawiał:**
**HENRYK WARECKI**
**Zdjęcia: W. PARYS**

# PLASTYKA

**W wydanym w 1932 roku pierwszym katalogu łódzkiego zbioru sztuki nowoczesnej Przecław Smolik napisał, iż kolekcja ta „... pozwala po raz pierwszy w Polsce spojrzeć poważnie i z bliska w twarz tej głębokiej, a tak mało jeszcze rozumianej rewolucji, jaka się odbywa w sztuce europejskiej od lat dwudziestu pięciu". Właśnie... spojrzeć w twarz trwającej rewolucji artystycznej — to motto i kwintesencja działalności grupy a.r. i ludzi z nią związanych, dzięki którym kolekcja powstała (a były to lata trzydzieste, a rzecz się działa w Polsce, w mieście Łodzi!), a także słowa, którymi jak busolą kieruje się w swych poczynaniach Muzeum Sztuki po dziś dzień.**

ANDRZEJ GRUN

## SPOJRZENIE WSTECZ

Czterdzieści lat minęło od chwili powstania pierwszej kolekcji i śmiało można powiedzieć, że powstała ona na zgoła „wariackich papierach". Sprzyjały tu: szczęśliwy zbieg okoliczności, który splątał w jeden węzeł drogi ludzi o podobnych sobie poglądach na sztukę i jej funkcję w społeczeństwie: wysoki fundusz, jakim były idealizm i świadomość artystyczna, wiara w słuszność własnych przemyśleń, chęć służenia swoją twórczością szerokiemu ogółowi, niezłomne pragnienie włączenia sztuki w rytm życia. Nareszcie siła napięcia, jaka kryła się w ówczesnych przemianach artystycznych i pozaartystycznych w Europie i w Polsce. To były kamienie fundamentów, na których zbudowane jest dzisiejsze Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Położyło je kilku ludzi własnymi rękami, pokonując przeszkody nie tylko materialnej natury, ale przede wszystkim wbrew powszechnej opinii zarówno co do sensu samej koncepcji zorganizowania kolekcji sztuki nowoczesnej i to w Łodzi, jak i co do wartości poszczególnych eksponatów. Szeroki odbiorca z lubością wszak kontemplował amaranty, malwy i półodsłonięte dziewice, grono światlejsze nie wyszło poza zaklęte kręgi Młodej Polski. Grupy awangardowe — Ekspresjoniści, Fromiści, Blok, wreszcie Praesens — były grupami hermetycznymi, bez możliwości, a nieraz i ambicji szerszego oddziaływania. Dopiero secesja Praesensu w postaci grupy a.r. wysunęła szeroki program sztuki nowoczesnej w Polsce, obejmujący wszystkie dyscypliny: malarstwo, rzeźbę, architekturę, grafikę (w tym szczególny nacisk na typografię) i poezję.

Sama nazwa **a.r.** miała różne interpretacje. Z początku, wedle listu Strzemińskiego do Przybosia z 26 czerwca 1930 roku, sygnowała jedynie **„nazwę abstrakcyjną"**, potem oznaczać miała **„rzeczywistą awangardę"** aby wreszcie w powojennych artykułach Przybosia stanowić skrót **„artyści rewolucyjni"**, jako rzekomo najbardziej odpowiadający prawdzie. Motorem ideowym grupy był **Władysław Strzemiński.** Praktykiem najbardziej dojrzałym artystycznie spośród malarzy — bez wątpienia **Henryk Stażewski.** Ponadto należeli: rzeźbiarka **Katarzyna Kobro** i poeci — **Julian Przyboś** oraz **Jan Brzękowski.** Próby skaptowania **Jalu Kurka** nie przyniosły pozytywnego rezultatu.

Szukając możliwości szerszego oddziaływania na społeczeństwo i poszczególne grupy artystyczne Władysław Strzemiński usiłował z wychodzącej w Warszawie **„Europy"** uczynić bastion przeciw tendencjom wrogim sztuce nowoczesnej i trybunę dla programu grupy. Wysiłki te spaliły na panewce. „Europa" bliższa była „zachowawczemu modernizmowi" reprezentowanemu przez architektów z Praesensu, niż radykalnym propozycjom Strzemińskiego i Stażewskiego.

Powstał więc następnie projekt stworzenia biblioteki a.r. Jako tom pierwszy ukazały się poematy Juliana Przybosia pt. „Z ponad" w graficznym opracowaniu Władysława Strzemińskiego i rozesłane za granicę wraz z ulotką-manifestem (Komunikat Nr 1), zwróciły tam uwagę w kołach artystycznych (przede wszystkim w Paryżu) na poczynania grupy.

Koncepcja zorganizowania w Polsce międzynarodowej kolekcji sztuki nowoczesnej wyszła od Strzemińskiego, jak się przypuszcza już w roku 1923. W Moskwie miał on możność oglądania zbiorów prywatnych, m. in. Szczukina i obserwował, jak **„publiczność na początku oglądała tylko impresjonistów, a w 1918 przesunęła się do Cezanne'a, a w 1921 już oglądała Picassa. (...) zbiory przyśpieszyły jej rozwój artystyczny".** Tak więc Strzemiński, przede wszystkim teoretyk i pedagog o **„wzbogaceniu zawartości wzrokowej"** odbiorcy myślał, wysuwając najpierw przed Szczuką i członkami Bloku, potem w Praesensie, wreszcie w a.r. pomysł kolekcji. To, że owa kolekcja powstała w Łodzi, było sprawą czystego przypadku — Warszawa jej wtedy nie chciała, do Krakowa było za daleko, Strzemiński mieszkał w Koluszkach. To, że powstała w ogóle, zawdzięczać trzeba poszczególnym ludziom, cieszącym się w kołach artystycznych w Polsce i za granicą (za granicą to znaczyło naonczas w Paryżu) prestiżem, szacunkiem i towaszyskimi koneksjami. A więc najpierw Janowi Brzękowskiemu, który prowadził sekretariat Towarzystwa Wymiany Kulturalnej między Polską a Francją w Paryżu, redagując równocześnie z pomocą **Wandy Chodasiewicz-Grabowskiej** (początkowo uczennicy, potem żony Legèra) pismo **„L'Art Contemporain"** — Sztuka Współczesna. Nie bez znaczenia był również fakt przynależności Stażewskiego do **„Cercle et Carré", a potem do „Abstraction-Création"** (do której należeli również Władysław Strzemiński i Katarzyna Kobro) i wreszcie poezje Przybosia znane były i czytane nad Sekwaną w wąskiej, co prawda, ale rosnącej wciąż w znaczenie grupie ludzi.

Jak odbywało się zbieranie dzieł? Cóż, po prostu drogą darowizn, płacić bowiem nie było czym. Brzękowski w liście do Przecława Smolika, przewodniczącego Wydziału Oświaty i Kultury Magistratu Łódzkiego pisał:

**„Wartość obrazów, które przesyłam, wynosi od 80.000 do 90.000 franków, licząc według przeciętnie płaconych cen rynkowych. Zaznaczam, że muzeum nowej sztuki w Jugosławii płaci za obrazy, gdyż nie potrafiło inaczej trafić do artystów. Muzeum w Łodzi będzie miało jedyną w swoim rodzaju kolekcję bez żadnych kosztów".**

A czyje obrazy przysłał Brzękowski, przywieźli Stażewski i Rafałowski? **Baumeistera, Huszara, Jvostensa, Seuphora, Arpa, Maxa Ernsta, Mondriana, van Doesburga, Lègera** i innych. Z polskich artystów obrazy ofiarowali m. in. **Hiller, Maria Łunkiewicz, Chwistek, Rafałowski, Wanda Chodasiewicz-Grabowska, Stanisław Grabowski.** Tak więc w Katalogu kolekcji, widział zestaw nazwisk doborowych i znaczących w awangardzie europejskiej.

Organizatorzy bali się o losy kolekcji — miejsce na ekspozycje, zabezpieczenia zbiorów nie byli już w stanie załatwić na własną rękę. Po długich pertraktacjach i targach 15 lutego 1931 roku podpisana została umowa między Magistratem a grupą a.r. (Smolik-Strzemiński), traktująca o przekazaniu na okres 10 lat w depozyt Muzeum Miejskiemu zbiorów sztuki nowoczesnej. Klauzula wzniesiona do umowy nadmieniała, że jeśli w tym okresie zbiory nie zostaną przez grupę wycofane, przechodzą automatycznie na własność Muzeum.

I znów szczęśliwym zbiegiem okoliczności był fakt, że we władzach miejskich w latach 1927—1934 znaleźli się ludzie na tyle światli i odważni (Łódź — potentat przemysłowy — była kulturalnym ugorem, o czym nie trzeba chyba przypominać), iż docenili wartość „prezentu" (kłopotliwego przecież, gdy pomyśli się choćby o opinii publicznej) i gotowi byli nawet pewne kwoty inwestować (katalog, ekspozycja, opłata przesyłek w dewizach). W samorządzie zasiadali wtedy przedstawiciele PPS — **inż. Bronisław Ziemęcki i Przecław Smolik,** których indywidualne pasje intelektualne i społeczne dążyły do kulturalnego wywyższenia miasta (ufundowano wtedy właśnie m. in. nagrodę m. Łodzi).

W 1933 roku wyszedł pierwszy numer czasopisma **„Formy"** (redaktor naczelny — K. Hiller, a w redakcji zasiadał Strzemiński), organ Związku Polskich Artystów w Łodzi. Pismo to przyczyniło się w ogromnej mierze do popularyzacji kolekcji i sztuki nowoczesnej w ogóle. Drukowano tam m. in. artykuły Mondriana i Malewicza. Równocześnie trwa edycja biblioteki a.r., co z kolei wzmacnia prestiż samej grupy. W 1935 roku dyrektorem Muzeum Miejskiego zostaje lwowski historyk sztuki, **dr Marian Minich,** który drogą zakupów i darowizn powiększa zbiory, przeprowadzając równocześnie obszerną kampanię propagandową na łamach prasy krajowej...

Przyszedł rok 1939. Siódmy numer pisma „Formy" został skonfiskowany przez Niemców w pracowni **Stefana Wegnera.** Z wojennej zawieruchy kolekcja wyszła okaleczona — panowie spod znaku złamanego krzyża nie bardzo gustowali w takiej sztuce...

* * *

W 1972 r. otwarta została w Muzeum Sztuki wystawa z okazji 40-lecia grupy a.r. (kolekcja, dokumenty). Zaprezentowała nam również przykłady rodzimej awangardy powojennej. Śmiały ten zabieg odczytać należy jako próbę konfrontacji i oczyszczenia. Oczyszczenia z mitów, w jakie jedna i druga awangarda obrosły. Z legend, którymi karmiły się i karmią nadal. Była to wystawa dla mądrych i dociekliwych. Jednocześnie były to zaklęte w obrazy sny, marzenia i jeszcze coś więcej — drgający napięciem wykres trudu, odwagi i wiary.

Z tej konfrontacji wyłonił się aktualny kształt muzealnej ekspozycji. Warto mu się przyjrzeć, jest bowiem wielce pouczający.

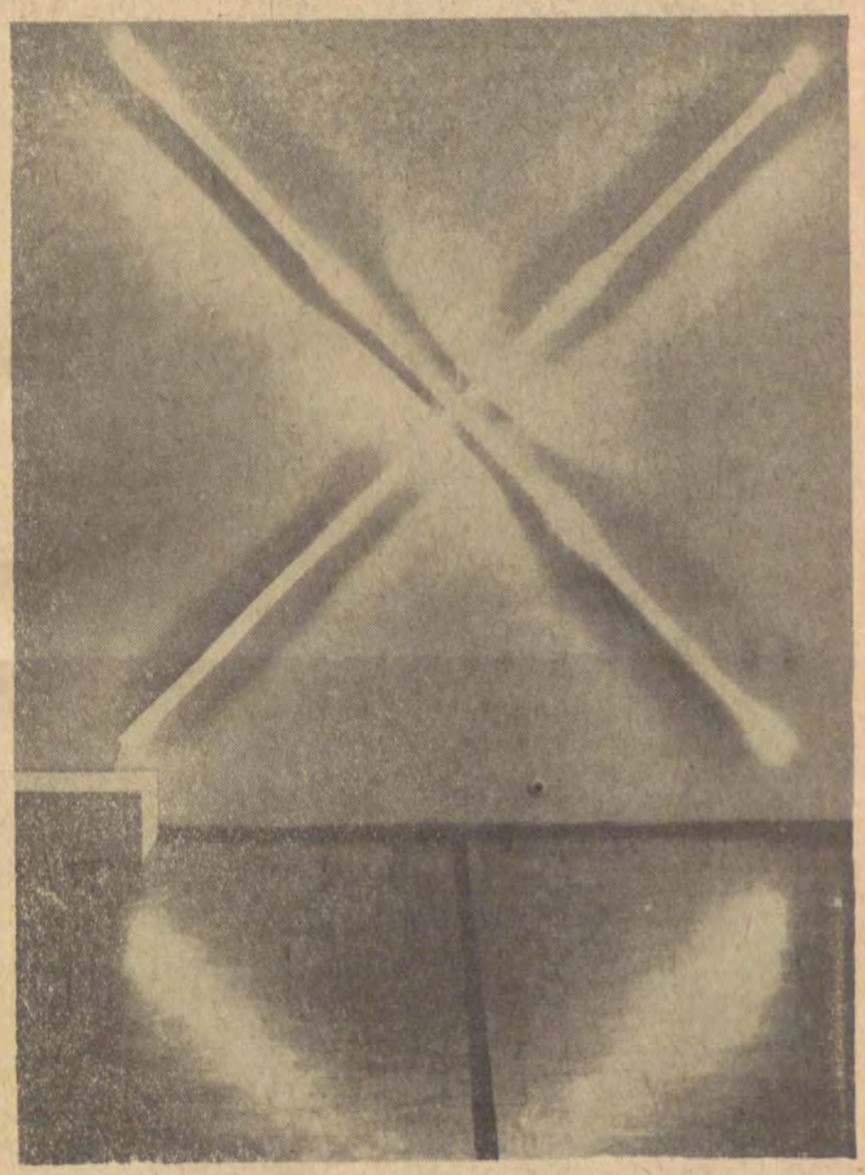

*François Morellet — „Dwie linie neonowe o dwóch nakładających się rytmach" (1973)*

## LITOGRAFIE BOGUSŁAWA KUDELSKIEGO

## GADJI BERI BIMBA

ANDRZEJ SZONERT

**ZAMIAST MOTTA:**

**Gdy na studiach stawiałem pierwsze kroki, pewien, jak sądziłem, mądry człowiek wbił mi do głowy, że dobrze zaprojektowana klamka u drzwi może mieć wartość artystyczną, równą rzeźbie Moora. Długo to mi tkwiło w głowie i wyleciało z niej wraz z wiarą w mądrość ludzi starszych. To osobiste doświadczenie każe mi podejrzewać, że wielu ludzi w młodości uzyskało równie nieprawdopodobne, co i fałszywe, informacje. Stąd, być może, wypływa galaretowata i nie sprecyzowana grupa pojęć takich, jak: sztuka, artysta, odbiorca oraz grupa druga pojęć bardziej zrozumiałych lecz przez niektórych nieprzyswajalna: inteligencja, wrażliwość.**

Wiek XIX, wiek rewolucji i pozytywizmu, naszpikowany był społecznymi hasłami w sztuce, która szukała odbiorcy i jednocześnie atakowała go. Począwszy od pierwszego dziesięciolecia naszego wieku, po dzień dzisiejszy artyści rzucają społeczeństwu obelgi na przemian z deklaracjami najczulszej sympatii. Krytykę artystyczną tego okresu cechowały liczne i gwałtowne spory o problematykę formalną, celowość tworzenia i jego społeczną przydatność. Monolity intelektualno-artystyczne kubizmu, futuryzmu, konstruktywizmu i neoplastycyzmu w drodze dogłębnej penetracji zasad formalnych starały się znaleźć właściwą płaszczyznę do partnerskiej rozmowy z przeciętnym widzem. Widzem niejako statystycznym, nie uzbrojonym w skomplikowany system zasad i kryteriów, pozwalających odczytać dzieło artystyczne „wprost". W zgiełku teoretycznych walk, różnorakich tendencji starano się jednocześnie nie stracić z oczu nadrzędnego celu sztuki, którym jest konieczność porozumienia się artysty ze społeczeństwem i odwrotnie. Bez względu na efekt finalny zarówno neoplastycyzm grupy „De Stijl", jak i rewolucyjne, progresywne społecznie koncepcje konstruktywistów rosyjskich szukały uniwersalnego języka do komunikacji z widzem.

Despotyczne i bezwzględne deptanie obowiązujących zasad i kryteriów sztuki, dokonane przez dadaistów, płynęło z głębszych przesłanek, aniżeli chęć jałowego ekstremistycznego popisu. Było protestem na zastaną rzeczywistość. Krzyk Dada (le crie Dada) był gwałtownym wyzwaniem, rzuconym burżuazyjnej logice sprawcom wojny i powojennego chaosu. Dadaiści burząc koncepcje polityczne, moralne i estetyczne podejmowali próbę stworzenia czegoś nowego, bardziej naturalnego i ludzkiego. Łamanie zużytych form, zrywanie masek, jak to czyniono w demonstracjach i publikacjach dadaistycznych — wszystko to było intelektualnym protestem przeciw epoce. Proces burzenia o tyle ma sens, o ile w jego wyniku powstają nowe, konstruktywne wartości. Dada jako ruch artystyczny takich wartości nie wypracował. Był apoplektycznym krzykiem i spełnił funkcję sejsmografu epoki, ostrzegając przed erupcją. Protest Dada nie był pustym pozerskim gestem. Był ważnym faktem historyczno-artystycznym. Może zatem napawać niechęcią i wątpliwościami fakt, że w kilkadziesiąt lat później niektórzy twórcy amerykańskiego pop-artu (Conner) dokonali nonszalanckiej ekshumacji środków formalnych Dada. Stare pudła, odpadki, zniszczone materace i szmaty, połączone bezładnie, pretendować zaczęły do formowania nowej estetyki brzydoty. Z dadaistycznych „przedmiotów znalezionych" pokuszono się formować „nadprzedmioty znalezione". Tym razem nie w imię uniwersalnej, głęboko humanistycznej idei, lecz w imię formalnej gry o cechach perwersyjnej rozrywki dla znudzonych Amerykanów.

Można by więc przyjąć, że w kon-

**(Dalszy ciąg na str. 8)**

# PLASTYKA

Zdarza mi się, szczególnie jesienną porą, snuć takie oto ryzykowne myśli: – co by było, gdyby współcześni plastycy dokonali małego ekshibicjonizmu na użytek publiczny, porzucając choćby na krótko kostiumy: pop i opartowskiej, nowej i starej figuracji i przestali mówić kodem?

Co by było, gdyby uprościć wystrój metaforyczny obrazów i rzeźb? A układanki kolorystyczne podbudować treścią?

Myślę: — najpierw wynikłoby ogromne zamieszanie, współczesna plastyka bez kostiumu i rekwizytów naraziłaby się na poważny zarzut „nienowoczesności", później kłopot mieliby krytycy — jak zakwalifikować „dziwadła" obywające się bez komentarzy? Obawiam się, że to by groziło redukcją etatów, szczególnie dla producentów laurek okolicznościowych, z okazji kolejnej, eksperymentalnej wystawy dzieł trudnych, ale jakże ambitnych.

Na użytek prywatny takie myślenie nie jest szkodliwe — tak mi się przynajmniej zdaje — ale publiczne wygłaszanie „myśli — pytań" pod adresem awangardowych twórców, może nierozważnemu autorowi przysporzyć wiele kłopotów.

Skoro jednak zdecydowałem się myśleć publicznie, niech mi będzie wolno poczynić kilka wyjaśnień, rzecz jasna, osobistych, a więc nie usiłuję, ani chcę, ani mogę — „zamykać drzwi uchylonych" dla ekspertów, cieszy mnie wszystko, co nowe we współczesnej literaturze i plastyce, jeśli „nowe" rozumieć będziemy jako twórcze, oryginalne poszukiwania w zakresie treści i formy. Cieszą mnie wiersze liryków — metaforystów i obrazy metaforyczne, jeśli wybór takich a nie innych środków artystycznego wyrazu podyktowany był treściami humanistycznymi, głęboko przemyślanymi. Nie znoszę minoderii symbolicznej i pseudointelektualnych dywagacji uwiecznionych na płótnie, czy zapisanych w postaci rymowanek „o głębszym znaczeniu". „Udawanie" sztuki jest zapewne najtrudniejszą sztuką, ale czy warto zadawać sobie aż taki trud? Wiedzą o tym najlepiej aktorzy, gdy przyjdzie im „udawać", że grają w dobrym spektaklu.

Jedno z najnowszych odkryć krytyki plastycznej, a mianowicie odkrycie „spontanicznego malowania", też budzi we mnie niejakie podejrzenie. Sądzę, że pewna doza spontaniczności potrzebna jest każdemu artyście, ale nie wydaje mi się, żeby „spontaniczność" uwarunkowana przecież stanem emocjonalnym, mogła owocować na dłuższą metę dziełami wybitnymi. Może się mylę, ale nie zdarzyło mi się zbyt wiele takich dzieł oglądać.

Trudno jest przewidzieć, które z najnowszych „odkryć" plastycznych przetrwa wiek XX, czy parasole Kantora czy rzeźby i sztandary Hasiora, w moim odczuciu dzieła Hasiora bowiem wyrażają treści humanistyczne, służą określonemu celowi i mają adresata.

Tworzenie „w próżnię" jest najpoważniejszym ryzykiem, na pewno bolesnym dla twórcy, a dla potencjalnego odbiorcy zawodem, rozczarowaniem. Tyle o dialogu między artystą a publicznością już się pisało i pisze, że niewiele można dodać, obie strony — jak to się zwykło mówić — wyrażają dobrą wolę i chęci, a jednak do „zbliżenia" jeszcze daleka droga. Mity narosły po obu stronach, twórca prawdziwie nowoczesny nie może dać się wyprzedzić „epoce", śpieszy się, żeby wyrazić współczesność, stara się nadążyć za rozwojem cywilizacji, techniki i w tym pościgu gubi kontakt z odbiorcą: w biegu za współczesnością towarzyszy mu uczucie zmęczenia, a często świadomość przegranej, świadomość nienadążania.

Ale... czy w tych plastycznych i poetyckich wizjach przyszłości musi dominować niepokój, chaos i pesymizm? Czy rozwój techniki i wszystko, co cywilizacja XX wieku niesie ze sobą włącznie z ujemnymi skutkami, w dziełach plastycznych musi znajdować rozwiązania katastroficzne?

Nie bardzo wiem, dlaczego plastyka współczesna i w znacznej części poezja wzięły na siebie jakże niewdzięczny trud stawiania pesymistycznych horoskopów. Nie lubię być straszony, sądzę, że nikt nie lubi być straszony, nawet jeśli straszakiem jest płótno oprawione w ramy.

Jeśli teraz powiem, że w moim jesiennym myśleniu o sztuce plastycznej śnią mi się optymistyczne, pogodne obrazy, to znów usłyszę coś na temat „naiwności" i niekompetencji. Optymizm to nie sielskie malowanki z widokiem na oborę, optymizm w plastyce — ten, na który czekam — dostarczyć mi ma wzruszeń, ułatwić kontakt ze współczesnością, pokazać wartości pozytywne, których nie dostrzegłem — słowem, optymizm w sztuce rozumiem jako doraźną potrzebę, tęsknotę za dziełem konstruktywnym, o wysokich wartościach artystycznych.

Podobno przeciętny „odbiorca" dzieł plastycznych — tym terminem przywykliśmy określać publiczność z sal wystawowych, a nie, niestety, nabywców, bo jest ich niewielu — ukochał sobie lenistwo, patrzy i podziwia tylko łatwe obrazki, niektóre może by i kupił, bo „słoneczniki" i „martwe natury" już mu się znudziły, ale wstydzi się, jak powiesi taką „rzecz" na ścianie w swoim mieszkaniu, to goście posądzą go o snobizm, albo, co jeszcze gorsze, będą chcieli, żeby im wyjaśnił, co „autor chciał przez to powiedzieć?"

Nie wiem, czy wielu jest takich leniwych odbiorców, wiem natomiast, chociażby z dorocznych grudniowych kiermaszy malarstwa, że wybór „rzeczy" na ścianę jest nader skromny. Albo oferuje się sielskie malowanki, albo kwiaty i martwą naturę, grafika — w moim przekonaniu najlepsza — na okresowych wyprzedażach zbyt skromnie jest eksponowana.

Obawiam się, że moje jesienne myślenie, na początku nowego sezonu wystawienniczego nie przysporzy mi popularności, bo czy jest możliwe pozbawienie kostiumów i rekwizytów najnowszej sztuki plastycznej i rymotwórczej?

*Władysław Hasior — „Matka Boska Bolesna" (1969)*

STEFAN KUBICKI

# CZY MOŻNA bez metafory?

# co w awangardzie PISZCZY?

KAROL BARSZCZEWSKI

1.

**Awangarda** – straż przednia; oddział ubezpieczający od czoła kolumnę w marszu; przenośnie – grupa ludzi, torujących nowe drogi, wskazujących nowe kierunki w sztuce, ideologii itp.

**Ariergarda** – straż tylna, odwód; oddział ubezpieczający od tyłu kolumnę w marszu.

Tyle z wydania VIII „Słownika Wyrazów Obcych" Władysława Kopalińskiego (W-wa 1972) dowiedzieć się możemy.

2.

**Bis repetita placent.**

Ta parafraza z Horacego w języku polskim wykłada się mniej więcej: **rzeczy powtórzone podobają się.**

3.

Pojęcie „awangarda w sztuce" zyskało sobie pełne prawo obywatelstwa dopiero w wieku XX. A więc właściwie niedawno. Lecz w wieku XX określenie „niedawno" posiada sens przewrotny i ryzykowne jest dosłowne go rozumienie. „Niedawno", „wczoraj", „jutro" — są obecnie słowami znaczącymi zupełnie co innego niż znaczyły w XIX czy poprzednich wiekach. Zmierzam do tego mianowicie, iż awangarda mimo że „niedawno" pojawiła się — w formie współczesnej — na arenie sztuk, zdołała nie tylko „niewąsko narozrabiać", ale poprzez swe bezkompromisowe, nihilistyczno-obrazoburcze działania i „machlojki" wywalczyła sobie pozycje na tyle silne, że swobodnie może sobie pozwolić na dyktowanie warunków, zawieranie rozejmów i zrywanie paktów. Więcej — awangarda artystyczna stała się dziś czymś nieodzownym, czymś koniecznym i niezastąpionym w sztuce. I nie tylko w sztuce. Wkroczyła nadspodziewanie szybko w różne rejony współczesnego życia, by i tam dyktować swoje prawa. Słowem — awangarda (jaka by ona nie była) stała się potęgą, chociaż strefy jej wpływów na mapie świata zaznaczone są różnymi kolorami: od intensywnych, pulsujących po pastelowe, subtelne, ledwo dostrzegalne.

Jest więc awangarda dernier cri — **ostatnim krzykiem mody.**

Jest równocześnie naturalną konsekwencji takiego stosunku do dzieła maleje zakres strefy porozumienia się z widzem. Maleje zakres strefy widzenia. Obok szybko rozprzestrzeniającej się również w Europie, zatem i w Polsce, koncepcji „estetyki śmietnika", dosyć jałowej i pretensjonalnej, pop-art dał wiele dzieł cennych i autentycznych. Myślę o tych wszystkich przejawach pop-artu, które niczym zwierciadło odbijają świadomość estetyczną przeciętnego odbiorcy, polaryzującą między fotosem reklamowym, komiksem, a Kaczorem Donaldem. Pop-art w tym ujęciu jest wykładnikiem postaw estetycznych, a jednocześnie dzwonkiem alarmowym pewnych stosunków międzyludzkich. Będąc odniesieniem do sztuki ulicy pop-art pokusił się o nawiązanie dialogu z widzem. Podkreślam — dialogu, gdyż nie była to próba głoszenia niepodważalnych doktryn. Uświadamiając społeczeństwo prostym stwierdzeniem faktu — takie są wasze potrzeby estetyczne — nasłuchuje się pilnie głosu spoza hermetycznej enklawy artystów, głosu o niezwykłej wadze i znaczeniu.

Od niepamiętnych czasów, aż do znudzenia, artysta przeżywa identyczną rozterkę, a dzieło jego powstaje w dualizmie pragnień. Będąc wyrazem potrzeb najbardziej osobistych, nawet intymnych, odwołując się jednocześnie do wrażliwej świadomości odbiorcy. Dwoistość ta jest powodem uprzedzeń i nerwic u stron obydwu.

Hamletyzują artyści. Hamletyzują widzowie.

Demonstracyjna pogarda artystów wobec „ślepego" odbiorcy nakłada się z precyzyjną dokładnością nakłada się liwą niechęć tego ostatniego. Najłatwiej zatem akceptuje się nieboszczyków na cokole, z tą uwagą, że jest to raczej sfera akceptacji o uwarunkowaniach socjologiczno-historycznych aniżeli artystycznych.

# GADJI BERI BIMBA

(Dalszy ciąg ze str. 7)

Na różnych etapach kształtowania się sztuki pozbawiano widza tej sfery doznań, do której zdążył się przyzwyczaić, zatem i rozumieć.

Impresjoniści, jak na owe czasy brutalnie, pozbawili go tradycyjnej harmonii barw i wyrazistej czytelności przedmiotów. Gdy odbiorca zdążył zaakceptować tę sytuację, i począł znajdować zadośćuczynienie swemu smakowi i wyrafinowaniu w impresyjnej grze kolorów, kubiści usunęli z obrazu resztki tradycyjnej perspektywy, oferując w zamian intelektualną wizję przedmiotu, oglądanego „ruchomym widzeniem". Gdy widz w wewnętrznej rozterce przyjął to doświadczenie za własne, Kandyński w 1910 roku usunął z obrazu przedmiot, Malewicz zaś i cały nurt sztuki niefiguralnej proces odprzedmiotowienia posunęli jeszcze dalej w sposób zaborczy i bezkompromisowy. Widz myślący i wrażliwy zdołał po pewnym czasie asymilować się w świecie sztuki bez przedmiotu. Nawykł reagować trafnie na intencje artysty, który niczym demiurg rozwinął przed jego oczyma świat zwartych konstrukcji, kształtów i plam, którym porządek i rolę sam wyznaczył.

I znowu porozumienie było ułudą, gdyż postanowiono postawić widza przed pisuarem — rzeźbą Man Raya, noszącą tytuł „Fontanna". Widz wpadł w szał. Nieco później rzeźbiarz Cesar zaprezentował mu zgniecioną przez prasę karoserię samochodu powiadając — oto symbol naszych czasów. Wyczerpany widz bez protestu obejrzał kolejno plexiglasowe rzeźby Francuza Arman, kilka happeningów (m. in. Kantora) i do dzisiaj pełen sprzecznych uczuć z szeroko rozwartymi źrenicami błąka się po galeriach świata, w których nie ma już nawet starego żelastwa. Wiszą natomiast matematyczne schematy i równania konceptualisty Bernara. Vernet. Konceptualista Treliński wkłada mu z namaszczeniem za wycieraczkę „Syrenki" mandat w ramach akcji artystów, dotkniętych paniką zagrożenia naturalnego środowiska człowieka.

Przepraszam za żartobliwy ton, ale jestem skłonny niejednokrotnie mniemać, że fenomen sztuki lepiej się czuje na karuzeli aniżeli na katafalku.

Należy sądzić, że odwieczny proces mijania się zamierzeń artystów z pragnieniami odbiorców jest elementem tyleż pewnym, co i koniecznym. Warunkuje to ciągłe zmiany i postęp w świadomości ludzkiej. Dzień dzisiejszy charakteryzuje się mnogością doświadczeń artystycznych, będących z sobą w stanie walki. Doświadczeń nierzadko tak skrajnych, że można je śmiało uznać za operację na pacjencie, któremu w porę nie podano narkozy. Być może te okrutne praktyki pozwolą mu uodpornić się na pewne zjawiska, aby je tym lepiej zrozumieć. Być może

Widz dzisiejszy o często nie docenionej inteligencji i wrażliwości szamocze się w pustce, w której zabrakło wyraźnych punktów odniesienia. Zabrakło logicznego systemu, pozwalającego na właściwy odbiór informacji zawartej w dziele sztuki. Logika jest immanentnym postulatem myśli i myślenia, zatem winna być także postulatem sztuki o ile nie jest to sztuka naiwna. Aktualne próby ocalenia ikonograficznej strefy widzenia mają kształt wieloraki, lecz starają się wciągnąć widza do dyskusji. Resztę można wyjaśnić w czasie jej trwania. Gdy by we wspomnianej strefie nie znalazło się miejsca dla op-artu, sztuki tyleż bałamutnej, co obliczonej na absolutną tępotę odbiorcy, to niżej podpisany byłby szczęśliwy.

Wszystkie niemal wielkie kierunki w sztuce pragnęły zbliżyć się do widza, traktując go jako warunek sine qua non swego istnienia. Sztuka, za którą nie stoi już nikt, być może już nie jest sztuką, lecz pełnym megalomanii wyrazem indywidualnej pychy artysty.

kwencją ewolucji sztuki albo, jak kto woli inaczej wypadkową procesów, którym podlegać zaczęła sztuka w momencie załamania się cyklu wielkich stylów Procesy owe skierowały sztukę z potężnych kanionów w wąskie i kręte koryta kierunków, orientacji, mód, tendencji, propozycji — tu bez awangardy siłą rzeczy skomplikowaną w swej strukturze obejść się było nie sposób. Z kolei w tak arcysprzyjających warunkach sama awangarda stała się organizmem samorodnym i żyworodnym Stała się organizmem niezależnym, ale za to jakże zachłannym i uzależniającym. Powie więc ktoś, że stała się tym samym siłą napędową, rwącym prądem unoszącym naprzód. I będzie miał rację.

4.

To, co wczoraj określane było jako **„działanie awangardowe"** — dziś sprowadza się do **„działania klasycznego"**. Czas trwania poszczególnych członów awangardy wiek XX mierzy stoperem Można na to odpowiedzieć, że skoro życie tego wieku wzięło przyśpieszenie szalone — tym bardziej szalone przyśpieszenie musiała wziąć sztuka Zgoda. Tylko, że w tym szalonym pośpiechu pogubiły się pewne wartości, a inne ieszcze się nie odnalazły. Jak w gigantycznej przeprowadzce — jedne czamadany gdzieś się zawieruszyły, innych nie zdążono ieszcze załadować. Dlatego w sztuce współczesnej w „działaniach awangardowych" natykamy się na taka mnogość sprzeczności i nieporozumień. Dlatego nawet my, profesjonaliści, stajemy czasem bezradni wobec wysuwanych propozycji prezentowanych sformułowań i dokonań. A cóż dopiero mówić o przeciętnym zjadaczu chleba, który w swym rozumieniu sztuki, zwłaszcza tej najnowszej, był jest i będzie zawsze spóźniony? (Co nie wyklucza wcale konieczności edukacji, bo rozmiary dystansu mogą być różne!).

Na przestrzeni całych stuleci normalnym zjawiskiem było, iż powstawały obok autentycznych dzieł sztuki złe obrazy, złe rzeźby, zła architektura. (My pamiętamy tylko dzieła najlepsze, albo z racji mniej lub bardziej irracjonalnych – te najgorsze). Niemniej zawsze istniały wiarygodne uzasadnienia, pozwalające oddzielić plewę od ziarna.

Wiek XX wyzwolił, co prawda, artystę z więzów wielu zbędnych funkcji i zobowiązań, ale też stworzył niezwykle sprzyjające warunki i sytuacje dla wszelkiego rodzaju działań pozaartystycznych, które za artystyczne uznawać się poczęły i z nonszalancją i bezczelnością parweniuszy pozajmowały nie dla nich przeznaczone miejsca przy stole biesiadnym. Powstał bałagan i zamieszanie. Nie idzie tu o przemieszczenia w hierarchii, bo przesunięcia hierarchiczne w resorcie sztuki były, są i będą nadal wskazane. Rzecz leży w tym, iż jedne działania rozpleniły się tak dalece, że zagłuszyły inne, stłamsiły je, przydusiły do ziemi albo wyniszczyły zupełnie. W skrócie — przypomina to wszystko podzwrotnikową dżunglę, której wszelkiego rodzaju pnącza i liany (wiodące zresztą z reguły pasożytniczą egzystencję) omotały i oplotły najmocniejsze i najprostsze drzewa. Być może, iż z tych drzew można by wyhodować li tylko odmiany jeno bardziej uszlachetnione (co mogłoby doprowadzić do ich dekadencji), ale prawdą też jest, że z symbiozy z lianami i bluszczem pierwsze wyjdą skarłowaciałe jeżeli nie obumarłe, te ostatnie zaś, jako organizmy pasożytujące, zawsze gotowe są znaleźć dla siebie nowe pożywki.

Dochodzimy więc do sedna sprawy. Proponuje mi się, aby trzy na przemian zapalające się jarzeniówki zastąpiły mi Rembrandta albo Rodakowskiego. Proponuje mi się, by pan, który publicznie wypróżnia się na panią był uznany za dzieło sztuki, a takoż, aby za dzieło sztuki uznane było to wszystko, co robi. Proponuje mi się, aby kilka parasoli naklejonych na kilka płócien zastąpiło mi cykl fresków Fra Angelico.

Proponować można wiele rzeczy. Proponowano mi kiedyś kupno cegły. Byłem wtedy młody i silny i transakcja nie doszła do skutku. Ale też facet, który mi cegłę proponował, nie podszywał się pod „działanie artystyczne". A mógłby. On potrzebował stówy — ja nie potrzebowałem cegły... Sytuacja była jasna, choć forma (do pewnego momentu przynajmniej) — nowa. Z punktu widzenia awangardystów (niektórych oczywiście) rzecz całą można by rozpatrywać w kategoriach happeningu.

5.

Czy istnieje u nas awangarda? Oczywiście. Awangarda jest bowiem wszędobylska i nie zna granic ni kordonów. Jest, jak to u nas bywało zawsze, nie tyle nasza własna, a niejako importowana. Za to siła naszego ducha narodowego sprawia, że jest ona rozdarta od wewnątrz i nieskoordynowana od zewnątrz. Czyli, że nie bardzo wie jak, po co, dlaczego robi to co robi. Przypomina owego chłopka-roztropka, który słyszy, że gdzieś dzwonią, jeno nie bardzo się orientuje w jakim to kościele. Zdradza także oznaki wyraźnej niepewności. A przecież na dobrą sprawę nasza awangarda rodzima, niezależnie na jakiej byłaby licencji, nie ma się czego bać. My, Polacy siedemdziesiątych lat dwudziestego stulecia bardzo lubimy awangardy. Zwłaszcza awangardy nieszkodliwe. Zresztą o szkodliwości i nieszkodliwości pomówimy przy innej okazji. Na razie zajrzyjmy do **Biuletynu Galerii 80× 40, działającej w Klubie Plastyka w Łodzi, koord.** (to znaczy koordynowanej) **przez J. Trelińskiego.** Pragnę zaznaczyć, aby nie posądzono mnie o złośliwości, czy inne jakoweś insynuacje, że mógłbym równie dobrze sięgnąć do materiałów z warszawskiej Galerii Foksal, czy wrocławskiej Mony Lizy.

Otóż w tym Biuletynie czytamy, co następuje:

„Swiadomość człowieka tkwi w jego środowisku (wewnętrznym i zewnętrznym). Jest ono polem psychologicznej gry dla każdego z nas. W nim należy także szukać wszelkiej inspiracji ludzkiego działania. Są to prawdy ogólnie znane.

A jednak sytuacja nie jest do końca jasna.

Dlaczego pewne ludzkie działania zyskują sobie miano artystycznych, a inne są tego miana pozbawione?

W którym momencie podejmowane przez ludzi działania różnicują się na te dwie grupy?

Czy ta klasyfikacja jest w ogóle słuszna?

Czy „artystyczne" pochodzi od artysty, czy odwrotnie?

Te pytania i wiele im podobnych ciągle nie tracą swej aktualności. Są obecnie nawet bardziej aktualne niż kiedykolwiek, bowiem na naszych oczach załamują się konwencje, mieszają kryteria, a każdy niemal dzień przynosi jakieś nowe zjawiska, którym wciąż przydaje się nazwę artystycznych.

A może czyni się tak już tylko z czystego nawyku nazywania lub dla wygody?

W tymże Biuletynie znajdujemy opis seansu audiowizualnego otwartego w pejzażu naturalnym przygotowanego w Osiekach przez **Andrzeja Pierzgalskiego i Jerzego Trelińskiego.** Oto opis sytuacji:

„W ciemnościach nocy odtworzono najpierw, za pośrednictwem radiowozu dwie przeciwstawne sobie baterie dźwięków (odgłosy hali fabrycznej i odgłosy przyrody), oddzielając je krótkotrwałą ciszą „wypełnioną" błyskiem światła, skierowanego na białą planszę, zawieszoną wśród drzew.

Następnie — podczas dnia — umożliwiono przy użyciu lornetek polowych odczytanie zamieszczonego na planszy niewidocznego nie uzbrojonym okiem napisu „Cisza".

Całość seansu nosiła tytuł **„Cisza".** W porządku. Ze mną jak z dzieckiem. Jestem gotów tego nie komen-

**(Dalszy ciąg na str. 10)**

Uważam, że próba odbudowania i ochrony zagrożonej strefy widzenia bardziej jest nam nieodzowna, aniżeli ochrona naszych płuc przed wyimaginowanym ogromem spalin silnikowych w naszych miastach.

Malraux kiedyś powiedział:

**„Wolność jest dla zwycięzców".**

Niekiedy odnoszę wrażenie, że zarówno widz jak i artysta z niepokojem myślą o wspomnianej wolności. Widz w obawie, że nie okaże wystarczającego hartu ducha i rozeznania w materii sztuki, kupując pewnego dnia tandetny landszaft na bazarze.

Artysta zaś lęka się chwili, w której nikogo nie będzie irytować fakt, iż bliższa jest mu licencja „Fiata" aniżeli licentia poetica, a jedynym i wyłącznym zajęciem z zakresu intelektualnych będzie głośne recytowanie poematu fonetycznego H. Balla:

gadji beri bimba
glandridi lauli loni cadori

ANDRZEJ SZONERT

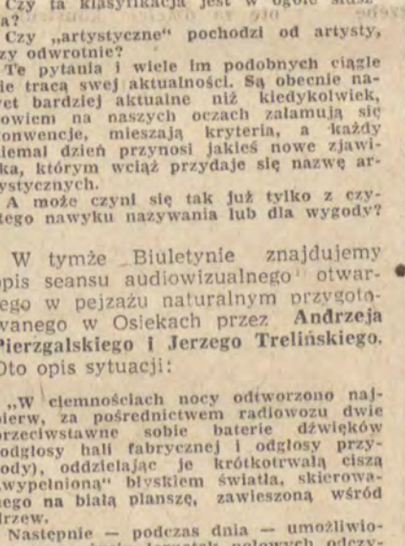

*„Miodowy miesiąc V"*

**W salonie wystawowym Związku Polskich Artystów Plastyków przy ul. Piotrkowskiej otwarta została wystawa obrazów i grafik Henryka Płóciennika. O tej interesującej ekspozycji znanego łódzkiego plastyka napiszemy w jednym z następnych numerów.**

# PLASTYKA

OSKAR WEISS

# ŚWIATŁO I DŹWIĘK

### KILKA SŁÓW WSTĘPNYCH

**Dzieło sztuki jest próbą przekazania piękna w takiej formie, w jakiej widział je i wyczuwał artysta Jednak, najpiękniejszy nawet obraz rzucony w ciemny kąt nie będzie już oddziaływał siłą swego wyrazu i ekspresji. Podobnie jak brylant, który wymaga pięknej oprawy, by zabłysnąć całą swą urodą, tak również dzieło sztuki wymaga odpowiedniej ekspozycji, by ujawniło się całe piękno w nim zawarte.**

**Dobór miejsca i światła możliwy jest wówczas, gdy mamy do czynienia z dziełami sztuki łatwymi do przenoszenia i z zasady umieszczonymi w zamkniętych pomieszczeniach. Zupełnie innym prawom ekspozycji podlegają pomniki, rzeźby w plenerze oraz takie dzieła sztuki architektonicznej jak zamki, pałace, kościoły.**

**O zmianie oświetlenia i otoczenia tych obiektów decyduje na ogół natura, a nie człowiek. Wszelkie zmiany w barwie i natężeniu oświetlenia są w tych warunkach modelowane wędrówką chmur o różnej przenikliwości promieni słonecznych. Nocą, lustrzane odbite światło księżyca nadaje zabytkom wiele tajemniczości i uroku, a każda pora roku zmienia ich tło i otoczenie.**

**Ten sam obiekt doskonale nam znany na tle zieleni, zupełnie inaczej wygląda w szacie żółtawo-złocistej lub w bieli śniegu, która formie architektonicznej nadaje nowe, baśniowe nieraz kształty.**

**Podziwiając zabytek architektoniczny, zastanawiamy się zwykle, jakim zmianom uległ on przez wieki. Jak zmieniło się jego otoczenie, jaki był los jego mieszkańców i jaką rolę odegrali oni na tle historii swego kraju.**

**Otoczenie obiektu ulegało zapewne zmianom. Może częściowo zasłoniły go późniejsze budowle, a przebogatą zieleń przetrzebiła ręka ludzka. Ale obiekt, jeżeli przetrwał zniszczenia zachwyca nas i wzrusza. Żałujemy jedynie, że życie obiektu, głosy i dźwięki, które go otaczały, zniknęły wraz z ubiegłą epoką. A może... może tę ciszę zadumy przerwie nagle odgłos kopyt końskich na zwodzonym moście, szczęk zbroi, dźwięki dawno zapomnianych instrumentów muzycznych Gdyby tak można było, niezależnie od praw natury, malować światłem mury starych budowli i ożywiać je dźwiękami dochodzącymi jakby z tamtej, starej epoki. Czy wówczas nie wzrosłoby nasze zainteresowanie historią zabytku, czy nie byłoby głębsze nasze przeżycie estetyczne. Zapewne tak. Nie potrafią tej luki wypełnić najlepsze nawet foldery lub informacje przewodników udzielane w pośpiechu zmęczonym i beznamiętnym głosem. Musiano ich więc usunąć z niektórych atrakcyjnych miejsc zabytkowych i zastąpić współczesną techniką elektroniczną. Umożliwia ona udzielanie wszelkich informacji głosami najlepszych aktorów.**

**Wraz z głosami artystów, dochodzą do widzów dźwięki muzyki i inne głosy towarzyszące akcji widowiska. Właściwie „widowiskiem" w pełnym tego słowa znaczeniu, stanie się ta impreza dopiero wtedy, gdy na murach zabytkowej budowli zabłysną światła o różnej barwie i natężeniu.**

**Właśnie synchronizacja wrażeń wzrokowych i słuchowych daje w efekcie końcowym widowisko „Światło i dźwięk".**

**Ożywienie obrazów, rzeźb, a nawet niektórych elementów architektonicznych sztucznym światłem, znano już dawno. Wykorzystywano do tego celu łuczywa, lampki oliwne, kaganki, świece, a potem światło gazowe i elektryczne. Często na tle antycznych budowli odgrywano sztuki sceniczne związane tematycznie z ich przeszłością. Tego rodzaju widowiska zawsze silnie oddziaływały na wyobraźnię widza i były odwiedzane licznie przez ich miłośników.**

**We Francji, w latach pięćdziesiątych naszego stulecia, po raz pierwszy zorganizowano widowiska bez udziału żywego aktora — głos jego nagrano na taśmę magnetofonową. Światło i dźwięk zgrane systemem urządzeń elektronicznych w czasie i przestrzeni, wykorzystano do spopularyzowania miejsc związanych z pamięcią chwały i kultury narodowej oraz do ożywienia turystyki.**

**„Światło i dźwięk", zorganizowane w zabytkowym obiekcie, staje się magnesem ściągającym na to widowisko nie tylko turystów krajowych, lecz również zagranicznych. Rangę tego typu widowiska podnoszą olbrzymie możliwości masowej popularyzacji kultury i sztuki wśród młodzieży. Kształtują one i pogłębiają uczucia patriotyczne tych młodych ludzi przez ściślejsze powiązanie ich wiadomości ogólnych z faktami historycznymi.**

### ORGANIZATORZY WIDOWISKA

**Pod auspicjami Ministerstwa Kultury i Sztuki przedsiębiorstwo „Pracownie Sztuk Plastycznych" będzie poprzez swoje oddziały terenowe organizować i urządzać widowiska „Światło i dźwięk" na obiektach o wysokiej wartości zabytkowej i historycznej**

**Należy spodziewać się, że wojewódzkie władze administracyjne, jako czynnik najbardziej zainteresowany propagandą lokalnej kultury i sztuki, będą inwestorem i protektorem prac organizacyjno-wykonawczych w swoim terenie.**

**Urządzenie widowiska „Światło i dźwięk" wymaga kolektywnego wysiłku ludzi o różnych specjalnościach. Grupa techniczna przygotowuje aparaturę sterującą, opracowuje schematy połączeń kablowych z głośnikami i punktami świetlnymi, a następnie wykona całą instalację elektryczną. Oprawą plastyczną widowiska i jego reklamą oraz podniesieniem poziomu estetycznego punktów usługowych dla wielkiej ilości turystów winna się zająć oddzielna grupa, z artystą plastykiem na czele.**

**Celem szczegółowego omówienia zasad i obowiązków poszczególnych realizatorów widowiska przyjmiemy skład następującego zespołu organizacyjnego:**

- **przedstawiciele władz terenowych**
- **przedstawiciel Oddziału PP „PSP"**
- **dyrektor obiektu (wyznacznego do urządzenia na nim widowiska)**
- **autor scenariusza (ew. i tekstu)**
- **reżyser widowiska**
- **reżyser dźwięku**
- **reżyser światła**
- **inżynier elektronik**
- **kompozytor**
- **historyk**
- **przedstawiciel „PKZ" (Pracownie Konserwacji Zabytków)**

**Podstawowym zadaniem tego zespołu będzie przygotowanie i omówienie scenariusza. Opracowanie scenariusza powierza się z zasady wybitnemu literatowi lub dziennikarzowi. Może on korzystać z pomocy historyka w przygotowaniu materiałów historycznych oraz z jego konsultacji w czasie pracy nad scenariuszem.**

**Historyk powinien również sprawdzić treść wykonanej już pracy pod względem merytorycznym, ponieważ fikcja literacka w żadnym wypadku nie może zniekształcać prawdy historycznej. Można ją natomiast wzbogacić legendami i opowiadaniami związanymi z dziejami danego obiektu i jego mieszkańców.**

**Niektóre fragmenty scenariusza można opracować na zasadzie słuchowiska radiowego. Jakąś scenę czy epizod historyczny odtwarzają możliwie najlepsi aktorzy, ale podczas widowiska „Światło i dźwięk" będziemy się zachwycać tylko ich głosem. Całemu spektaklowi towarzyszy muzyka. Musi ona być ściśle związana z treścią**

*Henryk Płóciennik — „Miodowy miesiąc XXV"*

**scenariusza i zgodna z duchem epoki, którą odtwarzają aktorzy. Dobry scenariusz i dobra muzyka to podstawowe wymagania, jakie należy postawić twórcom dzieła, powinni oni zresztą ściśle ze sobą współpracować. Skomponowana muzyka wymaga z kolei doskonałych odtwórców, którym nie obca jest gra na instrumentach dawnych, już zapomnianych, ale jedynych w swoim brzmieniu. Do tekstów nagrywanych przez aktorów oraz do muzyki może wpiatać się wiele dodatkowych efektów. Zajmie się tym reżyser dźwięku.**

**Operator, mając do dyspozycji światło, wydobywa obiekt architektoniczny, piękno jego kształtu i ożywia plener. Na planszach przedstawia projekty różnych wariantów gry światła na obiekcie. Przez manewr kolorem i światłem można uzyskać zaskakujące efekty, zmieniające w oczach widza kształt i otoczenie danego zamku, pałacu lub kościoła. Do tego celu wykorzystuje się zwykle około sto do dwustu reflektorów teatralnych i halogenowych, o różnej mocy światła oraz wielką ilość pojedyńczych nawet punktów świetlnych, które wyeksponują drobne nieraz ale piękne w swym wyrazie fragmenty architektoniczne Nagłym błyskiem reflektora wydobywa się z mroku posągi, fontanny, drzewa, krzaki i kwietniki. Efekty te muszą być synchronicznie związane z treścią widowiska, z jego muzyką.**

### ELEKTRONIKA W ZABYTKU

**Współczesnej elektronice zawdzięczamy możliwość automatycznego sterowania wielką ilością przełączników oraz idealne zgrywanie wszystkich efektów świetlnych i głosowych podczas seansu widowiska „Światło i dźwięk".**

**Newralgicznym punktem całego urządzenia jest aparatura sterująca. Nagrane są na niej wszystkie polecenia reżyserów w formie zapisu elektronicznego, który umożliwia automatyczne włączenie głosu oraz wszystkich punktów świetlnych w odpowiednim zasięgu i układzie.**

**Urządzenia sterownicze produkowane do tej pory były jeszcze bardzo prymitywne. Były to właściwie półautomaty, obsługiwane przez operatorów, którzy pod dyktando sygnałów włączali odpowiednie przełączniki. Miejsce ich zajmuje najnowsza, w pełni zautomatyzowana aparatura elektroniczna, wymagająca jedynie naciśnięcia guzika w celu jej uruchomienia. W tych warunkach operator czuwa jedynie nad sprawnym działaniem wszystkich urządzeń.**

**Z tego niepełnego opisu prac i obowiązków elektronika jasno wynika, że nie jest on tylko technicznym realizatorem koncepcji reżyserów, lecz jednym z głównych twórców tego kolektywu dzieła.**

**We Francji stosuje się często efekty pirotechniczne dla wywołania dodatkowych wrażeń u widzów i większego urealnienia niektórych, odtwarzanych epizodów wojennych. Świece dymne i rakiety wykorzystuje się dla imitowania pożogi wojennej. Kłęby dymu wydzielające się ze świec dymnych, malowane różnokolorowymi światłami reflektorów, stwarzają wrażenie prawdziwego pożaru zabytkowej budowli.**

**Zależnie od inwencji reżyserów mogą być zastosowane również inne sposoby urealnienia poszczególnych epizodów widowiska. Należy jednak zawsze pamiętać o tym, aby drogą tanich efektów jarmarcznych nie dopuścić do spłycenia wysokiej rangi widowiska. Należy jeszcze pamiętać, że wszelkiego rodzaju prace instalacyjne w obiekcie i jego otoczeniu mogą być prowadzone jedynie przez specjalistyczne przedsiębiorstwo konserwacji zabytków.**

### ROZPOZNANIE

**Podstawowym obowiązkiem zespołu powołanego do przygotowania widowiska „Światło i dźwięk" jest rozpoznanie obiektu oraz jego otoczenia. Powinno się ono rozpocząć od szczegółowych studiów historycznych, bibliograficznych i ikonograficznych, a zakończyć wizją lokalną.**

**Szukając śladów przeszłości w salach, komnatach, krużgankach i lochach najlepiej odczuje się specyficzną atmosferę tajemnicy i czaru, jaki otacza dany pałac lub zamek. Łatwiej zrozumie się dawnych mieszkańców, ich przeżycia w tych murach i zabawy w romantycznych ogrodach lub parkach przyzamkowych. Dzięki tym doznaniom autor scenariusza wczuje się w epokę dawno minioną i lepiej zrozumie postacie, które będzie musiał ożywić.**

**Oglądając kompleksy i detale architektoniczne przy dziennym świetle i w nocy, reżyser światła wybierze najpiękniejsze i najciekawsze do wyeksponowania ich przy pomocy różnokolorowych świateł. Nie można oczywiście ograniczyć rozpoznania do jednej wizji lokalnej. Zależnie od potrzeb, twórcy dzieła będą musieli jeszcze wiele razy zespołowo lub pojedyńczo penetrować wszystkie zakamarki.**

**Organizując widowiska „Światło i dźwięk" atrakcyjnie, na wysokim poziomie estetycznym i technicznym, spowoduje się na pewno znaczne ożywienie ruchu turystycznego i stworzy lepsze możliwości szerzenia wiedzy o naszym kraju i jego zabytkach.**

# PLASTYKA

## I Targi Tkaniny Artystycznej

**W Muzeum Historii Włókiennictwa otwarta została ekspozycja pod nazwą Pierwsze Targi Polskiej Tkaniny Artystycznej. Jest to impreza artystyczno-handlowa, zorganizowana staraniem Zakładów Artystycznych ZPAP, Doświadczalnych Pracowni Plastycznych w Łodzi oraz Biura Handlu Zagranicznego „Desa". Targi przeznaczone są dla odbiorców polskich, zarówno dla osób prywatnych, jak i przedsiębiorstw i instytucji, oraz dla klientów zagranicznych. Pierwszeństwo w zakupach mają oczywiście muzea. Koncepcja zorganizowania Targów powstała w łódzkim środowisku plastycznym, zrzeszającym około 400 specjalistów — artystów włókienników. Ekspozycja prezentuje osiągnięcia polskiej tkaniny unikatowej, która legitymuje się znakomitymi osiągnięciami w skali światowej. Na targi zgłosiło prace około 200 artystów z całej Polski, w większości są to znani, wybitni artyści sztuki tkackiej. Na ekspozycji znajdują się dywany, gobeliny, żakardy, aplikacje, hafty, dzianiny, kilimy, techniki własne, mieszane, tkaniny malowane. Jednym słowem — pełny wybór polskiej sztuki tkackiej. Spotykamy się z nazwiskami tak wybitnych artystów, jak St. Gałkowski, A. Szafrańska, M. Chojnacka, U. Plewka-Szmidt, L. Szymańska oraz wiele, wiele innych. Celem Targów jest upowszechnienie dzieł współczesnej sztuki tkackiej polskich artystów, których osiągnięcia godne są szerokiej popularyzacji. Celowym jest i potrzebnym, aby w muzeach, a także w zakładach pracy, w klubach, świetlicach, domach kultury i w gmachach reprezentacyjnych znajdowały się dzieła współczesne z zakresu polskiej tkaniny artystycznej. Tak rozumiany kontakt ludzi pracy ze sztuką przynieść może niewymierne wprawdzie, ale na pewno znaczne korzyści ideowo-wychowawcze i kulturalne. Opiekę nad Targami wzięło na siebie Muzeum Historii Włókiennictwa, w którego gościnnych salach eksponowane są tkaniny polskich artystów. Zaznaczyć należy, że powyższa impreza jest pierwszą tego typu imprezą w Polsce. Inicjatywa ta ma być na stałe wprowadzona do kalendarza imprez kulturalnych, organizowanych w Łodzi.**

G.

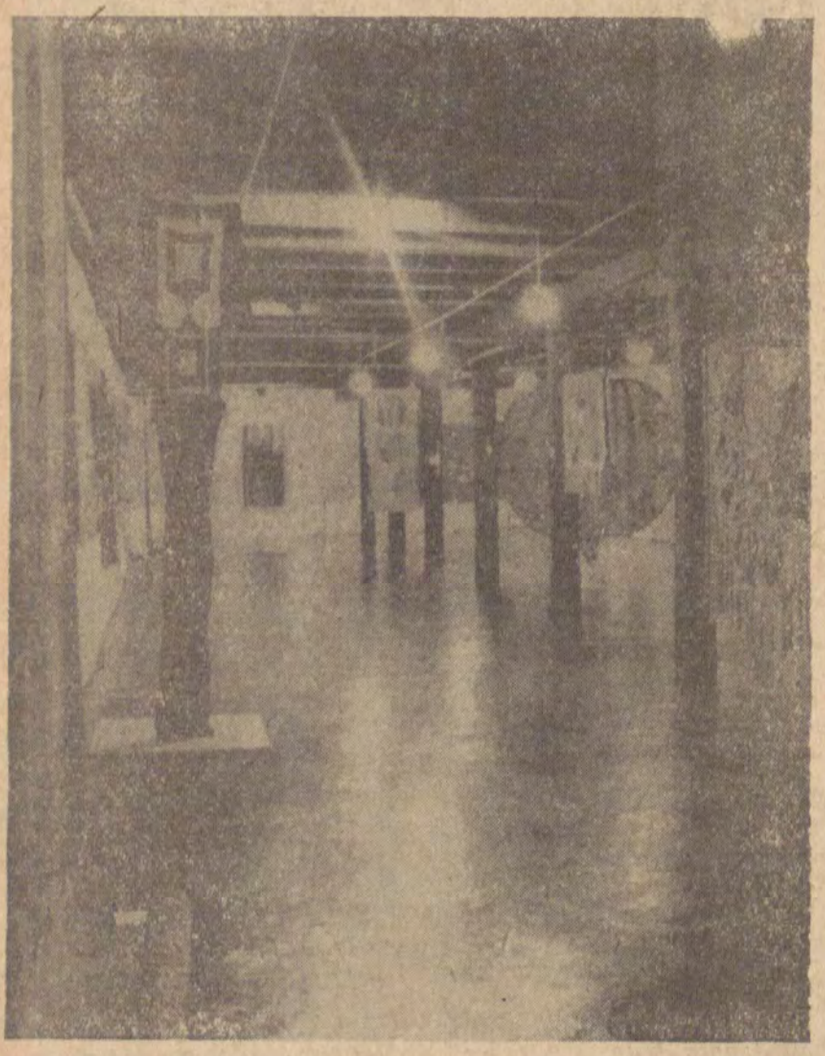

*Aranżacja przestrzenna: Jerzy Frątczak*

*Fot. W. Parys*

*„Kadr z filmu „En face" — reż. J. Sierociński i J. Wiktorowski*

*„Ona" — litografia*

*Plakat społeczny*

## GRAFIKA JACKA SIEROCIŃSKIEGO

Twórczość graficzna Jacka Sierocińskiego należy do ciekawszych realizacji w środowisku łódzkim. Ukończył on Państwową Wyższą Szkołę Sztuk Plastycznych w Łodzi w 1968 roku. Przez dwa lata pracuje w uczelni, aby następnie zająć się wyłącznie twórczością w dziedzinach: grafiki użytkowej i artystycznej, malarstwie, fotografii, filmie animowanym i w scenografii filmowej. Filmy jego wyświetlane były na festiwalach filmów krótkometrażowych w Krakowie, w Wenecji, we Francji i Belgii.

Uprawia równocześnie twórczość plakatową. Robi plakaty o treści społeczno-politycznej, kulturalnej i reklamowej. W plakacie stosuje skrót myślowy właściwy temu gatunkowi sztuki, ale nie stroni od literatury, śmiało operuje nastrojem.

Od roku 1972 Sierociński pracuje jako kierownik artystyczno-graficzny Wydawnictwa Łódzkiego, starając się wydatnie podnieść poziom edytorski wydawanych przez łódzką oficynę pozycji. Grafikę artystyczną i użytkową Sierocińskiego charakteryzuje przede wszystkim oszczędność środków wyrazowych, lapidarność wypowiedzi, umiarkowana ekspresja oraz doskonała znajomość graficznego warsztatu. Sierociński operuje chętnie rekwizytami z arsenału surrealistycznego, unika zbędnych, nic nie znaczących deformacji i upiększeń, odwołuje się chętnie do konkretnych przedmiotów i symboli. Jak do tej pory Sierociński uniknął tego, co nazwać można by sztampą i tzw. stylem własnym, a co w gruncie rzeczy wykłada się jedynie w rutynie i w sposobie.

**A.G.**

# Co w awangardzie PISZCZY?

(Dalszy ciąg ze str. 9)

tować. Więcej, jestem gotów uznać za dzieło sztuki puszczone do góry nogami fragmenty filmu Eisensteina **„Pancernik Potiomkin"**, strzepywać popiół w usta krzyczącej matki ze schodów odesskich, ale pod jednym warunkiem: muszę znać prawdę. To znaczy chcę wiedzieć **DLACZEGO „Potiomkin" idzie do góry nogami i dlaczego usta będące dotąd dla mnie symbolem bólu, rozpaczy, gniewu i ostrzeżenia mają mi służyć za popielniczkę w kawiarni? Muszę to wiedzieć a wytłumaczyć mi tego nie może John Barleycorn, jakby chciała tego spora część naszej awangardy.**

Jeżeli ktoś pokazuje mi wieżę Eiffla w postaci kłębka sznurka i twierdzi, że długość równa się tu wysokości, to (mimo szacunku dla poczynań rodzimej awangardy) zastanawiam się, dlaczego wysokość zamieniono tu na długość? Czy długość była tu początkiem wysokości: czy wysokość powodem długości? A może skłębienie jest tu naturalnym następstwem wywyższenia i przypomniano mi w ten sposób, podsuwając mi pod nos kłębek — sprawy ponadczasowe, mistyczne, pozaziemskie? A może ktoś, kto wpadł na taki pomysł, liczył na to, iż zapomniano w dzisiejszej dobie szlachetnego kunsztu rozcinania gordyjskich węzłów? A może, po prostu, ów ktoś myślący konceptualnie cierpi na lęk przestrzeni i dostaje zawrotu głowy, gdy patrzy z wysokości jakiejś tam (na przykład z wysokości wieży Eiffla) i woli patrzeć przed siebie (po sznurku) leżąc brzuchem na ziemi? **Do kogo zaADRESowany był więc ów kłębek szpagatu długości równej wysokości wieży Eiffla pozostanie dla mnie tajemnicą, choć może domyślam się, lecz śmiałości jeno nie mam powiedzieć tego publicznie...**

6.

Są więc różne zabawy w awangardę. Jedne spod Kantorowskich parasoli, makaronowe happeningi i koncerty orkiestrowe w falach Bałtyku — że pozostanę na gruncie rodzimym. Są etykietowe deklaracje, że schody to są istotnie schody, a drzwi to drzwi (tak, jakby schody mogłyby być drzwiami a drzwi schodami!). Są także próby wpakowania do worka zwanego sztuką takich oto ciekawostek, jak owo „coś" w aranż. (to znaczy aranżacji) **Andrzeja Pierzgalskiego.** Zwie się to **PLE—PLE—AUTOMATIC.** (Galeria 80×140), a ułożone zostało w oparciu o **„Słow ik terminologiczny sztuk pięknych":**

| | |
|---|---|
| **AKWARELA** | — jest to farba |
| **BLEJTRAM** | — to nie polska nazwa |
| **COLLAGE** | — dali nam kubiści |
| **DUBLET** | — winni mieć artyści |
| **EN FACE** | — znaczy też: na wprost |
| **FALSYFIKAT** | — zrobił Ktoś |
| **GENIUSZ** | — słowo w brzmieniu chłodne |
| **HEROS** | — nadal bardzo modne |
| **ILUSTRACJA** | — choćby to: (tu rysunek gardy rapieru — z przyczyn technicznych nie możemy jej w tym miejscu pokazać — przyp. K.B.) |
| **JELEC** | — pod „i" o to szło |
| **KANON** | — mów inaczej wzorzec |
| **LANCA** | — zwie się też proporzec |
| **MALARNIA** | — to dziś pracownia |
| **NIKE** | — dla Rzymian Wiktoria |
| **OTOMANA** | — jest to sofa |
| **PALETA** | — zdradziła Ktosia |
| **READY-MADES** | — dadaistyczne |
| **SCHODY** | — Jurka były śliczne |
| **TRYPTYK** | — zawsze ma trzy części |
| **URNA** | — we śnie wróży szczęście |
| **WODOTRYSK (U)** | — brak jest w Klubie |
| **ZŁOTO** | — metal, który lubię |

**ANDRZEJ PIERZGALSKI**

To swojskie dla mnie i bliskie! Przypomina mi wierszyk z dzieciństwa. Identyczny w rytmie i formie: Napoleon nosił rapier... itd., itd. Awangarda, okazuje się, potrafi nawiązywać do tradycji...

7.

Przytoczyłem tu parę migawek **z życia „awangardy łódzkiej".** A to z tego względu, że bliższa koszula ciału. Ale ponieważ są to sprawy obchodzące mnie żywo, a o awangardzie polskiej w ogóle mam zdanie wyrobione i nienajgorsze (choć jej przekleństwem oczywistym jest to, że leży ona za blisko tzw. „Paryża"), odwołać chcę się tedy do realizacji, która w moim pojęciu jest nie tylko **NOWATORSKA,** ale głęboko **LUDZKA,** na **LUDZKĄ SKALĘ STWORZONA** — do **ARENY Jerzego Beresia we Wrocławiu.** Do tego odwróconego korzeniami w niebo drzewa pośród ziemi na poły wolnej, na poły uwięzionej w betonie. A potem jeszcze chciałbym przypomnieć **KOLUMNĘ ŚWIATŁA Henryka Stażewskiego** w tymże samym Wrocławiu...

Być w awangardzie — to być na czele, a nie nurzać się w dziwactwie, megalomanii i w intelektualnej i twórczej prostracie.

**KAROL BARSZCZEWSKI**

# DUSICIEL POWIATOWY

(Dalszy ciąg ze str. 1)

nieznajomego pląd rującego w szafie. Twarzy jego nie widziała, ale zapamiętała, że ubrany był w brązową marynarkę w białe paski. Przestraszyła się i zaczęła budzić młodszą siostrę. Wtedy ten mężczyzna bez słowa wyszedł z pokoju i opuścił mieszkanie. Kiedy dziewczynki wbiegły do kuchni ich matka leżała nieprzytomna na kozetce. Zobaczyły krew i przestraszyły się jeszcze bardziej, pobiegły prosić o pomoc sąsiadkę.

Kiedy pogotowie przewiozło nieprzytomną Janinę W. do szpitala, wyszło na jaw, że obrażenia jej nie pochodzą od razów. Na szyi pacjentki odkryli lekarze charakterystyczną bruzdę wskazującą na usiłowanie uduszenia.

**„Przy zadzierzgnięciu** — podają podręczniki medycyny sądowej — **pętla otaczająca szyję zaciska się nie wskutek ciężaru ciała, jak w powieszeniu, lecz pod działaniem ręki sprawcy".**

Tego sprawcę należało teraz znaleźć, co nie było sprawą łatwą, gdyż Janina W. zmarła wkrótce nie odzyskawszy przytomności. Jedyną wskazówką dla milicji było zeznanie dziewczynki. Odnalezienie zabójcy komplikowało się także dlatego, że Janina W., nazywana w swoim środowisku Kaczorem Donaldem albo Kaczuszką, zawodowo trudniła się nierządem i krąg mężczyzn, z którymi się stykała był niezwykle szeroki. W jej notatniku figurowały dziesiątki telefonów i adresów mężczyzn z najróżniejszych środowisk, od nocnych dozorców po ludzi z wyższym wykształceniem.

### Z POMOCĄ PRZYSZEDŁ PRZYPADEK

**3 maja 1971 r.** recepcjonistka hotelu „Savoy" wezwała pogotowie milicyjne: w jednym z pokojów doszło do gorszącej awantury, która naraziła zakład na utratę szyby w oknie i rozbitej telefonicznej słuchawki. Określiła te straty na 250 złotych. Kiedy funkcjonariusze MO weszli do numeru, zauważyli leżącego na łóżku mężczyznę. Jakaś kobieta, która trzymała w ręku ortalionowy pasek i przedstawiła się jako prostytutka Henryka S. wyjaśniła, że była duszona tym paskiem. Obawiając się prześladowcy wyrwała ze ściany telefon i cisnęła nim w szybę, aby sprowadzić ludzi. Oględziny sądowo-lekarskie wykazały, że wskutek zaciskania paska na szyi kobieta **„doznała powierzchownych otarć naskórka, obrzęku i wybroczyn krwawych na szyi oraz kilku wybroczyn krwawych punkcikowatych pod spojówkami powiek dolnych i w skórze powiek górnych obu oczu".**

Mężczyzną zatrzymanym w hotelu okazał się Jerzy K. urodzony w r. 1942, mieszkaniec Zgierza. Czynu swego nie potrafił wyjaśnić. Oświadczył tylko, że mając blisko 700 złotych za oddaną tego dnia krew poszedł do kawiarni „Warszawianka", gdzie spotkał Henrykę S. Zaprosił ją na obiad do „Smakosza", wypili tam także ćwiartkę i piwo i zgodziwszy się na 200 złotych poszli do hotelu. W recepcji zostawił książeczkę wojskową. Po zbliżeniu zatracił świadomość i niczego nie pamięta.

Nieco inaczej przedstawiła fakty Henryka S. Gdy się ubierała i stanęła przed toaletką, aby uczesać włosy,

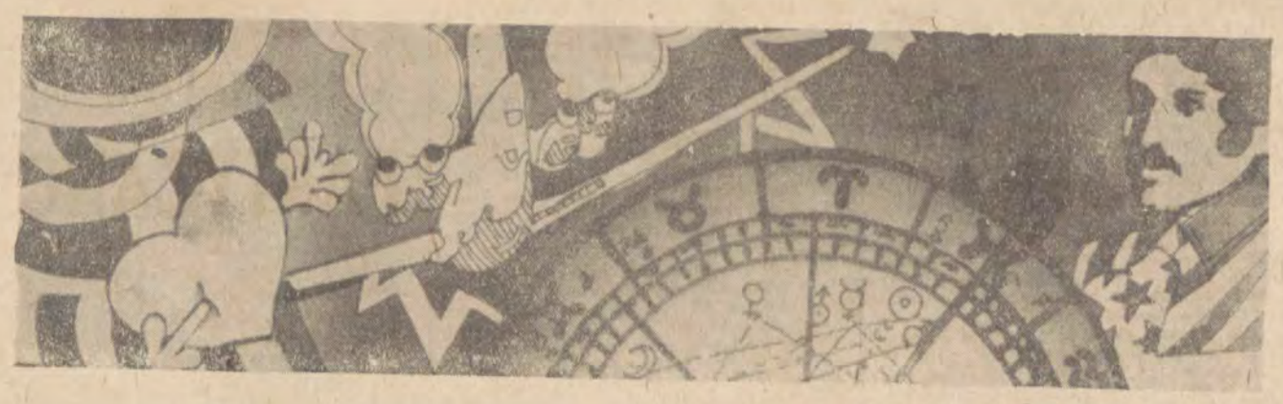

# START W NIEZNANE

**Juliusz Verne, lokując ludzi w wydrążonym pocisku armatnim i wystrzeliwując ich na Księżyc, nie przypuszczał, że życie potwierdzi fantazję. Potwierdziło, podobnie jak i jego pomysł z podwodnymi podróżami, ale też i skomplikowało pracę autorom powieści i opowiadań fantastyczno-naukowych. Do niedawna można było jeszcze umieszczać akcję powieści i opowiadań na Marsie czy Wenus, ale wyprawy sond kosmicznych i to uczyniły niemożliwym. Trzeba zatem sięgać fantazją dalej w Kosmos, poza nasz, poczciwy Układ Słoneczny. Przestrzeń kosmiczna jest nieograniczona i nieskończona. Z fantazją bywa czasem znacznie gorzej.**

## CZŁOWIEK ODERWAŁ SIĘ OD ZIEMI

Pokonał jej siłę przyciągania, aby wylądować na Księżycu. To rzeczywistość. W swoich fantastycznych domysłach buja natomiast w nieskończonych przestrzeniach Kosmosu, prowadząc nawet wojny z dalekimi a nieznanymi cywilizacjami. Zrozumiałe, że wojny te wygrywa, chociaż są i tacy, którzy próbują pokazywać Ziemię w jakiś czas po powszechnym, atomowym kataklizmie. W fantastycznym obrazie przyszłości zawsze pozostaje życie na Ziemi. Tego typu utwory mają bowiem przestrzegać przed całkowitym zniszczeniem planety.

Przeniesienie akcji fantastycznych powieści w przestrzeń kosmiczną pozwala pozostawić na Ziemi obowiązujące tu prawa fizyki i z zupełną swobodą kierować życiem nieznanych planet. W Kosmosie wszystko jest możliwe.

**Robert Sheckley** w opowiadaniu „Specjalista" opisuje statek kosmiczny, który jest... żywym tworem. Składa się on ze Ścian, Silnika, Oka, Mózgu, Zasilacza, Doktora i Akumulatora. Każdy z członków załogi pochodzi z innej planety, należącej do Związku Galaktycznego. I choć wszystkie elementy Statku potrafiły z sobą znakomicie współpracować, to przecież porzebny im był Popychacz, który zespoliłby Załogę w jeden organizm A Popychacz zginął w czasie burzy fotonowej. Na swojej drodze spotkał Ziemię. Na Ziemi byli Popychacze. Właśnie spotkano jednego i porwano go.

**„— Posłuchajcie chłopcy — powiedział — nie mam pojęcia kim jesteście i czy to wszystko ma w ogóle jakiś sens. W każdym razie muszę się stąd wydostać. Jestem na urlopie i jeżeli nie wrócę na czas, armia Stanów Zjednoczonych może się niepokoić.**

**Gadacz poprosił Popychacza o dodatkowe informacje na temat „armii" i przekazał je Mózgowi.**

**— Te Popychacze stale walczą między sobą — brzmiała konkluzja Mózgu.**

**— Ale dlaczego? — zapytał Gadacz. (...)**

**— Chętnie bym wam pomógł w tej sytuacji, chłopcy — rzekł Popychacz — ale nie wiem, skąd wam przyszło do głowy, że potrafiłbym popchnąć coś tak ogromnego jak ten Statek. Trzeba by do tego całego dywizjonu czołgów, żeby go ruszyć z miejsca".**

Wszystko się jednak wyjaśniło i ułożyło.

**„Człowiek — Specjalista — Popychacz zespolił Załogę, stał się jednym z nich, przycisnął do serca Mózg i Gadacza.**

**Nagle Statek wystrzelił z szybkością ośmiokrotnie przekraczającą prędkość światła, stale przyśpieszając".**

Człowiek wprawdzie oderwał się od Ziemi. Potrafi już tygodniami przebywać w Kosmosie na stacji doświadczalnej. Ale jest to dopiero przedsionek Kosmosu. Fantazja sięga znacznie dalej. Interesują go inne planety. Stara się w swoich fantastycznych dociekaniach wyobrazić życie inne niż na Ziemi. Ale oderwać się od Ziemi jest bardzo trudno. Cała nasza współczesna wiedza o Kosmosie na Ziemi powstała i według ziemskich praw i prawd została ukształtowana. Wydawało nam się, że sporo wiemy o Księżycu, ale już pierwsze badania lunonautów i „Lunochodów" wykazały, jak mało wiedzieliśmy i na ile jeszcze pytań trzeba będzie odpowiedzieć.

Literatura fantastyczno-naukowa wybiega jednak daleko w przyszłość, zakładając, że podróże kosmiczne staną się faktem i że nawiążemy kontakt z innymi kosmiczymi cywilizacjami. A czy mieszkańcy Kosmosu nie szukają kontaktu z nami?

**Dymitr Bilenkin** wyobraził sobie, że pewnego razu zbliżała się do Ziemi stacja badawcza prastarej cywilizacji Galaktyki.

**„A kiedy struktura języków obcego świata została rozszyfrowana, włączył się program trzeci".**

Ale traf chciał, że w dyspozytorni ruchu kosmicznego nastąpiła awaria centralnego mózgu cybernetycznego. Tan Rostow, mający tego dnia dyżur, nie mógł sobie poradzić z przyjmowaniem nadlatujących z Kosmosu statków międzyplanetarnych.

**„I wiem, jak na złość, zagłuszając słowa, na falę „Eridana" wdarła się jakaś obca stacja. Świat kompletnie zwariował.**

**— Ejże, na fali 8119, spływajcie stąd. W tej chwili... To nie do ciebie „Eridan", nie do ciebie... 17—15, daję „Eridanowi" 17—15, sektor W., rezerwowy. Potwierdzenia nie słyszę.**

**Gdzież tam! Zuchwalec ani myślał wynosić się z fali. Zasuwał dalej swoją gadkę i głos „Eridana" tonął w zakłóceniach, jak brzęczenie komara w ryku bawołu. Tan wpadł we wściekłość.**

**— Precz z Kosmosu!!! — wrzasnął tak, że mu się gwiazdy w oczach pokazały z wysiłku. — 8119, zjeżdżaj stąd".**

Konstruktorzy galaktycznej stacji zwiadowczej przewidzieli możliwość nieprzyjaznego przyjęcia i **dlatego niezwłocznie włączył się program zapasowy".** Automatyczna stacja poszybowała z powrotem w przestrzeń Kosmosu. Kiedy Tan odpoczywał już po usunięciu awarii centralnego mózgu cybernetycznego i palił papierosa, wtedy zrozumiał Jedyna szansa spotkania się dwu cywilizacji zniknęła bezpowrotnie. Przez głupi przypadek.

Niestety, mimo lądowania człowieka na Księżycu i przebywania ludzi w kosmicznej stacji doświadczalnej, człowiek nie oderwał się od Ziemi. Stoi na niej mocno obiema nogami.

## PRAWDA I FANTAZJA

wzajemnie przenikają się na kartach powieści i opowiadań fantastyczno-naukowych. Ściśle się ze sobą wiążą, nie dając się rozdzielić. Ktoś swego czasu powiedział, że lubi czytać powieści kryminalne, bo logika obowiązująca przy konstruowaniu zagadki kryminalnej nakazuje rzetelne posługiwanie się realiami. Z powieści kryminalnej — dobrze napisanej — można dowiedzieć się więcej o życiu niż z niektórych innych utworów literackich. „Kryminał" wbrew pozorom nie daje bowiem wiele możliwośc do uproszczeń, szybko odsłania niedostatki społecznej wiedzy autora. I choć gatunek ten nie cieszy się zbytnim uznaniem krytyków literackich, to wielu doświadczonych i sławnych autorów próbowało (pod pseudonimami) pisać powieści kryminalne i często bez powodzenia.

Coś podobnego dzieje się z utworami fantastyczno-naukowymi. Zdarza się, że autor znakomicie radzi sobie w Kosmosie, budując zupełnie przekonywające wizje nieznanych cywilizacji, czy wyludnionych lub martwych planet. Kiedy jednak załoga statku kosmicznego wraca na Ziemię, a rzecz dzieje się przecież w dalekiej przyszłości, od razu wyczuwa się niedostatek społecznej wyobraźni autora. Obraz przyszłego społeczeństwa jest najczęściej nijaki. Autor zbyt daleko oderwał się od współczesności i nie potrafi przekonywająco zarysować stosunków panujących w przyszłym społeczeństwem. I dlatego niektórzy wolą sprowadzać na Ziemię istoty z innych planet, a jeszcze inni bawią się podróżowaniem w czasie.

**Bob Shaw** w „Swietle minionych dni" wysyła parę swoich bonaterów — kochających się i nienawidzących jednoczesnie — w podroz po Anglii. Rzecz dzieje się w nieokreślonej przyszłosci. W podróży tej spotykają hodowcę szkła retrospektywnego. Szkło to chłonie w siebie swiatło, akumulując odbijające się w nim obrazy. Im dłużej trwa proces akumulacji, tym dłużej szkło, wprawione w ramy okienne będzie wchłonięte obrazy emanowało. Hodowca takiego szkła siedzi sobie przed domem, w oknie którego co jakiś czas ukazuje się kobieta i dziecko. Ale to tylko emisja obrazów wchłoniętych przez szkło retrospektywne. Oboje bowiem nie żyją. Zginęli w wypadku.

Pomysł Boba Shawa nie jest znów tak nowy. Pragnienie ludzi, aby znów ujrzeć tych, którzy odeszli, jest dość stare. Przecież to nikt inny, jak Pan Twardowski, sprzedawszy duszę diabłu, ukazał Barbarę Radziwiłłównę królowi Zygmuntowi Augustowi. Tak przynajmniej głosi legenda. I choć pomysł ze szkłem retrospektywnym u Boba Shawa w „Świetle minionych dni" jest fantastyczny, to psychologiczne motywy działania bohaterów opowiadania są prawdziwe i dziś nam nie obce.

Konwencja opowiadania fantastyczno-naukowego daje też znakomitą okazję do kpiny ze współczesności, do satyry i gryzącej ironii. **Stanisław Lem** w „Kongresie Futurologów" wykpił gigantomanię współczesnego świata, zamachomanię, porywanie, seksomanię i tym podobne słabości i wady naszej współczesności. Rzecz się dzieje w gigantycznym hotelu Hiltona w Costarikanie. Hotel ten wprawdzie gwarantuje **„brak BOMB w pomieszczeniu"**, ale nie gwarantuje na śniadanie jaj na miękko.

Stanisław Lem w „Kongresie Futurologów" pokazuje w sposób groteskowy nie tylko przyszłość ziemskiej cywilizacji. Sporo tu aluzji do współczesności, z jej zamachami, porywaniem zakładników i pięknie brzmiącymi deklaracjami. Kongres na przykład rozpoczyna się koktajlem, na który przychodzi ambasador USA.

**„...i wygłosił króciutkie przemówienie o potrzebie współpracy międzynarodowej, tyle że mówił otoczony przez sześciu barczystych cywilów, którzy trzymali nas na muszce. Wyznaję, że byłem nieco zdetonowany, zwłaszcza, że stojący obok mnie ciemnoskóry delegat Indii ze względu na katar chciał sobie wytrzeć nos i sięgnął po chusteczkę do kieszeni. Rzecznik prasowy Towarzystwa Futurologicznego zapewniał mnie potem, że zastosowane środki były konieczne i humanitarne. Obstawa dysponuje bronią o dużym kalibrze z małą siłą przebijającą, tak samo jak strażnicy na pokładzie samolotów pasażerskich, dzięki czemu nikt postronny nie może być poszkodowany, w przeciwieństwie do dawnych dni, kiedy się zdarzało, że pocisk kładąc trupem zamachowca, przechodził na wylot przez pięć, a nawet i sześć siedzących za nim. Bogu ducha winnych ludzi".**

Zupełnie inny typ satyry współczesność prezentuje w „Skarbnicy mądrości" **Kiryl Bułyczow.** Sens tego przezabawnego opowiadania sprowadza się do stwierdzenia, że człowiek jest ściśle związany ze swoją cywilizacją, którą zresztą sam wytworzył i gdyby mu nawet — jak to się stało z Kornelem Udałowem, pracownikiem biura budowlanego w Gęślarzu Wielkim — zjawił się we śnie mieszkaniec dalekiej planety i dał w darze niezwykłą chłonność umysłu, to i tak niewiele by z tego skorzystał. Potwierdza to w gruncie rzeczy tylko tę prawdę, że przy całym bogactwie fantastycznych pomysłów człowiek zbyt mocno stoi na ziemi i o niej — jak na razie — wie najwięcej. A mimo o najbardziej interesujące w literaturze fantastyczno-naukowej są wszelkie koncepcje przyszłych społeczeństw. Wyrażają one bowiem albo marzenia o bezkonfliktowej przyszłości, albo są wyolbrzymioną i przeniesioną w przyszłość karykaturą naszej teraźniejszości.

Nim jednak przyjdzie czas na odmalowanie strasznego, przyszłego świata, którym epatują nas niektórzy autorzy, warto będzie zatrzymać się na fantastycznych podróżach w czasie, one bowiem też dostarczają wielu ciekawych spostrzeżeń i to o naszej teraźniejszości.

**LUCJUSZ WŁODKOWSKI**

---

dostrzegła w lustrze Jerzego K. W ręku miał ortalionowy pasek. Zdążyła włożyć rękę pod pasek, który zarzucił jej od tyłu na szyję. Chociaż osłabiła w ten sposób ucisk utraciła na chwilę przytomność. Kiedy się ocknęła zobaczyła napastnika leżącego obok na podłodze. Grożąc jej paskiem żądał dalszych świadczeń. Wtedy cisnęła telefonem.

W areszcie śledczym Jerzy K. zaczął tęsknić do swego syna, który urodził się w dniu jego zatrzymania. Może dlatego zaczął pisać wiersze, których próbkę przytoczę:

**„Przyszła dziś gorycz do mojego domu**
**Płaszczem cierpienia osnuta jak mgłą**
**I otuliła mię w swoich ramionach,**
**Słońce cierniami pokryła jak rdzą.**
**Na strugach deszczu, co bije w me okna,**
**Smutek wyciąga do mnie macki żalu.**
**Serce pamięcią chwil minionych drży."**

Już podczas pierwszego przesłuchania, nie pytany, zaczął mówić o zdarzeniu w mieszkaniu przy ulicy Abramowskiego. W nocy, kiedy wracał do Zgierza od swojej rodziny w Łodzi spotkał na ulicy kobietę. Umówili się na 200 złotych. Powiedziała, że wie, gdzie można kupić wódkę, więc poszli do wagonowej restauracji na Dworcu Fabrycznym, ale sprzedano im tylko dwie butelki piwa. Taksówką pojechali do mieszkania kobiety, pili piwo. Potem tamta kobieta wstała z kozetki i ubrana w szlafrok zaczęła przygotowywać sobie coś do jedzenia. Wtedy poczuł, że boli go głowa, przypomniał sobie, że żona będzie niedługo rodzić i zdenerwował się. Nie wie, co było dalej. Zobaczył, że kobieta, charcząc, leży na kozetce z zaciśniętym na szyi krawatem. Rozpoznał swój krawat i przestraszył się tego, co się stało. Ubrał się i wyszedł do pokoju poszukując drugiej butelki po piwie, aby usunąć z niej linie papilarne. Spłoszyła go płacząca w mieszkaniu dziewczynka.

### GOŚCINNY STARUSZEK

Jerzy K. przyznał się do jeszcze jednego czynu, który interesował milicję zgierską. **30 maja 1971** Józef K. odebrawszy rentę jechał na rauszu tramwajem do swego domu. Na pomoście zmówił się o następną kolejkę wódki z młodym, sympatycznym mężczyzną. Wstąpili do restauracji „Kurak", wypili co nieco, płacił Józef K. Nieznajomy chciał się zrewanżować gościnnemu staruszkowi. W szatni zastawił za sto złotych swój zegarek, zamówił ćwiartkę wzmocnioną piwem, zafundował także dwa gorące dania. Obaj wstawili się nieco, ale pora była jeszcze wczesna, więc postanowili zmienić tylko lokal. W prywatnej restauracji na Chełmach staruszek przedstawił młodzieńca jako posła na sejm, on sam wszakże podał się za syna właściciela zakładu. Mimo to nie sprzedano im wódki. Staruszek zaprosił młodzieńca do domu. Kosztowało go to utratę zegarka marki „Bloneks" i 700 złotych oraz naraziło na dodatkowe przykrości, gdyż nieznajomy opuszczając z łupem dom brzydko wyraził się do gospodyni o obyczajności staruszka. Józef K stwierdził na milicji, że został pobity i obrabowany, zabrano mu także bilety tramwajowe, ale wśród kilku zatrzymanych przez milicję mężczyzn nie rozpoznał świadomie swego prześladowcy. Dopiero później, gdy spotkał przypadkowo Jerzego K. na przystanku, bo o niego tu właśnie chodzi, zdziwił się, że go milicja zwolniła.

Kiedy Jerzy K. został zatrzymany pod zarzutem dwukrotnego usiłowania zabójstwa i o sprawie dusiciela zrobiło się głośno, Józef K. złożył dodatkowe wyjaśnienia. Stwierdził, że kiedy zasnął w fotelu obudziło go dławienie, miał na szyi zaciśnięty swój własny szalik. Jerzy K. wzmacniając i zwalniając uścisk pytał starca, gdzie przechowuje kosztowności i pieniądze. Wówczas, stwierdził Józef K., udałem nieprzytomnego i wtedy prześladowca mnie zostawił. Jedna z notatek prasowych opublikowanych jeszcze przed procesem określiła nawet, że Józef K. „udawał trupa" i dlatego ocalał.

Jerzy K. przedstawił zdarzenie odmiennie. Kiedy gospodarz począł się do mnie zalecać, stwierdził, poczułem obrzydzenie i od tego momentu już nic nie pamiętam. A kiedy odzyskałem świadomość zobaczyłem go l[illegible] ce-go na podłodze z szalikiem na szyi. Później, w drodze do domu, zobaczyłem, że mam na ręku cudzy zegarek, a następnego dnia znalazłem jeszcze w swojej marynarce bloczek biletów tramwajowych.

Wtedy, jak twierdzi, zadzwonił do swojej znajomej i opowiedział jej o wszystkim. Radziła, aby zgłosił się na milicję, lecz nie skorzystał z tej rady, bo obawiał się zatrzymania i zegarek sprzedał za 200 złotych na Bałuckim Rynku, a pieniądze przepił. Czym jest więzienie wiedział, gdyż odbywał wcześniej, w roku 1966 krótkoterminową karę więzienia za drobną kradzież i nie chciał do niego wracać.

### PRZYPADEK JERZEGO K.

Ponieważ wszystkie trzy przestępstwa były popełnione w krótkim odstępie czasu i w niecodziennych okolicznościach można było mieć wątpliwości co do poczytalności oskarżonego. Dlatego, już w czasie śledztwa, wyznaczono mu z urzędu obrońcę. Ale wątpliwości mogła budzić także motywacja czynów, a zwłaszcza oba usiłowania zabójstwa prostytutek. Czy chodziło tu o tzw. zabójstwo z lubieżności czy też o zabójstwa na tle rabunkowym, w którym podłoże seksualne jest tylko rodzajowym tłem przydającym wszystkiemu pikanterii.

Wnosząc akt oskarżenia prokurator zarzucił oskarżonemu zabójstwo Janiny W. oraz dwukrotne usiłowanie zabójstwa innych osób, w każdym wypadku na tle rabunkowym. Biegli lekarze psychiatrzy, którzy przez dłuższy okres czasu obserwowali Jerzego K. w zamkniętym zakładzie leczniczym jednoznacznie rozstrzygnęli kwestię jego poczytalności. Stan zdrowia psychicznego oskarżonego, w chwili popełnienia przestępstw, nie budzi wątpliwości. Co prawda, kiedy przypadek Jerzego K. demonstrowano na specjalnej konferencji naukowej z udziałem 50 lekarzy, nie wszyscy uczestnicy wypowiedzieli się jednoznacznie, ale szereg skrupulatnych badań dodatkowych wątpliwości rozstrzygnęło.

Jerzy K. w liście do żony zatrzymanym przez władze więzienne pisze, że został oszkalowany przez prasę, skarży się także na prasę do sądu prosząc o uchylenie jawności rozprawy. Twierdzi, że sprawa nabrała zbytniego rozgłosu w jego mieście oraz, że na salę sądową przyjdą wszystkie łódzkie prostytutki.

W dniu rozprawy poczuł się źle, drżąc, nie odpowiadał na pytania sądu. Biegli zaproponowali dodatkową obserwację psychiatryczną. Lekarze ze szpitala więziennego we Wrocławiu wydali opinię o poczytalności oskarżonego całkowicie zgodną z opinią lekarzy łódzkich. Niedyspozycję psychiczną Jerzego K. na rozprawie **12 stycznia 1972 r.** określili jako świadomą reakcję obronną.

Ale na rozprawie **7 września 1972 r.** wszystko się powtórzyło. Oskarżony Jerzy K., którego personalia trzeba było dyktować z akt prokuratorskich odczytując jednocześnie złożone tam zeznania w pewnym momencie przeprosił sąd za swoje zachowanie i posługując się sporządzonymi w areszcie notatkami zaczął mówić. Momentami, ze względu na intymność szczegółów, sąd uchylał jawność rozprawy. Najsilniejsze wrażenie zrobiło na Jerzym K. zeznanie ojca, który opisywał stosunki w domu rodzinnym wystawiając przerażające świadectwo matce oskarżonego. Jerzy K nie wytrzymał i krzycząc, nie pozwolił ojcu mówić. W aktach sądowych znajduje się napisany przez niego wiersz poświęcony matce.

Wyrok zapadł dopiero **15 września 1972.** Sąd nie przychylił się do tezy oskarżenia uznając, że tylko w jednym wypadku, zabójstwa Janiny W. oskarżony działał z zamiarem ewentualnym pozbawienia jej życia. Zdarzenie z 30 marca 1971 roku w Zgierzu określił sąd jako stosowanie przemocy w celu osiągnięcia korzyści majątkowej, zaś wypadek w hotelu „Savoy" zakwalifikował jako występek lekkiego uszkodzenia ciała, gdyż ani w jednym, ani w drugim przypadku nie było dowodów na to, że Jerzy K. chciał swoje ofiary pozbawić życia. Za wszystkie te przestępstwa **sąd wymierzył karę łączną 25 lat pozbawienia wolności, 10.000 złotych grzywny i orzekł pozbawienia oskarżonego praw publicznych na okres ośmiu lat.**

Od wyroku tego założył rewizję prokurator, domagający się łącznej kary śmierci oraz obrońca oskarżonego, który zarzucał sądowi niedostateczne wyjaśnienie kwestii stanu zdrowia psychicznego oskarżonego. Na rozprawie **5 marca 1973 r.** Sąd Najwyższy wyrok Sądu Wojewódzkiego dla m. Łodzi utrzymał w mocy.

W ten sposób zakończyła się jedna z ciekawszych ze względu na okoliczności spraw karnych. Nie przypomina ona w niczym sprawy o podobnym podłożu jaka miała miejsce w Stanach Zjednoczonych i znana jest w literaturze jako przypadek tzw. bostońskiego dusiciela. Jerzy K. zapytany, dlaczego nie udzielił pomocy zadławionej przez siebie Janinie W. odpowiedział, że kiedyś został okradziony przez prostytutkę i od tej pory nienawidzi tych kobiet.

**KONRAD FREJDLICH**

P. S.

Wyrok I instancji zapadł przed Sądem Wojewódzkim w Łodzi w V Wydziale Karnym o składzie: przewodniczący SSW **Eugeniusz Ograbek,** SSW **Eugeniusz Baworowski:** ławnicy — **Stanisław Stebart, Tadeusz Maciaszek i Mieczysław Perski.**

Oskarżenie popierał prok. **Z. Piechota.** Obrońcą oskarżonego był mec. **M. Olczyk.**

**K. F.**

## MIECZYSŁAW MICHAŁ SZARGAN

# IKONA NIEMIECKA

*OPOWIADANIE*

Ta ikona wisi w kąciku nad półką. Na półce różne ziele: rumianek, bez zeschły jak papierek odwijany z cukierka szeleści, czasami w wazonikach stoi dzika róża albo gałąź ułamana z akacji co gapi się w nasze okno. Kwiat gdy uschnie pachnie tytoniem. Zdarzyło się: płatek upadnie na podłogę, liść lub łodyżka, to mama wtedy tego nie zmiata tylko bierze w ręce i nie wrzuca do wiadra, w ogień raczej, bo te resztki spadające z półki to jest kwiat, liść czy łodyżka, które s[illegible] przy świętym, czyli jakby i w nie ta świętość weszła, więc mama niesie je w ogień w skupieniu i z wielkim nabożeństwem. Sam nieraz przynoszę dziką różę i stroję nią ołtarzyk. Są to róże z parku rzadziutkie, z płatkami rozpostartymi, w środku w tym miejscu, gdzie płatek dotyka słupka, jest ciemno jak w kościelnym przedsionku: żelazo albo ręka umarłego, takie tu panuje zimno. Zawsze za dnia upatrzyłem sobie różę, którą chciałem zerwać, robi się szarówka: trafiam do kwiatu na pamięć, jeszcze żeby się upewnić czy to ta róża co w dzień w oko mi wpadła, dotykam ręką płatków, są aksamitne i chłodne, prowadzam rękę po kantach kwiatu i już wiem, róża jest spora. Klęcząc tak nad różami, szperając w płatkach, czuję zapach jakby mi kto przystawił pod nos butelkę z perfumami albo jakby kobieta z puffu przeszła. W czasie okupacji w Miasteczku były takie kobiety i od nich tak właśnie pachniało. Mieszkały na Przypadku w domku zamkniętym okiennicami. W okiennicach były powyrzynane serca. W sercach była szybka i kawałek różowej firanki.

Do tego domku wchodzili niemieccy żołnierze, przeważnie szachole, to znaczy tacy bez belek i gwiazdek, długo tam nigdy nie siedzieli, najwyżej pół godziny, kiedy wychodzili rechotali jak żaby, zauważyłem też, że gdy stamtąd szli zawsze coś poprawiali przy mundurze: furażerkę, pasek wkładali do szlufki albo guzik dopinali przy rozporku.

Mama krzywo patrzy na różę. Żebyś mi broń Boże tego nie stawiał na półce. Poleciałbyś do Kołodziejskiej i przyniósł kaczypyszczków, przy płocie nasiała cały zagon. Mama wyszła z izby, ja łap za wazon, wyrzuciłem zielsko, wodę zielaną chlupnąłem za okno do ogródka, śmierdzi jak żyberucha w Stawku, tam gdzie rosną trzciny i pływa rzęsa, do kuchni wszedłem, napuściłem wody do garnuszka, żeby wyglądało że piję, przystawiłem garnuszek do warg, udaję, udaję picie wody, zgrzana mysz i wodę pije, skaranie boskie z tym chłopakiem, babcia mówi do mamy, jeszcze przez szparę niedomkniętą, powinnaś mu zakazać jeździć na tym kółku, zobaczysz, na płuca zapadnie.

Wazoniki są dwa. Gęślarz i Gęślarka stoją na przodzie wazoników. W trawie stopy w malowanych trzewikach, trawa jest także namalowana, niektóre źdźbła przydeptane, jedno źdźbło przełamane jak na prawdziwej łące. Na trzewikach Gęślarki zbiociste klamerki rozłożone jak skrzydła osy. Gęślarz ma na nogach sandały, u lewej nogi duży palec odtrącony, kość ostra, porcelanowa, na tej samej nodze pęknięty rzemyk, widocznie wtedy gdy wazonik spadł, poniósł te uszczerbki. Gęślarka ubrała się w sukienkę z bufiastymi rękawami, czerwony fartuszek z płatek mąki, włosy namalowane złotem spadają na ramiona, maleńka niagara. Gęślarz uczesany w przedziałek, widać jasną ścieżkę skóry, co do ubioru najbardziej podobają mi się skórkowe szelki z pasem przez pierś podbite zieloną wypustką, niebieski kapelusz mniej mi przypada do gustu, wyglądałbym w takim kapeluszu jak oferma albo gzub. Gęślarz nie ma gęsi, stoją tylko przed Gęślarką, jedna gęś uniosła skrzydło, druga gęś wygięła szyję i skubie fartuch, Gęślarka jakby się przelękła i cofnęła. Pomyślałem sobie, że oni razem pasą te gęsi, dlatego przed chłopakiem nie ma ani jednej, a wyglądało też na to, że gęś chłopaka dopadła do dziewczynki i jej dokucza.

Wreszcie ułożyłem różę w wazonikach i postawiłem na półce. Święty okiem nie mrugnął, widocznie kwiaty bardzo mu się podobają, stoją świeżutkie jakby rosły w ziemi, nawet tak mi się zdawało: święty wyciągnął rękę i dotknął płatka.

To była ikona niemiecka. Przyszedł ojciec i mówi: Niemcy uciekają z miasta. Ruski są w Mątwach. Wyszliśmy [illegible] dom. Mama, tata i wszystkie dzieciaki. Ulica jedne kłębowisko. Szwargocą Niemcy, klną na czym świat stoi, trzęsą się na swoim dobytku, Brener na rolwadze trzyma westwalkę, piec kuchenny, biały z uchwytami świecącymi jak bombki na choinkę, piec podskakuje, żelazo grzmi, kręgi, ruszta. Brener trzyma dobytek ostatkiem sił, aż wysuwa mu się z rąk, kant żelazny drze pierzynę, Niemcy w pierzu krzyczą, wymachują rękami, dławią się pierzem, plują pierzem, charczą, kłęby pierza jak kłęby ognia, odgarniają pierze, ale ono wciąż wiruje jakby Bóg skubał ogromne zwierzę, anioła albo kudłatego diabła i jakby to skubanie nigdy nie miało się skończyć. Ojciec patrzy na mamę, znacząco się do mamy uśmiecha, dzieciaki otacza ręką i wgarnia do domu.

Sodoma i Gomora szła do wieczora. Wieczorem ucichło. Słychać tylko młotek Kołodziejskiego, bo nawet klęska hitlerowska nie przeszkodziła mu w robocie, raz wetknął głowę w okienko i powiedział: Michaś, Hitler dupa. Mama zakaszlała żeby słowa zagłuszyć, ojciec zbladł jakby mu kto mąki do krwi nasypał i zaśmiał się jakby był niespełna rozumu Kołodziejska, która stała między nami z córką Krychą i drugą córką zyzowatą Haliną, mało się nie zerwie, biegnie na górkę obsztorcować Kołodziejskiego.

Teraz kiedy ucichło mama powiedziała: Nie mamy chleba. Ojciec ubrał się i poszedł do Pankowskiego. Pankowski jest piekarzem. Od niego mamy chleb a czasami trafia się i bułka, którą mama dzieli jak tortowe ciastko.

Po godzinie ojciec w drzwiach. Szczypta soli i przerażenie. Płótno. Położył bochenek na stole, nie zdejmuje płaszcza, usiadł. Mama się przeraziła i myśmy się przerazili bo ojciec nic nie mówi tylko patrzy, ręka na stole drży jak zziębnięte zagonione zwierzątko, wreszcie rozchyla wargi: Na Złotym Rogu Niemcy [illegible] Polaków, stawiają pod mur i zamiast powiedzieć co Niemcy robią z Polakami zrobił ruch, który ma znaczyć to co chciał powiedzieć. Daj wody. Mama nie podała ojcu wody, nalała kawy. Ojciec odstawił garnuszek, teraz podniósł i znów odstawił. Wypij, powiedziała mama. To ci dobrze zrobi. Ojciec pije kawę. Widać: powolutku wchodzi w ojca krew. Ręce przestała drżeć. Leży na stole, jakby zwierzątko zdechło. Ojciec mówi powoli, między słowami łyka powietrze jak chory na astmę: Pankowski radził, żebym nie szedł, ale jak mogłem nie iść, ty sama z dzieciakami, wziąłem chleb i wyszedłem, na Złotym Rogu stoją w białych pelerynach, przed białymi pelerynami ludzie podnoszą ręce, zobaczył mnie Olejniczak, zawołał: Michał Michał Michał... Ojciec wymówił swoje imię trzy razy i zamilkł. Podniósł do ust garnuszek, wypił co było na dnie, Teraz już się nie dusi, nie robi przerw między słowami. Mówi prędzej, ale tak jakby kamień ranił język. Zaparłem się Olejniczaka i też kazali mi podnieść ręce. Pomyślałem, podniosę ręce, chleb mi wypadnie. Jedna biała peleryna już do mnie podchodziła, sam nie wiem [illegible] od mi się to wzięło, jak ta biała peleryna, ta śmierć była już blisko: „Ich bin Deutsch". Zaświeciła latarka. Chociaż oślepiony zobaczyłem ruch ręki, nie, wyczułem ruch ręki, był krótki i ostry. Zrozumiałem, mogę odejść. Odwracam się jakby nigdy nic i wolno zaczynam iść. Nie odszedłem daleko, najwyżej pięć kroków zrobiłem, tak. I kroków zrobiłem i za sobą, za plecami usłyszałem: Rozstrzelać. Ktoś z tej gromady z podniesionymi rękami płacze. Jak dziecko płacze. Słyszę, upadają na śnieg: Jezu mamo aaaaa idę wolno nie mnie to nie obchodzi, słyszę strzały Jezu mamo aaaa i się nie odwracam, bo nie mnie to przecież nie obchodzi. Przed domem czuję: chleb w moich rękach mokry.

Wkoło domu panzerfausty. Oparte o mur głowniami w dół. Pralnia otwarta. Pierzyna na łóżku pożgana bagnetami.

Z pralnią to było tak. Dobrze już w nocy dom drżał jak piórko. Huk i ogień leciał nad naszym domem i spadał tuż, tuż, lecz na szczęście zawsze ciut dalej. Wreszcie mama powiedziała: Idziemy do pralni. Była to taka górka z kominem opatulona ziemią, w lecie osłoniona jabłkami, zimą pierwszorzędnie zjeżdżało się z niej na sankach. Teraz miał to być nasz schron. Kołodziejski z ojcem wstawili do schronu łóżko, mama zaniosła pierzynę, wszystko urządziła na wypadek większego niebezpieczeństwa. Kołodziejski od razu powiedział: on się z domu nie ruszy, zresztą robota czeka, w dupie ma śmierć i Niemców.

Kanonada przeszła. Niebo jak świeżutki fiolek. Pod takim niebem biegniemy do domu. Pochód zamyka ojciec. Ledwo drzwi zamknął usłyszeliśmy niemieckie głosy. Biegną przez podwórko. Kołodziejski nic nie mówi, łaczek trzyma na kolanie, igłę zgiętą popycha, patrzy spode łba a patrzy jakby mówił: No i kto miał rację mądrale.

Dopiero rankiem ujrzeliśmy, mogła być tragedia: pierzyna pożgana bagnetem z taką wściekłością, że mama zmartwiała: Skąd ja wezmę taką powłokę, jeszcze z Mirosławic ją miałam od mamy, żeby ich jasny grom spalił.

Wpadł na podwórko Leonard od Kotlarków: Chodźcie zobaczyć Rusków. Tańczą na rynku. Rzeczywiście coś gra w tamtej stronie. Biegniemy przez Park Kasprowicza po chrupkim śniegu, Jerzyk biegnie, Krycha ruda biegnie i ja biegnę na końcu. Za nami pomalutku jakby z niedowierzaniem mama z ojcem, a na samym końcu Kołodziejski z łaczkiem w ręce.

W tym mieszkaniu zostały tylko dwie stare Niemki. Kiedy ojciec powiedział: Teraz my będziemy tu mieszkać, wysoka, koścista Niemka z podgardlem zaczęła krzyczeć: Precz stąd polskie świnie, to mój dom. Wróci Zygfryd, pożałujecie. Drze się jak stare gacie na plecie, mięso pod brodą zrobiło się czerwone jak kokarda, wreszcie z tej złości i nienawiści, która z niej ziała, upadła na podłogę wyjąc jakby ją kto zarzynał albo pasy z niej darł.

Nazywa się ta Niemka Hanke. Jej syn Zygfryd to był postrach Miasteczka. Jeździł na rowerze. A za Zygfrydem biegł wilk, bestia wypasiona, wieprz z zębami jak igły. Ludzie bali się Zygfryda i jego wilka bardziej niż ognia albo tyfusu.

Ojciec pochylił się nad Hanke, podniósł ją z podłogi. Pani Hanke, ja pani z mieszkania nie wyrzucam, ale od dzisiaj dwa pokoje i kuchnia są nasze. Siostrze i pani starczy pokój. Zabierzecie swoje łachy i wynocha. Mebli nie ruszajcie, zapłacę za nie w Urzędzie. Jakby dopiero teraz do Hanke doszło: wszystko stracone. Otworzyła szafę, zdejmuje z bigli suknie, z szuflady wyjmuje pudełka troskliwie przewiązane barwną tasiemką. Ojciec niczego nie tknął, dopiero gdy ze ściany zdjęła święty obrazek, podszedł i wyjął obrazek z jej rąk. Ruska ikona, powiedział. Hanke dopadła do ojca i chce wyrwać mu obrazek, lecz ruski żołnierz co był z nami przytrzymał jej suchy pazur.

— Skąd macie tę ikonę?

— To ikona niemiecka.

— Naród niemiecki nie ma ikon.

— To ikona niemiecka! Krzyczy Hanke aż kokarda pod brodą zrobiła się bordowa jak burak.

— Kłamiesz wiedźmo. To twój synek przywiózł ci ją z Rosji. Z cerkwi ukradł. Albo ze ściany zdjął, dom spalił, potem zabił wszystkich. Może i moją matkę zabił. Takie wy macie pamiątki. Sukinsyny. Mordercy. Splunął niemrze pod nogi i żeby czego gorszego nie zrobić, wybiegł.

Minął dzień, jeszcze noc. Już myśleliśmy: nigdy nie zobaczymy ruskiego żołnierza. I wtedy gdyśmy tak myśleli, przyszedł. Wszedł do izby w białym półkożuszku i ruchem takim jak brat Rysiek wyjmuje zza koszuli gołębia, wyjął ikonę. Chuchnął w szybkę i przetarł ją łokciem. Patrzy na nas święta postać, Mnie się zdaje: święta postać jest podobna do Kołodziejskiego co robi łaczki. On również ma twarz chudą jak gnat. Lecz zaraz przeraziłem się tej myśli. Przecież o Kołodziejskim mama mówi, pijaczyna, więc takie porównanie jest śmiertelnym grzechem i dobrze się stało, że się tej myśli przeraziłem, bo teraz jest tak jakbym nigdy w sobie nie miał. I zaraz myśl o człowieku mniej grzesznym. O kuzynie Józefie z Mirosławic. Chociaż i on jest grzesznikiem, ale nie tak wielkim jak rzemieślnik Kołodziejski. Józef ma także takie oczy kasztany jak święty. Twarz wąską jak lilia lub badyl słonecznika.

Grzech o którym napomknąłem był taki. Kuzyn Józef uciekł z domu by wędrować po świecie z cyrkiem. Ten cyrk przyjechał razu jednego do Miasteczka. Zawitał wiosną. Słup na rynku zakwitł afiszami:

CYRK BRACI EUGENIUSZÓW
TRESURY GENIUSZÓW!!!

Cały dzień jechały budy. Małpy wisiały na żelaznych prętach i pluły na ludzi. Szczerzyły przez długie ostre zęby. Tylko jedna małpa była grzeczna, trzymała swoje małe dziecko na kolanach, dmuchała mu w główkę i wybierała z sierści pchły, nim taką pchłę zjadła, patrzyła co to za kąsek. Cyrk rozbijał się pod murami Gazowni Miejskiej. Budy wyrastały przez jedną noc, jak grzyby po deszczu. Mama mówiła, że kuzyn odgrywa w tym cyrku małpę, ale to nieprawda, bo Józef stał przy wejściu do cyrkowego namiotu w czerwonym uniformie ozdobionym dwoma rzędami ogromnych złotych guzików i przedzierał bilety. Podczas występów wypuszczał z klatek lwy o grzywach jak ogień. Małpy bardzo kochały kuzyna Józefa, siadały mu na głowie, a zupełnie małe wchodziły mu do kieszeni. Skoro tak było, że nawet małpy darzyły kuzyna Józefa miłością, to grzech mój nie jest wielki i mogę ujrzeć w nim świętą postać, co też uczyniłem.

Święty ma na sobie sukienkę z blachy. Cieniutka jest ta sukienka, jak wiatr albo płatek wiśienki. Na brzegach sukni szczerozłotą nitką wyszyte kwiaty nie większe od ziarenka pszenicy. Głowa w zorzy. Promienie też są zrobione z blachy, cieńsze chyba niż płatek wiśni i lipcowy wiatr. Gdzieniegdzie dłuższe jakby słońce w borze przedzierało się przez gęste korony dębów.

Tak mi przez głowę przeszło, gdy ruski żołnierz podchodził z obrazkiem do ściany. Nie powiedział słowa tylko przystąpił do gwoździa i powiesił na nim ikonę. A mnie zdało się, że od promieni bijących wokół głowy świętego pojaśniało w izbie. Dopiero kiedy spojrzałem w okno, zobaczyłem: słońce rozłamuje chmurę tak jak ręce rozłamują chleb lub jabłko. Żołnierz podszedł do rodziców. Objął matkę, ucałował ojca, zarzucił broń na ramię i wyszedł. Tego samego dnia powiedzieli: wyjechał na front.

A te stare dwie Niemki to długo z nami nie mieszkały. Zostały przez władze Miasteczka przewiezione do budynku z czerwonej cegły skąd miały być wywiezione transportem do Niemiec. Budynek stał w Sołankach nad Stawkiem. Lato tego roku było piekłem. Żar lał się z nieba. Słońce paliło zieleń. Woda w Stawku wyschła. Tym bardziej krwawa czerwień cegieł odbijała od spękanego mułu i białej trzciny. Powietrze stało jak posąg. W rurach kanalizacji miejskiej zamiast wody buchał ogień. Po ulicach miasteczka biegały wściekłe szczury, ogromne jak siwe głowy starców. Ludzie chowali wodę jak drogie lekarstwo. Uciekali, kryli się przed zarazą, ale ona ich dopadła. Ugryzła zębami szczura. Na cmentarz wieziono proste trumny z surowego drewna. Nie było czasu na zbijanie krzyży. Grabarze padali ze zmęczenia. Wybuchł tyfus. W domu nad Stawkiem pierwsza umarła Hanke. Stała w oknie. Nie żyła już i stała w oknie. Czekała na syna Zygfryda, na tego antychrysta i jego wilka. Wierzyła: wróci i da nauczkę polskim świniom. Jeszcze nim umarła, widziałem ją raz w tym oknie. Mamie zrobiło się żal tych dwóch starych Niemek i wysłała mnie żebym zaniósł Hanke i jej siostrze bochenek chleba i w garnuszku trochę smalcu. Przyszedłem pod dom z czerwonej cegły. W oknie Hanke. Podgardle kiedyś czerwone jak u indyczki, zsiniałe, wysoki kok postrzępiony w kosmyki i kołtuny, podnosi rękę do głowy, orze skórę paznokciami. Gdy mnie zobaczyła chciałem uciec, ale nie zdążyłem: trzyma mnie oczami pełnymi nienawiści. Upuściłem chleb i garnuszek. Biegnę przez krzaki kwaśnych listków. Kolczaste witki tną mnie po twarzy. Przecinają skórę. Ranią. Wpadłem do domu. Skuliłem się w kącie za szafą i zapłakałem. W nocy zrywają mnie ze snu trupie oczy Hanke. Nie widzę głowy ani skóry, czaszki choćby, tylko te nieruchome, białe larwy patrzą na mnie. Oczy Hanke ukazują mi się w lustrze, kwiaty na tapecie są jej oczami, wiją się jak robaki przygniatane patykiem. Znikają dopiero wtedy gdy zaczynam krzyczeć. Budzę się mokry, biały jak kreda. Mama siedzi przy mnie na łóżku do późna, kiedy wychodzi zostawia zapalone światło, zapadam w płytki poranny sen.

Doszło do tego: znienawidziłem nasze nowe mieszkanie. Tęsknię za małą izbą pod schodami. Jasny kwadrat niemieckiej izby jest czymś gorszym niż diabeł.

Przychodzi dzień. Zmory odchodzą. Biegam z rodzeństwem po widnych izbach, fikam koziołki na bieleńkim jak śnieg parkiecie, zbiegam na dwór ze schodów lśniących jak kryształ, chwalę się przed kolegami: a my mamy dwa pokoje z kuchnią i osiem weneckich okien.

Pachnie akacja pod oknem. Przez dwadzieścia parę lat wyrosła na spore drzewo. Kwiaty dotykają szyby. Mama lubi akacjowy kwiat. Co roku łamie gałąź i wkłada do wazoników przed którymi stoją Gęślarz i Gęślarka. Wazoniki stawia na półce przed ikoną. W izbie są inne święte obrazy, lecz mamą nie modli się do tych obrazów tylko przed ikoną odmawia codzienną modlitwę. A tym którzy pytają, co to za święty obrazek, odpowiada: to jest ikona ruska, sprawiedliwa.

## MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ

# PARTYZANCI

Młodzi,
dorodni,
silni,
na przedpolu pełni życia ——
a szli w śmierć.

Nie przymuszani,
nie werbowani,
nie opłacani ——
a szli w śmierć.

Ostrzegała ich
historia minionego wieku,
tragiczne przekazy rodzinne
o ojcach żołnierzach-tułaczach,
o dziadach powstańcach-zesłanych,
ostrzegały mogiły Września ——
a szli w śmierć.

Odcinali krępujące ich więzy:
warkocze dziewcząt,
siwe nitki matczynych włosów,
wyprute żyły ojców
i —— uciekali z rodzinnych gniazd
w śnieżne lasy,
w bagniste lasy,
w zielone lasy ——
w śmierć.
I tylko karabin...

Nie była to zabawa,
legenda, czy bajka,
bo oto są:
pod darniną,
pod kamieniami,
na dnie rzek,
w lasach,
w polu,
na rozstajnych drogach ——
imienni
i bezimienni.

I mają zawsze po dwadzieścia lat,
będą mieć zawsze po dwadzieścia lat
na płytach grobowych,
na fotografiach,
w pamięci matek
i w partyzanckiej pieśni.

To nie jest legenda,
ani bajka ——
bo oto idą:
żywi,
piękni,
młodzi,
czwórkami w kompaniach,
w batalionach,
na lądzie, w powietrzu, na morzu ——
dwudziestoletni synowie
Niepodległej.

## IGOR SIKIRYCKI

# BALLADA o śpiewającym ŻOŁNIERZU

Kroczył do boju za pułkiem pułk.
Dudnił głucho po polach.
Pył pióropuszem pryskał spod kół
Po pas, po pierś, od kolan.

Pluli żołnierze na własny los,
Na piach, na ciasne buty.
I nagle jeden zanucił. W głos
Śpiewał już cały pluton.

Wiła się, rosła, żołnierska pieśń,
Wyżej niż pniaki topó! —
Lżej było wtedy piechurom nieść
Troski i krople potu.

Błyski bagnetów zmierzch dawno skrył,
Ciężki jak mostu przęsło,
A pod nim żołnierz resztkami sił
Śpiewał pułkom — Zwycięstwo!

1945 rok

## BERNARD SZTAJNERT

# WOJNA

Ciemność oświetla światło głowy konia
Czas połamany i przestrzeń pokorna
Wierność dla plamy dla trójkątu mroku
A tyle nocy że sople dnia w oku
Topnieją w oczach i dnia tylko tyle
Ile światłości w śmierci końskiej głowy
Ten koń człowiekiem jest już do połowy
Ja każdej nocy widzę wojnę
To dowód na mnie wydobyty z ruin
A ja poświadczam innych swym istnieniem
Jak ziemia — nawet kiedy gryzą ziemię.

# ŚWIAT • POLITYKA • WYDARZENIA • KOMENTARZE

# ZŁOTY PIASEK NAD YUBA-RIVER

**„Złoto! Złoto, chłopcy! Znalazłem złoto!"... Ten okrzyk, podobnie jak sto lat temu, znów leci przez rozległe doliny Górnej Kalifornii, przez skalne szczeliny, odbija się niby echem to na jednym, to na drugim brzegu Yuba i American, dwóch rzek, które po przekątnej przecinają ogromne terytorium Maser Wood, gdzie w 1849 roku szalała gorączka złota.**

Od czasu, gdy wartość tego kruszcu podskoczyła do niewiarygodnej ceny 120 dolarów za uncję, rozległe tereny Maser Wood stały się widownią scen żywo przypominających filmy z Dzikiego Zachodu. Ludzie porzucają pracę w fabrykach, opuszczają ławy szkolne i domy starców, i z uporem przetrząsają każdy skrawek ziemi nad brzegami rzek. Znów studiują stare mapy, wygrzebane z zakamarków strychów i poddaszy, penetrują porzucone kopalnie. I nie tylko w Kalifornii. Od Alaski, aż po Nowy Meksyk wszędzie to samo: nieprzytomna pogoń za złotem...

Akcje „Homstack Mining Company", jedynej kopalni złota w południowej Dakocie, która nie została zamknięta, a istnieje już 97 lat, podniosły się od stycznia br. z 21 do 49 dolarów. W Leed, małej mieścinie w Czarnych Górach, niedaleko kopalni, ludzie oddychają powietrzem „boomu". Niedawno jakiś Amerykanin, otworzył tu nawet nocny lokal i czeka na awanturników ze złotym piaskiem.

Ale pozostawmy przemysłowe wydobycie złota i związane z nim międzynarodowe problemy ekonomiczne. Powróćmy do Maser Wood, gdzie współczesnych poszukiwaczy złota można już liczyć na dziesiątki tysięcy.

— Przez kilka dni — opowiada specjalny korespondent mediolańskiego „Europeo", Duilio Pallottelli — przebywałem w towarzystwie tych pionierów, szperających po dolinach pieszo i na grzbietach Romantycznego poszukiwacza złota, który niegdyś wspinał się w górę rzeki, wiodąc objuczonego muła — dziś już nie ma. Teraz spotyka się uzbrojone watahy, bardziej podobne do atakującej piechoty morskiej, niż do pionierów z minionego stulecia. Nie różni ich tylko jedno: obsesja złota. Amerykanie, prawdę mówiąc, mało się zmienili pod tym względem. Są i dziś podobni do tych, którzy parli w te strony sto lat temu. Prawdziwie już tylko nieliczni pracują ręcznie. Powolne przesiewanie piasku na żelaznych patelniach pasuje raczej do harcerzy i starszych pań. Kto poważnie szuka złota, posługuje się co najmniej pompą wodną.

W miarę, jak gorączka złota osiąga swoje apogeum, rodzą się bajeczne legendy, koszmarne historie, pogłoski o cudownym bogactwie i krwawych przestępstwach.

Przezroczysta Yuba-River, kręto płynie wśród skał, wiatr hula w szczelinach gór, las pełen przedziwnych odgłosów. Legendy i rzeczywistość, zmyślenia i bohaterowie naszych dni.

Odnotowałem kilka historii o poszukiwaczach złota anno 1973.

Niedaleko od Downville zahaczyłem o maleńką wioskę i teraz musiałem przeciąć chyba z kilometr by odnaleźć mego jeepa. Ścieżka była dość stroma, szedłem więc bez trudu, rozkoszując oczy bajeczną panoramą doliny. Przez gęste poszycie lasu raz po raz przebłyskiwała woda.

Ogarniając wzrokiem wierzchołki gór, ujrzałem nagle dziewczynę, siedzącą na kamieniu, kilka metrów ode mnie. Widziała mnie z pewnością przez cały czas, kiedy szedłem pod górę. Była młoda, długie czarne włosy spływały jej na plecy, piękne, skośno osadzone oczy lustrowały mnie uważnie. Była boso, dużą, czerwoną torbę trzymała w ręku.

— Widziałam jeepa — powiedziała, gdy podszedłem bliżej — i postanowiłam zaczekać. Nie jest pan przypadkiem z Downville?

— Zgadza się.

— W Downville — wyjaśniła — muszę się spotkać ze znajomym, choć nie wiem na pewno, czy tam jest. Ale jeśli będę musiała spędzić noc sama, to wolałabym to zrobić we wsi, niż tutaj. To dziwne, ale wciąż spotykam niebezpiecznych włóczęgów, którzy poszukują złota. Przyjechałam tu w styczniu.

Nie miałem chęci wyjaśniać dziewczynie, kim jestem i co tutaj porabiam. Postanowiłem nic nie mówić i poczekać, co powie ona.

— Jesteś chyba Meksykańczykiem — rzekła dziewczyna. — Źle zrobiłeś opuszczając swój kraj, nie zawracaj sobie głowy tym złotem. To się wkrótce skończy. Wcześniej czy później zjawi się tu policja i każe wszystkim wracać do domów. Do przyjazdu tutaj nakłonił mnie Mark Roberts. Przez cały czas byliśmy razem, ale go zabili. Nie bym mi specjalnie przykro z powodu jego śmierci. Ale najadłam się strachu. Policja odnalazła jego ciało w Grace Well, w kanale. Miał poderżnięte gardło. Słyszałam, że zabili go dla czterdziestu dolarów. Czterdzieści monet za życie człowieka! Nie masz pojęcia, co to za hołota ci poszukiwacze. Gwiżdże teraz na bogactwo. Uciekłam od ojca i matki, teraz jestem tak zgnębiona, że nie wiem, co robić. Nie wiem — pozostać tutaj, czy wyjechać?

— Co robią twoi rodzice?

— Pochodzę z Los Angeles. Mój ojciec jest bardzo zamożny, matka jest Japonką. Pobrali się wkrótce po zakończeniu wojny w Korei. Korea... wiesz, niedaleko od Wietnamu... Teraz wszyscy są opętani gorączką złota. Awantury i mordobicia na każdym kroku. Kto znalazł dobrą działkę nad brzegiem rzeki, nie chce stamtąd odejść, tam nawet sypia, żeby ktoś nie zajął jego miejsca. Ludzie pracują zazwyczaj małymi grupkami, po trzech — czterech i na noc wystawiają uzbrojone warty. Każdy wykonuje jakąś określoną czynność. Nasza grupka rozpadła się. Każdy poszedł w swoją drogę.

— Ile masz lat?

— Dziewiętnaście, to znaczy prawie dziewiętnaście...

Kiedy znaleźliśmy się przy pierwszych domach Downville dziewczyna dostrzegła kryty wóz konny, stojący pod koroną rozłożystego drzewa i zaczęła szaleć z radości. Przyhamowałem, ale ona już wyskoczyła z jeepa i ostatnie, co udało mi się zobaczyć, to bujna strzecha czarnych włosów i czerwona torba przerzucona przez ramię. Reszta zniknęła w objęciach jakiegoś draba z czarną brodą, prawie nagiego, w wielkim sombrero na głowie. Był to z pewnością jej nowy znajomy.

...Jim Palmer miał nieduży sklepik w Paolo-Alto i obecnie jest na rencie. Zarówno jego żona Serena, jak i on siedem lat temu osiągnęli wiek emerytalny.

— Siedem lat temu nie było tu żywej duszy — opowiada Serena. W powietrzu nie czuło się dzisiejszego szału i spędziliśmy tygodnie nie widząc nikogo. Teraz pod każdym kamieniem siedzi „geolog". W większości są to ludzie, którzy szukają lekkiego chleba, często skończone kanalie, gotowe na wszystko, byleby tylko bez trudu zdobyć kilka dolarów. Rozpleniło się tutaj takie draństwo, że w każdej chwili można się spodziewać jakiegoś nieszczęścia.

W przeciwieństwie do żony, Palmer jest miękki, nawet nieco leniwy i wolałby spokojnie odpoczywać na emeryturze, niż szukać złota.

— Ale Serena dostała bzika — opowiada Jim Palmer — skręcając przewody pompy, przy pomocy której małżonkowie przemywają piasek, czerpany z dna rzeki. Opanowała ją gorączka złota. Chce mieć tylko złoto, złoto, złoto!...

Dobra, dobra, mój miły — rozlega się głos Sereny i widzą ją, jak naciąga kombinezon i maskę płetwonurka, przygotowując się do penetrowania zakrętów rzeki w nadziei znalezienia kawałków samorodnego złota. Jim włącza pompę i kieruje przelotne spojrzenie na zachodzące słońce. Oczy ma wilgotne i bardzo smutne...

W tych rejonach Kalifornii znajdowano w minionym stuleciu bryłki samorodnego złota wielkości kartofla. W kalifornijskim muzeum geologicznym znajdują się takie egzemplarze wartości wielu tysięcy dolarów. Dziś, kiedy chodzi o jak najszybsze znalezienie całej reszty złota, którego nie zdołali odkryć pionierzy z połowy XIX stulecia, używa się pomp, wysysających piasek z dna rzeki niczym gigantyczne odkurzacze. Później wypełnia się nim specjalne naczynia, a jeszcze później, po wielu długotrwałych zabiegach otwierają ją ci pożal się Boże XX-wieczni „pionierzy" z biciem serca i nabożnym skupieniem...

Przez osiem bitych godzin nieprzerwanej pracy w obozie Jima Wockera i Jima Chapmana obserwowałem, jak szukali oni złota. Wocker i Chapman, pierwszy jest mechanikiem, a drugi stolarzem, obaj z Sacramento, porzucili pracę w mieście i wraz z żonami postanowili szukać szczęścia.

— W każdym razie tego lata szukamy złota — mówi Chapman. — Za tę pompę, a jest najmocniejsza, jakie widziałem w tych stronach, zapłaciliśmy 1500 dolarów. I jeszcze trzy tysiące poszły na używany jeep, śpiwory, namioty i zapasy żywności. Dojdzie jeszcze ze dwa tysiące na paliwo i inne potrzeby...

Gorączka złota... Być może któryś z tych ludzi, napotkanych podczas mojej reporterskiej podróży, zdobędzie majątek, ale cała reszta powróci z niczym, a część z pewnością znajdzie się za kratkami. Ponieważ, jak powiedział mi Chapman: „Nie ma nic ważniejszego ponad złoto, dla złota można nawet zabić"...

**J. CZECH**

## JUNTA „RZĄDZI"

Z każdym dniem staje się coraz bardziej oczywiste, iż krwawy pucz w Chile wyzwolił siły skrajnie prawicowe. W całym kraju, zarówno w wielkich jak i małych miastach, każdy człowiek, bez różnicy płci, który kiedykolwiek i gdziekolwiek wyraził poparcie, czy choćby tylko sympatię dla postępowych idei społecznych jest przedmiotem napaści i represji. Dla wielu Chilijczyków jest to jednoznaczne ze stanięciem przed lufami karabinów, lub osadzeniem w obozie koncentracyjnym na stadionie „Nacional", przekształconym w obóz koncentracyjny, albo wtrąceniem do więzienia na statku „Lebu", albo zesłaniem na wyspę Dawson czy do obozu karnego w Pisagua. A w biedniackich dzielnicach miast i na wsiach wymiar „sprawiedliwości" jest jeszcze bardziej uproszczony: „podejrzanych" po prostu zabija się.

## ANGLIA — ChRL

„Anglia i Chiny znajdują się na drodze do rozszerzenia stosunków handlowych" — pisze londyński „Daily Express". Chińczycy rozpatrują obecnie sprawę dodatkowego zamówienia na 30 samolotów brytyjskich typu „Trident". Zamówienie to byłoby uzupełnieniem wcześniejszej umowy na 20 samolotów tego typu, która została już podpisana i zatwierdzona przez rząd. Zamówienie to opiewa na 100 mln funtów szterlingów i obejmuje także dostawę części zamiennych do tych samolotów na sumę 63 mln f. s. W ten sposób partnerzy obu krajów chcą praktycznie zademonstrować rosnące zbliżenie anglochińskie.

## KANAŁ SUESKI

W Hamburgu, przedstawiciel jednej z firm specjalizujących się w wydobywaniu wraków powiedział, że jego firma rozpoczęła Kairze rozmowy w sprawie uzyskania koncesji na oczyszczenie Kanału Sueskiego z zatopionych statków. Firma ta — Ulrich Harms GMBH — działająca w kooperacji z jugosłowiańskim przedsiębiorstwem Brodospas uważa, iż 14 wraków, blokujących Kanał można by usunąć koszter. 24 milionów marek.

## STRAUSS ZNÓW NA WIDOWNI

Polityczny sejsmograf zarejestrował ostatnio nowy wybuch walki wokół tzw. „wschodniej polityki" rządu NRF. Stało się jasne, iż opóźniające manewry z podpisaniem porozumienia między NRF i Czechosłowacją, co jest następstwem pretendowania Bonn do praw bynajmniej nie wynikających z czterostronnego porozumienia w sprawie Berlina zachodniego, były na rękę wyłącznie siłom prawicowym. Po hałaśliwym ogłoszeniu „swego zwycięstwa nad polityką wschodnią", opozycyjny blok CDU-CSU zwiększył nacisk na koalicję rządzącą, próbując blokować dalszą normalizację stosunków NRF z krajami socjalistycznymi. Przy okazji Strauss oświadczył, że on i jego stronnicy wystąpią także przeciwko ratyfikacji przez Bundestag porozumienia o nierozprzestrzenianiu broni nuklearnej.

## WOKÓŁ SPRAWY WATERGATE

Senacka komisja do spraw Watergate zwróciła się do sądu apelacyjnego o zmianę orzeczenia, oddalającego wniosek komisji o udostępnienie jej taśm z nagraniami rozmów przeprowadzonych w Białym Domu na temat afery Watergate. Prezydent Nixon wyraził zgodę na zastosowanie się do orzeczenia sądu apelacyjnego, który nakazał udostępnić nagrania z Białego Domu sędziemu federalnemu.

## W TURCJI PO WYBORACH

Po ostatnich wyborach w Turcji, pierwszą partią w Zgromadzeniu Narodowym jest obecnie Partia Ludowo-Demokratyczna, określana, jako będąca na lewo od centrum. Na drugim miejscu znalazła się Partia Sprawiedliwości, która pozostaje na prawo od centrum i uprzednio była partią rządzącą. W nowym układzie sił politycznych, w zgromadzeniu tureckim będzie działać 7 partii. Warto wspomnieć, że najsilniejsza obecnie Partia Ludowo-Demokratyczna jest najstarszą partią Turcji, założoną w 1923 roku przez Ataturka. (c)

# *ZE ŚWIATA*

## POKÓJ, OPARTY NA RÓWNOWADZE BEZPIECZEŃSTWA I ZAUFANIA

**ŚWIATOWY KONGRES SIŁ POKOJU W MOSKWIE** zgromadził najbardziej reprezentatywne grono ruchu obrońców pokoju na naszej planecie. Przybyło delegacji więcej niż oczekiwano: ze 144 krajów, 3.200 delegatów reprezentowało ponadto 117 międzynarodowych i narodowych organizacji, 9 komitetów i komisji ONZ oraz 1.100 partii, ugrupowań i stowarzyszeń.

W toku obrad Kongresu obszerne przemówienie wygłosił sekretarz generalny KC KPZR — Leonid Breżniew. Skupiło ono uwagę świata i w chwili, kiedy przygotowujemy komentarz do druku, jest żywo komentowane przez całą prasę. Jest w nim bowiem zawarty program walki o pełne zwycięstwo pokoju.

Sekretarz generalny KC KPZR zabrał głos w chwili, gdy w życiu międzynarodowym zachodzą ważne procesy. Zlikwidowano wiele ognisk wojennych, podjęto pierwsze kroki w kierunku ograniczenia wyścigu zbrojeń, przyjęto wiele doniosłych międzynarodowych aktów prawnych stale podejmowane są konsultacje polityczne między państwami o różnych ustrojach. To wszystko przyniosło generalne odprężenie. Ale pokój nie zatryumfował jeszcze na całym świecie. Nie wszędzie położono kres wojnom i ostrym, niebezpiecznym kryzysom. Jeszcze nie wszystkie narody mogą czuć się bezpieczne.

Zapalnym ogniskiem jest wciąż **BLISKI WSCHÓD.** Po raz czwarty doszło tam do wojny. Wprawdzie w wyniku przyjętej przez Radę Bezpieczeństwa wspólnej rezolucji radziecko-amerykańskiej przerwano działania wojenne, ale potem znów zostały one wznowione i Rada Bezpieczeństwa raz jeszcze musiała wkraczać w sytuację bliskowschodnią, podejmując decyzję o utworzeniu nadzwyczajnych sił zbrojnych ONZ i wysłaniu ich w rejon działań wojennych.

Problemowi bliskowschodniemu Leonid Breżniew poświęcił w swym przemówieniu wiele miejsca. Przypomniał on, że przyczyną nowej eksplozji jest zagarnięcie przez Izrael ziem arabskich i uporczywa odmowa liczenia się ze słusznymi prawami narodów arabskich. Związek Radziecki wielokrotnie przestrzegał, że grozi to nowym wybuchem, ale przestrogi nie zreflektowały Izraela i tych sił świata kapitalistycznego, które przeciwdziałają odprężeniu.

Od chwili wznowienia działań wojennych ZSRR utrzymuje ścisły kontakt z zaprzyjaźnionymi krajami arabskimi i podejmował różne inicjatywy, aby przerwać walkę. Ostatnio prezydent Egiptu Sadat zwrócił się do Związku Radzieckiego i Stanów Zjednoczonych z prośbą o wysłanie do rejonu działań wojennych swoich przedstawicieli, którzy nadzorowaliby wykonanie rezolucji Rady Bezpieczeństwa o zaprzestaniu ognia.

**„Wyraziliśmy gotowość zadośćuczynienia prośbie Egiptu** — stwierdził Leonid Breżniew — **i wysłaliśmy już takich przedstawicieli. Mamy nadzieję, że w podobny sposób postąpi również rząd USA. Równocześnie obmyślamy także inne możliwe środki, których podjęcia może wymagać sytuacja".**

Breżniew przypomniał następnie, że waga rezolucji Rady Bezpieczeństwa polega nie tylko na tym, iż wezwała ona do przerwania działań, ale także na tym, że przewiduje podjęcie ważnych kroków, zmierzających do usunięcia samych przyczyn wojny. Z jej ducha i litery wynika, że zainteresowane strony powinny szybko przystąpić — pod odpowiednim patronatem — do rozmów w celu ustanowienia trwałego i sprawiedliwego pokoju.

**„Stoimy zdecydowanie na stanowisku** — raz jeszcze zacytujmy Leonida Breżniewa — **że wszystkim powtarzam — wszystkim państwom i narodom Bliskiego Wschodu trzeba zapewnić pokój, bezpieczeństwo i nienaruszalność granic. Związek Radziecki jest gotów uczestniczyć w udzieleniu odpowiednich gwarancji".**

Nieco obszerniej zatrzymaliśmy się na bliskowschodniej części wystąpienia sekretarza generalnego KC KPZR, gdyż ten rejon świata obecnie najbardziej niepokoi.

Ale w przemówieniu tym dokonana została ocena sytuacji w także w innych rejonach świata.

**W EUROPIE** zadanie polega na tym, aby osiągnięte odprężenie przekształcić w trwałe zjawisko. Ten cel przyświeca Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, która obecnie znajduje się w niezbyt efektywnym, lecz ważnym stadium prac. Powinna ona stworzyć platformę pokojowej współpracy krajów. Jej decyzjom powinny towarzyszyć kroki w zakresie odprężenia militarnego. Tym właśnie doniosłym problemom poświęcone są rokowania w Wiedniu. Oczekujemy po nich że przyniosą redukcje lotnych i krajowych sił zbrojnych w uzgodnionym już rejonie Europy Środkowej redukcja, która nie naruszy ukształtowanego układu. Kiedy będzie można przystąpić do niej — powinno być ustalone w toku rokowań — Związek Radziecki — oznajmił L. Breżniew — byłby gotów do poczynienia takich realnych kroków już w 1975 roku.

**W AZJI** najważniejszym zadaniem jest utwalenie pokoju. Droga do tego prowadzi przez stopniowe rozwijanie wzajemnie korzystnych kontaktów oraz pokojowej współpracy na zasadach, proklamowanych jeszcze w Bandungu przez państwa azjatyckie. Tylko z chorobliwej podejrzliwości lub niechęci liczenia się z faktami może wynikać twierdzenie, że utworzenie i zagwarantowanie bezpieczeństwa w Azji mogłoby „godzić" w Chiny i „izolować" je. Obecna polityka Pekinu nie leży w interesie pokoju, ale możliwość jej zmiany zależy wyłącznie od samych przywódców Chin.

**„Wydaje się nam** — mówił Breżniew w innej części swego wystąpienia — **że proces ograniczenia i powstrzymani wyścigu zbrojeń, podobnie jak proces rozładowania napięcia, powinien rozpowszechniać się coraz szerzej i szerzej, ogarniać nowe państwa i regiony kuli ziemskiej".**

Pokój rozumiany po dawnemu, oparty na „równowadze strachu", dziś nie może już zadowolić nikogo. Dziś walka toczy się o pewny pokój, oparty na równowadze bezpieczeństwa i zaufania. Przemówienie sekretarza generalnego KC KPZR służy właśnie takiemu pokojowi i dlatego znalazło się w centrum zainteresowania.

**W. SŁAWSKI**

EX LIBRIS ODGŁOSÓW

## MŁODOŻENIEC

Stanisław Młodożeniec dawno już wart był tej pięknej księgi, jaką mu wreszcie w czternaście lat po śmierci wydała Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza. Ten chłopski poeta, który sztandar futuryzmu podniósł wysoko jako jeden z pierwszych, zawsze był jak gdyby rozdarty na dwie przylegające do siebie połowy. Jedni widzieli w nim tylko „czołowego chłopskiego poete" — inni tylko współtwórcę awangardy poetyckiej.

A przecież był Młodożeniec i jednym i drugim równocześnie. Jego ludowo-wiejski etap poetycki nie był na pewno rezygnacją z nowatorskich programów młodości, lecz twórczą konsekwencją. Przecież już w futurystycznych „Kreskach i futureskach" sięgał Młodożeniec do melodyki ludowej piosenki, eksploatował obrazy i nuty ze skarbnicy ludowej tradycji i wyobraźni.

Piękny, wnikliwy esej twórczości Stanisława Młodożeńca napisał Tomasz Burek, który ten ponad 500-stronicowy tom zebrał, opracował i opatrzył przypisami. Bardzo dobrze, że choć po śmierci doczekał się ten niecodzienny poeta tak pięknej księgi pamięci.

Stanisław Młodożeniec „Utwory poetyckie", Wyd. LSW, cena 75 zł.

## PŁOMIENNY DOM

Pierre Gamarra wiele napisał powieści, opowiadań, wierszy i książek dla dzieci. W Polsce przetłumaczono wszakże jego pierwszą, debiutancką powieść, za którą w roku 1948 otrzymał Prix International du roman Charles-Veillon. „Płomienny Dom" jest na poły autobiograficzną opowieścią o dzieciństwie. Temat więc stary i wyeksploatowany w literaturze.

A jednak prostota i bezpretensjonalność narracji sprawiły, że ów stary motyw zagrał w „Płomiennym Domu" nowymi tonami. Powieść utrzymywana jest w nastroju lirycznym i wzruszenie, jakiego doznaje autor poszukujący swego „kraju lat dziecinnych" często dominuje nad realizmem opisu — wciąga czytelnika w sferę wzruszeń i młodzieńczych fascynacji.

Potwierdza się znana prawda, że najlepsze są te książki, które eksploatują pokłady czułej pamięci, które są swego rodzaju wędrówką w lata najpiękniejsze, lata dzieciństwa. Powie ktoś, że to typowy „samograj literacki". Być może — a jednak tego rodzaju książki zawsze czytamy ze wzruszeniem. Może dlatego, że zostały ze wzruszeniem napisane?

Pierre Gamarra „Płomienny Dom", Wyd. PIW, cena 12 zł.

## DZIEŃ SKORPIONA

Wiele w tej książce egzotyki — sam teren akcji jest dla nas fascynujący — Indie. I temat jakby żywcem przeniesiony z innej epoki, choć rzecz się dzieje w latach czterdziestych naszego wieku. A tematem jest miłość dwojga ludzi z zupełnie różnych sfer — miłość Angielki i Hindusa, a to już dystans prawie taki jak Stefci Rudeckiej do ordynata Michorowskiego

„Dzień skorpiona" nie jest jednak tanim melodramatem. Powieść jest bowiem znakomicie narysowanym obrazem stosunków angielsko-hinduskich w ostatnich latach rządów brytyjskich w Indiach, ukazuje nastroje i wrzenia, które doprowadziły do pamiętnych wypadków i prowokacji ze strony policji w małym miasteczku Majapur.

Miłość przedstawiona na tym tle stosunków społecznych nie nosi więc znamion melodramatu, lecz urasta do wymiarów prawdziwej tragedii.

Paul Scott „Dzień skorpiona", Wyd. PIW, cena 40 zł.

## PROBLEMY KULTURY

Mówimy: „kultura" i każdy na swój sposób określa zakres tego pojęcia, każdy ma swój model kultury — patrzy na tę sferę ludzkiego życia i działalności. Dziś, kiedy ranga kultury nieustannie rośnie, warto — częściej niż kiedykolwiek — odwoływać się do historii narodowej kultury.

Interesującą książkę na ten temat napisał Andrzej Zieliński, który skoncentrował się na przemianach kultury narodowej w latach 1807—1831. „Początek wieku" to właśnie obraz formowania się kultury w stadium początkowym formowania się nowoczesnego narodu. A przecież — jak stwierdza autor — „udział w kształtowaniu narodu przynależy w znakomitej części twórcom kultury, którym zawdzięcza on swe idee przewodnie, swą literaturę, wszystkie wartościowe zdobycze, jakie posiada w swym dorobku".

Nieprzypadkowo zacytowałem to właśnie zdanie. Jest to oczywistość i prawda podstawowa, którą należy znać i respektować, tworząc każdą politykę kulturalną. Książkę Andrzeja Zielińskiego powinni przeczytać nie tylko miłośnicy historii i literatury — powinien ją znać każdy, kto ma ambicje współtworzenia i współdecydowania w sprawach narodowej kultury. Mądra, pouczająca książka, warta nie tylko lektury, ale i chwili refleksji nad nią.

Andrzej Zieliński „Początek wieku", Wyd. Łódzkie, cena 33 zł.

## O PIERWSZEJ, EKSCELENCJO...

O tym, że Arkadij Wasiliew pisze ciekawą książkę w oparciu o rewelacyjne archiwa radzieckiego wywiadu, wiedziałem już dawno. Wasiliew jest pisarzem mieszkającym w Iwanowie i wieść o tej książce przyszła do mnie od moich iwanowskich przyjaciół.

Początkowo musiała to być książka wyłącznie o zdrajcy Własowie, ale Wasiliew rozbudował ją. Jego bohater, pracownik radzieckiego wywiadu, zaczynał pracę w Czeka jeszcze pod rozkazami Dzierżyńskiego i nic dziwnego, że pisarz nie oparł się pokusie nakreślenia obrazów z pierwszych miesięcy i lat rewolucji. Fakt, że autorem jest iwanowski pisarz sprawił, że wielu bohaterów książki wywodzi się z Iwanowa, Kinieszmy, Szui — książka pełna jest realiów znajomych piszącemu te słowa. I stąd powieść ma dla mnie wiele osobistych akcentów.

Książka składa się z dwu części. Pierwsza mówi o pracy Czeka po rewolucji, druga mówi o działalności wywiadowcy Martynowa w sztabie tzw. Rosyjskiej Wyzwoleńczej Armii gen. Własowa. Obie części tej książki są pasjonujące, obie mówią wiele nowego o kulisach wywiadu. Bardzo dobrze, że „Książka i Wiedza" w tak stosunkowo szybkim czasie udostępniła tę ciekawą pozycję polskim czytelnikom. Warto zresztą dodać, że polski wydawca nie czekał na opublikowanie książki Wasiliewa, zaczęto ją bowiem przekładać na polski już wówczas, gdy ukazała się na łamach literackiego czasopisma „Roman-gazieta". To się nazywa operatywność!

J. WIL.

Arkadij Wasiliew „O pierwszej, ekscelencjo..." Wyd. „Książka i Wiedza", cena 50 zł.

### WARTO PRZECZYTAĆ

Jan Brzękowski — „Poezje", PIW, cena 25 zł.
Anna Kamieńska — „Poezje wybrane", Czytelnik, cena 30 zł.
Stanisław Dygat — „Pożegnania", Czytelnik, cena 13 zł.
Patrick Quentin — „Powrót na wyspy", Czytelnik, cena 20 zł.
Tadeusz Nowak — „Takie większe wesele", Wyd. Literackie, cena 18 zł.
Janusz Głowacki — „Paradis", PIW, cena 12 zł.
Lech Jęczmyk — „Kroki w nieznane", Iskry, cena 35 zł.

FILM

# CHŁOPIEC I SOKÓŁ

„Kes" to imię ptaka. W górniczej osadzie na północy Anglii żył 15-letni chłopiec, który wykradł z gniazda pustułkę, dzikiego ptaka z rodziny sokołów, którego pragnął oswoić i wytresować według najlepszej szkoły sokolników. Tego ptaka mu jednak zabito. W górniczej osadzie na północy Anglii żył 15-letni chłopiec, był dzikim dzieckiem z człowieczej rodziny. Chłopca tego chciano oswoić i wychować według najlepszej szkoły praktykowanej pedagogiki. Tego chłopca zabito również, choć wśród żywych pozostał. Taką historię opowiedział w swym filmie „KES" Kenneth Loach, angielski reżyser, kontynuujący znakomite tradycje angielskiego filmu społecznego.

Opowieści o przyjaźni ludzi i zwierząt stanowią jeden z najpiękniejszych, bo oczyszczających motywów literackich, będących, jak rzadko, powtórzeniem sytuacji rzeczywistych. Jednym z wariantów tych opowieści pozostaje poszukiwanie analogii między kondycją ludzką a życiem i prawami świata zwierząt. Tę wspólnotę losów dwóch dzikich stworzeń, którym wolność nie jest dana, Loach uczynił motywem przewodnim tego filmu, pozwalającym ujawnić wszystko to, co ową wolność zabija. W przypadku losów chłopca będzie to określony system społeczny, którego pochodną będą również stosowane metody pedagogiczne Mały Billy Casper jest jednocześnie ich tworem i ofiarą.

Mały człowiek, któremu przyszło dojrzeć zbyt szybko i który psychicznie procesu tego udźwignąć nie może. Dom rodzinny utracił swój odwieczny sens, nawet dla dziecka przestał być gwarancją opieki, dobra, czułości. Spotkanie ze złem i obojętnością świata zaczęło się w domu, szkoła, koledzy i nauczyciele stanowią spotęgowany w odczuciach dziecka obraz świata i życia w ogóle. By w systemie tym nie zginąć, trzeba wyrobić w sobie instynkt samozachowawczy. Billy jest uczniem pojętnym, szybko więc staje się tym, kim naprawdę nie jest. Umie pracować i kraść, bronić się i wymykać karzącej sprawiedliwości, którą reprezentują członkowie rodziny, silniejsi koledzy i nauczyciele. Terror fizyczny i terror psychiczny rządzą małym światem Billy Caspera.

Billy jest jednak indywidualnością, zachowuje więc dla siebie i w sobie to, co inni chcą w nim zabić. Dla siebie znalazł ptaka. Obraz tej przyjaźni pozbawiony jest jednak elementów dziecięcego sentymentalizmu. Jest to przyjaźń przerażająco dorosła. Billy zna jej wartość jako jedynego azylu w strasznym dla niego świecie. W sobie chłopiec zachował wartości, których sam nie rozpoznaje, a o których utracie mogą z rozpaczą myśleć widzowie, którzy ostatnią klęskę chłopca zobaczą. Billy ze swą brudną buzią, chudziutką, nędzną posturą, wyśmiewaną przez nauczycieli i kolegów, posiada godność człowieka wolnego, wolnego w sensie, jaki daje mu jego świat wewnętrzny.

Billy ośmieszony i poniżony na lekcji gimnastyki (jednej z najznakomitszych scen, jakie w kinie dane nam jest kiedykolwiek obejrzeć) to człowiek, jakiego świat chce z niego uczynić. Billy na lekcji, na której opowiada o swoim ptaku, to człowiek dumny, wrażliwy, broniący swej godności na przekór wszystkim. Kenneth Loach na zasadzie takiego kontrapunktu buduje całą swą opowieść ukazując nieprawdopodobnie wyostrzony, niemal dokumentalny zmysł rejestracji i artystycznej organizacji świata obiektywnego, w którym żyje jego mały bohater oraz niezwykłą wrażliwość w odkrywaniu istotnej prawdy ukrytej w małych chłopcu. David Bradley, który gra Billy'ego stworzył postać, jakiej w galerii dziecięcych bohaterów filmowych sztuka kina jeszcze nie odnotowała (konkurować z nim może wyłącznie mały bohater filmu „Dziecko wojny"). Ten chłopiec i jego reżyser zawarli w postaci Billy'ego wszystko, co o zaszczutym i broniącym się człowieczeństwie sztuka w ogóle powiedzieć może.

Kenneth Loach i producent jego filmu Tony Garnett założyli własną wytwórnię filmową, która należy do najambitniejszych placówek tego typu na Zachodzie. W niej zrealizowali „Kesa", deklarując publicznie, iż zrobili film, skierowany przeciwko stosunkom, panującym w angielskim szkolnictwie i stosowanym w nim metodom pedagogicznym. Jest to oczywista prawda, gdyż powstał film osadzony w realiach i pełniący określoną funkcję ich społecznej krytyki. Prawdą jest jednak i metaforyczny, wychodzący poza realistyczny obiektywizm społecznego sondażu i ocen, sens tego filmu. „Kes" jest wielkim filmem — krzykiem przeciw każdej formie terroru, jaką ludzie ludziom gotują, choć z pozoru jest tylko filmem o angielskiej szkole, dzieciach, ich strasznych rodzicach i nauczycielach, filmem o przyjaźni chłopca i sokoła.

Kenneth Loach, znany u nas z filmu „Czekając na życie", w „Kesie" pokazał nam kino niezwykłej rangi społecznej i moralnej oraz kino artystyczności, dla której rzadko zachowujemy słowo arcydzieło, w nim mieści się harmonia celów i środków. Loach zawarł w „Kesie" wszystko, co w kinie współczesnym jest ideałem doskonałości.

EWA NURCZYŃSKA

RADIO-TV

### Polemiki z profesorem

Prof. Bogdan Suchodolski opublikował w „Literaturze" artykuł „Polska rzeczywista i Polska radiowa". Bodźcem do napisania tego artykułu była choroba... Profesor przebywał w klinice okulistycznej, zabroniono mu czytać i z konieczności musiał swój kontakt ze światem zewnętrznym ograniczyć do słuchania radia.

Artykuł prof. Suchodolskiego wywołał liczne reperkusje, polemiki utrzymane w tonie dość jednolitym. Nazwano Profesora pamflecistą (dla osłody z temperamentem), że słucha „jednym uchem", bo rzeczywiście jego atak na Polskie Radio ogranicza się wyłącznie do I programu. Określenie PR jako „centralnego nadajnika muzyki rozrywkowej" uznano jako przesadzone i merytorycznie niesłuszne. I chyba w tym wypadku polemiści mają rację: kierownictwo PR dokonało pewnej „specjalizacji" programów, zachowując w sumie odpowiednie proporcje między muzyką a słowem mówionym. Profesor w swoim chyba zamierzonym subiektywizmie poszedł więc trochę za daleko.

Nie chcę w tym miejscu ani polemizować z Profesorem, ani relacjonować przedmiotu sporu. Chodzi mi jeszcze o coś innego. Polemika — i to jest bezsprzeczną zasługą stron w tym sporze — wykazała, że na temat radia w naszych środkach masowej informacji panowało kompletne milczenie. Taka jest niestety prawda, że oprócz pism specjalistycznych, popularne tygodniki społeczno-kulturalne, magazyny i gazety codzienne — praktycznie się tą problematyką nie zajmują. (N. b. uderzmy się w piersi — nasz tygodnik także.) W ten sposób zniknął z pola oceny tak ważny czynnik kształtujący świadomość, wiedzę i kulturę społeczeństwa, jakim jest radio.

### Wyzwolenie

Wybitny reżyser radziecki Jurij Ozierow zrealizował dzieło monumentalne. Jego pięć filmów pod wspólnym tytułem „Wyzwolenie" (czas projekcji ok. 7,5 godz) jest wspaniałą panoramą wydarzeń z lat 43—45, jakie rozgrywały się na wszystkich frontach drugiej wojny światowej. Reżyser w swoim filmie — rzecz przyjął konwencję niemal filmu dokumentalnego, starając się wiernie na podstawie dokumentów, kronik, relacji dowódców odtworzyć tamte czasy.

Twórca filmu podjął się zadania niezwykle trudnego, zdawałoby się niewykonalnego. A jednak? Film Ozierowa to zarówno podniosła relacja, jak i wzruszająca opowieść o żołnierskich losach, o walkach armii i dywizji, a także zmaganiach załogi jednego czołgu. Autorowi udało się dokonać również rzeczy niezwykle trudnej: w sposób najbardziej lapidarny potrafił przedstawić istotę sytuacji wojskowej i politycznej w konkretnym momencie wojny. Z takich krótkich, kilkusekundowych nie raz sekwencji udanie odtwarza sytuacje na całym froncie. Sytuację i atmosferę, co oddać jest jeszcze trudniej.

W ostatnią niedzielę był „Ognisty Łuk". W następnych dalsze odcinki.

### „Diabeł" Lwa Tołstoja

Lidia Zamkow tym razem wystąpiła jako reżyser i scenarzysta przedstawiając w Teatrze TV opowiadanie Lwa Tołstoja. Mamy więc „Diabła", którego autorstwo w takiej sytuacji (jak zwykle przy adaptacjach) ustalić dość trudno. W wypadku utworu klasyka nie jest to najważniejsze. Klasycy, jak wiadomo, stają się własnością wszystkich.

Bohater Tołstoja, młody ziemianin, najpierw romansuje z mężatką. Następnie, według nieśmiertelnego wzoru wszystkich romansów, żeni się z młodą panną z sąsiedztwa. Jednak to co w romansach zwykle wieńczy dzieło u Lwa Tołstoja jest zaledwie punktem wyjścia do psychologicznej analizy, do wiwisekcji dokonywanej na duszy człowieka, który zaczyna żyć na pograniczu snu i jawy. Wszystko tu się nieustannie przemieszcza, zmieniają się skale wartości. Niedawny, banalny romans staje się fascynacją, opętaniem. Życie, zdawałoby się gładkie i ułożone — nieustanną udręką.

Ten brak tożsamości, jak sądzę, zainteresował głównie Lidię Zamkow. A dzięki niej i nas wprowadził w kłopotliwą sytuację, jaką jest obcowanie z dziełem niejednoznacznym. Ale to bardzo dobrze, bo to znaczy, że mamy do czynienia z dziełem sztuki.

### Rozrywka

Coś się zaczyna w telewizyjnej rozrywce. Nie wiem, czy to już zasługa Jana Pietrzaka, który niedawno został szefem rozrywki w TV, czy przypadek. Trudno przecież tak od razu tę machinę ruszyć z miejsca. Ale fakty są faktami. W ostatnim czasie mieliśmy kilka udanych pozycji. Mam tu na uwadze przede wszystkim spektakle-recitale autorskie. A więc udany program Mieczysława Czechowicza, Ewy Wiśniewskiej, Małgorzaty Niemirskiej oraz ostatni — „profesora mniemanologii stosowanej" Jana Tadeusza Stanisławskiego, któremu udanie towarzyszyła kandydatka na docenta Krystyna Sienkiewicz.

Nie wdając się w oceny, powiem krótko: czekamy na dalszy ciąg tych sympatycznych, dobrze zrobionych propozycji.

TEATR

# Courage i Katarzyna

Courage — matka trojga dzieci. Stara, w brunatno szarych łachmanach Krzykliwa, bezustannie gadająca, ubiera w słowa to, co zwykło się nazywać życiowym doświadczeniem, ponurą wiedzą o niemożliwości zmiany losu, życia w którym „... **cnoty nie opłacają się, tylko niecnota, (bo) taki jest świat...**"

Była kiedyś bezduszną „hieną wojenną", głupią handlarą, ale taką w łódzkim spektaklu i w wykonaniu JADWIGI ANDRZEJEWSKIEJ nie jest.

Katarzyna — młoda dziewczyna o twarzy dziecka. W jasnym stroju. Nigdy nie urodzi dzieci, nie zazna miłości tylko gwałt (po tej scenie wbiega prawie naga). Wśród szpargałów, które wiezie matka, Katarzyna ukrywa na wozie żyjątko „bez wartości" — jeża. Marzy o czerwonych pantofelkach, jak marzą dzieci o gwiazdkowych prezentach. Jest niemową, ale słyszy i słucha, wrażliwie reagując na każde słowo, każdą krzywdę.

Ona nie mogła mówić — Brecht odebrał jej mowę, by, na tle często bezsensownej usprawiedliwiającej tylko niemoc, paplaniny innych postaci, z milczenia zrodzić najgłośniejszy protest, krzyk. Gdyby Katarzyna mówiła zagłuszyliby ją, może nakłonili do przejścia na stronę tych, którzy godzą się na takie a nie lepsze życie, na mechanizm niby niezależnej machiny (nie tylko wojny), na zamknięty krąg bez wyjścia, na przetrwanie, by było tylko co jeść i pić, gdzie spać.

Courage i Katarzyna. Dwie przeciwstawne postacie, wspólnie się warunkujące, ustanawiające całość.

Katarzyna jest „chora na litość" — powie o niej matka, która targowała się o syna, zmuszona była wyprzeć się go. Katarzyna nigdy nie urodzi dzieci. Ale broni je, swoje — nasze. Kiedy Chłopka nie widząc innej możliwości ratunku dla miasta jak tylko z boską pomocą, prosi słowami modlitwy „... uratuj dzieci nasze nie daj im zginąć, one są niewinne, nie wiedzą o niczym...", to Katarzyna właśnie w tym momencie decyduje się na czyn heroiczny, na śmierć. Ale i jej matka za chwilę ma „scenę" litości i niegodzenia się. Prawie w obłąkaniu mówi o zaśnięciu (nie śmierci) Katarzyny. Grób Kołyską. Kołysanka:

**„Śpij, moja dziecino, (...) ty będziesz w jedwabiach, koszulki aniołka, mama poprzerabia. Sąsiad ssie paluchy, piernik da ci mama i jeśli jest za kruchy, masz tu marcepana. Śpij moja dziecino, szura coś na strychu. Jeden w Polsce zginął o drugim ni słychu"** (zginął — nie zasnął!)

Wspaniała, naiwna, ludowa wiara, że dobrzy nie umierają, zasypiają tylko, by zmartwychwstać. Zaklęci rycerze, którzy obudzą się i przyjdą kiedy...

Matka już bez dzieci. Jeszcze jako Courage zapłaci za pochówek dziecka. Do mieszka ona zawsze wkładała ciułane, bronione grosze, teraz zeń wydobywa. I staje się (w łódzkim przedstawieniu) Katarzyną — ja przeciw przeklętemu kręgowi — kiedy krzyczy „pociągnę ten wóz sama!" i wlecze go za bramę — ołtarz ofiarny, łuk triumfalny, może do Wolności, Pokoju, co w zwykłych ludzkich wymiarach oznacza spokojny kąt, którego Courage przecież szuka. Może niepotrzebnie w łódzkim spektaklu wóz zjeżdżał ze sceny już wcześniej.

Niezwykle mocnym symbolem jest ta brama, na której leży córka Anny Fierling. Leży jak na czerwonym, rewolucyjnym sztandarze, obok stoi bęben, który przemówił w pełni ostrzegawczo dopiero w rękach niemowy. Ten rekwizyt to także istotny znak w przedstawieniu. Wnosi go Człowiek z bębnem i on pierwszy weń puka. Bębnem posłuży się Katarzyna, by ostrzec miasto.

Maszerujący żołnierze — marsz — werble. Ich uporczywe, coraz głośniejsze dudnienie jest największym ostrzeżeniem. W „Wojnie trojańskiej" Giroudaux mówi Parys: **„Wystarczy pieśń pokoju zaśpiewać z odpowiednimi minami i gestykulacją, żeby stała się pieśnią wojenną..."**, tak i tu można powiedzieć, że wystarczy usłyszeć werble w odpowiednim natężeniu, by ich dźwięk stał się najlepszym ostrzeżeniem.

W łódzkim przedstawieniu często na scenie pojawia się tłum, który jest świadkiem wydarzeń, lub niczym chór, wykonuje songi. Zawsze w kręgu — ograniczonym dekoracją. Dopiero po ofiarnej śmierci Katarzyny, jakby dzięki niej, wydobywa się on poza ten krąg. To chyba optymistyczna wizja, ale nasuwa się także inne skojarzenie. Tłum stojący za dekoracją, groźnie podświetlony, upodabnia się do ludzi zza drutów obozu koncentracyjnego. Już nikt nie ostrzeże miasta, już tylko największy mord w historii — wojna. To interpretacja retrospektywna. Nie wyklucza poprzedniej — obie są zawsze aktualne.

Była matka Courage bezduszną „hieną wojenną" w 1938 r. w społeczeństwie niemieckim taką być musiała. Dziś ożywiają ją inne impulsy społeczne a przede wszystkim inne przeżycia, innego narodu. Czy można więc być wiernym Brechtowi? Tylko w jeden sposób — nie kopiując Brechta aktualnego w 1938 r. Courage wtedy, niczym nie nauczona ochoczo wołała za wojskiem: „Hola, zabierzcie mnie z sobą". Ale dziś ten okrzyk nie ma sensu. Dziś: — „Pociągnę ten wóz sama" — brzmi i tragiczniej i jak mądra metafora.

Zabiegi adaptacyjne i inscenizacyjne, jak wspomniany „ruch" tłumu, ogranie rekwizytów, znaczące granie światłem, pozwoliły **Jerzemu Hoffmannowi** (autorowi także scenografii) na stworzenie interesującego spektaklu. Spektaklu, którym Teatr Powszechny zainaugurował nowy sezon i uczcił święto JADWIGI ANDRZEJEWSKIEJ — laureatki nagrody Ministra Kultury i Sztuki za 1973 rok. Uczcił — bo rola matki Courage stwarza możliwości koncertu gry aktorskiej i za taki **Jadwidze Andrzejewskiej serdecznie dziękujemy.** Szczególnie wspaniałe są rozmowy z Kucharzem i Pastorem oraz scena kołysanki.

Interesująca jest również postać Katarzyny, kreowana przez **Hannę Molendę.** Te dwie, w moim odczuciu, najistotniejsze postacie tego dramatu na łódzkiej scenie — po prostu wzruszają. W zespole wyróżnił się również **Włodzimierz Saar** jako Kucharz. Szczególnie w scenie komentowania songów wykonywanych przez Człowieka z bębnem **(Czesław Przybyła).** Inne postacie, niestety nie wychodzą poza barwę tła. — są często sztuczne.

PIOTR SŁOWIKOWSKI

# CENTRALNY NADAJNIK...

Dzięki zobowiązaniom produkcyjnym budowniczych elektrociepłowni nabawiłem się przeziębienia. Jeśli ktoś nie widzi związku przyczynowego między tymi faktami, chętnie wyjaśnię.

Otóż budowniczowie EC-III przyśpieszyli wykonanie planu podłączenia nowego kotła do sieci centralnego ogrzewania i już w październiku, kiedy akurat uderzyła na Polskę fala chłodów, wyłączyli ogrzewanie w mojej dzielnicy. Przeziębienie zresztą i tak by mnie nie ominęło, bowiem harmonogram przewidywał wyłączenie ogrzewania w grudniu. Z dwojga złego wolę się przeziębić w październikowe chłody niż w grudniowe mrozy, więc nie narzekam. Trochę się — oczywiście — dziwię, ale nie pierwsze to i nie ostatnie zdziwienie, jakie nam niesie rwący nurt współczesności.

A zatem leżę w domu owinięty w dwa pledy i słucham radia. Przedtem przeczytałem w „Literaturze" artykuł prof. Bohdana Suchodolskiego, który zadaje pytanie: „po cóż przekształcono Polskie Radio na centralny nadajnik muzyki rozrywkowej". Podejrzewałem w tym zgrabnym zdaniu niejaką przesadę, ale niestety.

Jest więc dzień 16 października, program pierwszy PR. Podkreślam: program pierwszy, bowiem jest to j e d y n y program radiowy, który swym zasięgiem pokrywa mniej więcej całą Polskę.

O godz. 8.10 zaczęły się melodie siedmiu stolic — następnie wpadliśmy na trochę do Koszalina, aby wysłuchać koncertu rozrywkowego i zaraz potem był „non stop wokalny" i melodie Radia Praha, a następnie melodie filmowe i tańce śląskie... Trochę odetchnąłem przy fragmencie powieści, ale tylko na 10 minut.

Dalej znów kazano mi wspomnać festiwal sopocki i potem słuchać „non stop" melodii rozrywkowych i 30-minutowego „Koncertu przed hejnałem".

Koło południa dano mi odpocząć — audycji „Z kraju i ze świata" słuchałem jak chórów anielskich, wreszcie jakieś ludzkie słowo, wreszcie ktoś do mnie zagadał.

Niestety po dwunastej rozpoczął się znów muzyczny kołowrotek. Koncert życzeń — 600 sekund dla gitarzystów — wieś tańczy i śpiewa — przeboje sprzed lat... Uspokoił mnie trochę „Rolniczy kwadrans" i doniesienia (pięć minut!) ze świata techniki... Słabo coś z tą techniką, jeśli starcza jej raptem na pięć minut.

Potem był koncert życzeń dla żołnierzy i muzyczny omnibus... W Polsce nic się ciekawego nie działo, bo audycja „Listy z Polski" trwała tylko pięć minut. I potem leciało na całego.

Muzyka rozrywkowa — w kręgu polskiej muzyki rozrywkowej — płyty z różnych stron — przeboje lat pięćdziesiątych — rytm, rynek, reklama — przeboje lat sześćdziesiątych... Zasnąłem kołysany muzyką.

Obudziłem się o 19,30. Właśnie nadawano koncert „Gwiazdy francuskich estrad", a zaraz potem był „Jazz i sweet po polsku"... Na kronikę sportową dano mi 10 minut i zaraz, żeby to marnotrawstwo czasu naprawić, pół godziny muzyki wiedeńskiej.

W kulturze nic ciekawego, aktualności kulturalne trwały 5 minut, za to „Rytm, taniec i piosenka" — trzydzieści pięć minut.

Na świecie też się nic ciekawego nie działo, audycja „Co słychać na świecie" trwała sakramentalne 5 minut. I zaraz potem „Rytm, taniec" (już bez piosenki) — czterdzieści minut. Jeszcze tylko korespondencja z zagranicy (pięć minut, oczywiście) i czterdzieści pięć minut jazzu...

Wracam do lektury artykułu prof. Suchodolskiego. Wypisuję z niego zdania, pod którymi chciałbym się podpisać.

„Gdy od lektury codziennej i tygodniowej przechodzimy do I Programu Radia, przechodzimy do zupełnie innej rzeczywistości. Porzucamy świat rzeczywisty i poważny, świat pracy i twórczości, świat kultury — przechodzimy w świat piosenek, amerykańskich i angielskich melodii jazzowych i kapeli ludowych..."

W ten to sposób mamy już dziś dwie Polski. Polskę rzeczywistą, prawdziwą — i Polskę radiową, propagowaną z uporem przez trzy czwarte doby na falach centralnego nadajnika muzyki rozrywkowej.

WIDOK

# FRYZURY

ANDRZEJ GRUN

PIERWSZA PARA ROKU !!!

# BALLADA Z MARCHEWKI

Na początku Andrzej Makowiecki napisał reportaż ze wsi Marchewka w powiecie pajęczańskim, gdzie — jak to udowodnił sąd — grupa mieszkańców rabowała pociągi, zatrzymujące się pod semaforem. Proceder swój uprawiali przez czas długi, ale — jak głosi ludowa mądrość — „przyszła kryska na Matyska". Potem długo, długo nic nie było, bo trwało dochodzenie i przygotowywano proces sądowy. Kiedy już sprawa była w sądzie, do redakcji przyszedł list pełen niepokoju o przyszły los „marchewkowego gangu". List opublikowaliśmy, uzupełniając go komentarzem, że chętnie udzielimy miejsca „odnośnym władzom", gdyby chciały wyjaśnić cośkolwiek zaniepokojonej opinii publicznej z Marchewki.

Niestety. Nasze intencje zrozumiano opacznie i „odpowiednie władze" poczuły się dotknięte. Zawsze uważałem, że obrażanie się — może i dobre w życiu rodzinnym i towarzyskim — w życiu publicznym prowadzi na manowce. Wyjaśniliśmy więc Czytelnikom i daliśmy zadośćuczynienie „odpowiednim władzom" publikując „Wyrok na Marchewki", gdzie odnotowaliśmy postanowienia sądu, a także zaznaczając, że wyrok jest nieprawomocny, gdyż został poddany rewizji. I wydawało się nam, że sprawę „mamy z głowy". Byliśmy jednak w błędzie.

Do redakcji nadszedł następny list. Nim go przytoczę kilka słów wyjaśnienia. Pierwszy list, który wywołał oburzenie „odnośnych władz", podpisany był imieniem i nazwiskiem i nadany został w Katowicach. List drugi jest już anonimem. Posiada on jeden załącznik. Ale o tym później. Oto treść listu:

**„W związku z artykułem „Wyrok na Marchewki" należałoby go jeszcze uzupełnić, że łupem bandy były jeszcze rowery motorowery radia, telewizory, wełna i 500 żarówek do Fiata i inne.** (Zachowuję pisownię oryginału — Rodak.)

**Wieś jest poruszona niskimi wyrokami. Największe wyroki mają tacy 18—19 letni i oni mają przepadek mienia a przecież oni nic nie mają.**

**Cz. Wlaźlak między jednym a drugim aresztowaniem wystawił sobie dom rodzina spodziewa się że wyjdzie wiosną i dom wykończy. Koło sprawy było dużo szumu ludzie we wsi odetchnęli a po sprawie, ci co w jakiś sposób pomogli milicji teraz się boją.**

**Panie Redaktorze, czy wsi nie można uwolnić od złodziei"**

niejedne ręce ściskały i niejedne oczy czytały. Na kartce tej do niego również, wymiętą, pożółkłą i pomoczoną kartkę, którą nie jedne ręce ściskały i nie jedne oczy czytały. Na kartce tej przepisano na maszynie „Balladę o Marchewce".

**„Ballado melodią rozśpiewaj się dźwięczną**
**O wiosce Marchewka w powiecie Pajęczno**
**Maleńka Marchewka cichutka Marchewka na boku**
**A w danej Marchewce gangsterzy co kroku**

Nie znam się na poezji, od tego jest KRYTYK, który ocenia poetyckie próby młodych. Przytaczam fragment anonimowej ballady w zupełnie innym celu. Jest ona dla mnie odpryskiem zjawiska społecznego. Stosunków panujących na wsi, gdzie opinia publiczna w takiej właśnie formie piętnuje zło i występek. Proszę zwrócić uwagę, że w tym numerze „ODGŁOSÓW" publikujemy reportaż Ryszarda Binkowskiego z innej wsi — Mazewa. Tam również społeczeństwo terroryzowane jest przez grupę nieodpowiedzialnych ludzi, usiłujących wpływać na życie całości w imię własnych, egoistycznych interesów.

Między Marchewką i Mazewem można postawić znak równości, istota zjawiska jest taka sama, chociaż przyczyny są różne. Tu i tu garstka ludzi nadaje ton społecznemu życiu wsi, działając wbrew społecznemu interesowi. A większość jest zastraszona, nie zgadza się, oburza, ale milczy, bo boi się. Są to zjawiska nienormalne, z którymi nie wolno się godzić.

Trzeba sięgnąć do zdrowej części społeczeństwa, do tych ludzi, którzy nie mogą spokojnie patrzeć na zło, popierać ich, umacniać ich słuszne działanie, troszczyć się o ich spokój i bezpieczeństwo. Inaczej nie wyplenimy zła z żadnej społeczności. A plenić musimy. I dlatego wydaje mi się, że warto wnikliwiej zainteresować się mieszkańcami Marchewki.

Tym razem odstąpiłem od swojej zasady i opublikowałem dwa anonimowe teksty. Uczyniłem to tylko dlatego, aby zwrócić uwagę na niezdrową atmosferę panującą nadal w Marchewce. A przykład Mazewa z reportażu Ryszarda Binkowskiego pokazuje, że Marchewka nie jest wyjątkiem. „Odnośnym władzom" życzę powodzenia w rozwiązywaniu konfliktów w Marchewce, Mazewie i gdzie indziej.

RODAK

**PS.**

Już po napisaniu tego felietonu do redakcji przyszedł kolejny list z Marchewki. Tym razem podpisany imieniem i nazwiskiem, choć autor prosi o zachowanie go tylko do wiadomości redakcji. Postanowiono go jednak nie publikować, gdyż nie wnosi nic nowego do listów już w tej sprawie publikowanych.

RODAK

# NIE PRZESADZAJMY

SPORT

**Z wielkim ukontentowaniem doniosły łódzkie gazety o udziale Mirosława Bulzackiego w treningu macierzystej drużyny — ŁKS. Jednocześnie poinformowano kibiców, że Jan Tomaszewski nie wziął udziału w tym treningu, bo** „pozostał w Warszawie do dyspozycji telewizji. Red. Irena Dziedzic przedstawi go bliżej polskim telewidzom w niedzielnym „Tele-Echu" **Najbliżej przedstawił się Jan Tomaszewski polskim i nie tylko polskim telewidzom w słynnym już meczu z 17 października 1973 roku.**

**Nie mam nic przeciw Janowi Tomaszewskiemu. Przeciwnie — jak wielu kibiców nie tylko w Polsce — uważam go za znakomitego bramkarza, choć nasi angielscy przeciwnicy próbowali go ośmieszać, nim pokazał im, jak trzeba bronić bramki. Ale to już historia. Teraźniejszość — to właśnie codzienna żmudna praca nad utrzymaniem formy i doskonaleniem umiejętności, aby w przyszłości było jeszcze lepiej i aby los polskiej jedenastki w Mistrzostwach Świata nie zależał tylko od formy Jana Tomaszewskiego.**

**Nie mam też nic przeciwko występom Jana Tomaszewskiego w „Tele-Echu" pani Ireny Dziedzic, chciałabym tylko skromnie przypomnieć, że był już taki sportowiec, z którego Polska Telewizja uczyniła gwiazdę i który przestał zaraz potem odnosić sportowe sukcesy. Nazywał się on Władysław Komar. Wybór między sportem a gwiazdorstwem w telewizji, to — oczywiście — osobista sprawa Władysława Komara. Przypuszczam, że telewizja zapraszając go do studia nie korzystała z pomocy milicji obywatelskiej. Występowanie przed kamerami TV daje niewątpliwie satysfakcję oraz popularność, ale czasem też przeszkadza w podstawowych czynnościach. Zresztą nie tylko przed kamerami telewizji. Jan Tomaszewski — jak wiem — ma już dość obfity kalendarzyk spotkań: z młodzieżą, żołnierzami, członkami kół Ligi Kobiet, załogami zakładów pracy i tak dalej. Władysław Komar też jeździł z odczytami po kraju. Kochani! Nie przesadzajmy! Nie zapominajmy, że za osiem miesięcy będą Mistrzostwa Świata. O czym zresztą zupełnie przytomnie stara się w wywiadach prasowych przypomnieć komu trzeba trener Kazimierz Górski.**

**Przesada może być czasem uroczą wadą, a czasem szkodliwą. Przesada stała się cechą charakterystyczną wielu opinii na temat występu polskiej jedenastki na Wembley. „Literatura" poświęciła temu wydarzeniu całą kolumnę druku, gdzie swoimi przemyśleniami dzieli się aż czterech autorów, ukrywających się pod pseudonimami „Rezerwowy" oraz, gdzie rysuje Dudziński. Ba! Nawet Stanisław Dygat w „Rozmyślaniach przy goleniu" zwierza się, że otrzymał kilka telefonów od znajomych, którzy domagali się, aby** „nie pisał o niczym innym, a tylko o tym meczu". **I Stanisław Dygat uległ, acz niechętnie. Ale to już sprawa Stanisława Dygata i „Literatury". Gorzej tylko, jeśli w opinii publicznej utrwali się przekonanie, że największym naszym osiągnięciem była obrona przed Anglikami i awans do finałów Mistrzostw Świata. A tam możemy zająć już zaszczytne ostatnie miejsce.**

**W potoku zachwytów, ochów i achów powoli giną głosy rozsądku, które starają się uprzytamniać, że Anglicy byli w tym meczu dużo lepsi. I znów z satysfakcją muszę odnotować opinię trenera Kazimierza Górskiego, który powiada: „zdaję sobie doskonale sprawę z braków, jakie ma jeszcze nasza reprezentacyjna drużyna". Dobrze byłoby mieć świadomość tego, co osiągnęliśmy i świadomość tego, co musimy jeszcze osiągnąć. Ale dobrymi chęciami — jak powiadają — piekło jest wybrukowane. Dobre chęci nie wystarczą do pokonania rywali na boiskach Monachium.**

**Wśród wielu opinii na temat pamiętnego spotkania z 17 października 1973 roku są i te, wedle których był to sukces nie tylko sportowy. To prawda. Jedenastu Polaków zrobiło ogromnie dużo dla popularności naszego kraju. Ale my dziś i nie tylko w sporcie musimy więcej uwagi przykładać do tego, co mamy osiągnąć niż zachwycać się tym, co już osiągnęliśmy. Bez dalszej pracy możemy tylko zaprzepaścić nasze osiągnięcia. W sporcie również.**

**Jedna z gazet napisała:**

„Tak bowiem jak sport jest ściśle związany z tym wszystkim, co dzieje się w naszym kraju, uzależniony od zmian zachodzących w życiu społecznym i gospodarczym, tak samo pewne wzorce sportowe powinny emanować na określone sfery naszej działalności".

**A inna powtarza opinię swego czytelnika:**

„Panie, Polak jak się przyłoży, to wszystko potrafi!"

**Jeśli już koniecznie chcemy wiązać mecz z 17 października 1973 roku z codzienną pracą narodu, to przede wszystkim zalecałabym skromność i nie wzywała do zrywów. Polak — tego starają się uczyć rozsądnie myślący ludzie — powinien przykładać się na co dzień, powinien przede wszystkim myśleć o tym, jak robić najlepiej. I ta codzienna, rzetelna praca wielu tysięcy skromnych Polaków powinna być przykładem dla sportowców. Stawiamy dziś przed sobą ogromne zadania i aby je wykonać potrzeba nam solidnej pracy, potrzeba nam jej popularyzacji, wyrabiania w społeczeństwie przekonania, że nie zrywami, nie cudami dokonamy zasadniczej przebudowy kraju, ale systematyczną pracą, w której najpełniej wykorzystamy talenty, wiedzę i umiejętności nas wszystkich. A więc to raczej** „określone sfery naszej działalności" **powinny być również przykładem dla sportowców. Nie przesadzajmy, że jedenastu Polaków na stadionie w Wembley pokazało nam nagle jak trzeba pracować.**

**Pisałam, że ktoś porównał mecz z Anglią do „obrony Częstochowy". Stanisław Dygat w „Literaturze" zwierzył się, że kiedy myśli o tym zdarzeniu pojawia się mu ono przed oczami** „jakby apoteoza w stylu polskich prymitywów ludowych z dodatkiem Grottgéra". **A ja do tego dodałabym jeszcze tylko to, że mieliśmy niezłą sportową jesień. I obok sukcesów naszych piłkarzy były sukcesy kolarzy, zapaśników, dziesięcioboistów i żużlowców. Ale były też i słynne lania. Więc nie przesadzajmy z tą apoteozą jedenastu piłkarzy. Nie róbmy im tym krzywdy.**

BOGDA MADEJ

# RAPORTY PROWOKATORA

**„Załączając przy niniejszym oryginał listu K. Marksa, mam zaszczyt prosić Pana o radę w sprawie przyszłego Stowarzyszenia Międzynarodowego, czyli Londyńskiej Rady Generalnej. Ode mnie zależy decyzja przyłączenia wszystkich emigrantów polskich do Stowarzyszenia Międzynarodowego lub Powszechnej Ligi Republikańskiej, która wprawdzie chwili obecnej nie posiada szczególnego znaczenia, jednakże w przyszłości niewątpliwie je zdobędzie. Czy wyzyskać tę organizację przeciwko Międzynarodówce? Wpływy, jakie posiadam, dają mi możność nie tylko osiągnięcia tego celu, lecz nawet usunięcia Marksa i kierownictwa i ujęcia zarządu w swoje ręce, znam bowiem prawie wszystkich członków Rady (...) Zamiast uchodźcy z Paryża, komunisty Walerego Wróblewskiego, mogę wybrać człowieka bardziej nam oddanego i stopniowo przejąć władzę w swoje ręce (...)".**

Mistyfikacja to, czy prawda? Kim był człowiek, który w liście z Londynu, 27 listopada 1871 roku, którego fragment przytoczyłem, oferował **hr. P. Szuwałowowi**, głównemu naczelnikowi III Wydziału i szefowi sztabu Korpusu Żandarmów ni mniej, ni więcej, jak... wyeliminowanie K. Marksa z Rady Generalnej Międzynarodówki, odsunięcie W. Wróblewskiego, a nawet objęcie przez samego siebie kierownictwa Międzynarodówki?

Używał nazwiska: **Albert Potocki**, w rzeczywistości zwał się jednak zgoła inaczej. Oficjalnie był właścicielem niewielkiego, ale wcale nieźle prosperującego antykwariatu, nieopodal British Museum, człowiekiem rzekomo o przekonaniach demokratycznych, który obracał się w kręgach polskiej i rosyjskiej emigracji w Anglii, ba, brał czynny udział w emigracyjnym życiu politycznym. Utrzymywał stosunki **z K. Marksem, W. Wróblewskim, A. Hercenem, P. Ławrowem** i dziesiątkami innych osobistości, którymi bardzo interesowały się władze carskie, uchodził **za człowieka** o poglądach patriotycznych i zarazem radykalnych, nie skąpiącego grosza na cele publiczne, poza tym chętnie służącego pieniężnymi pożyczkami, z których niejeden korzystał.

Postać mniemanego hr. Potockiego, który naprawdę zwał się **Julian Aleksander Balaszewicz** i był najwybitniejszym prowokatorem i agentem caratu wśród polskiej, a niebawem i rosyjskiej emigracji, zrazu we Francji, a potem w Anglii, od dawna zwróciła uwagę rosyjskich i polskich historyków. Zajmowali się nim **M. K. Lemke, P. M. Kantor, J. Kucharzewski, J. Iwaszkiewicz**, ostatnio zaś **W. A. Djakow**, ale dopiero **R. Gerber** opublikował, w oparciu o materiały archiwalne odnalezione w Moskwie, Warszawie i Krakowie obszerny wybór **„Raportów szpiega"** (2 t. PIW, 1973).

Są źródłem bardzo cennym, ze względu na tysiące zawartych w nim informacji, w znacznej części dotyczących wciąż mało znanych spraw ruchów rewolucyjnych, a jednocześnie niezmiernie stronniczym i tendencyjnym. Prowokator, któremu rzeczywiście udało się zyskać wysoką pozycję wśród emigracji, układał swe raporty z myślą o awansach i nagrodach, przedstawiał siebie zawsze w jak najkorzystniejszym świetle, zaś nie hamował się w niczym, gdy chodziło o wrogów caratu, wielbił przedstawicieli władzy, chyba, że i na nich pisał donosy. Był megalomańskim samochwałą, czego jaskrawym przykładem są nierealne propozycje, zawarte w przytoczonym fragmencie raportu z 1871 roku, ale jednocześnie człowiekiem posiadającym niejednokrotnie bardzo dobre rozeznanie stosunków, jak na to wskazuje chociażby trafne rozpoznanie roli K. Marksa w Pierwszej Międzynarodówce. Był agentem potrafiącym działać sprawnie i skutecznie, chętnie uciekającym się do prowokacji, człowiekiem zręcznym, chciwym i ambitnym, pozbawionym skrupułów, nienawistnym do wszystkiego, co było tak bliskie tym, wśród których żył i działał, sprawy wyzwolenia narodowego i społecznego. Miarą jego perfidii jest choćby ten tylko drobny fakt: jako **A. Potocki**, członek Naczelnego Komitetu Emigracji Polskiej (którym był rzeczywiście) ogłosił w 1863 r. ulotny druk, zawierający wiersz **„Do broni"**, do melodii **„Marsylianki"**. W tym samym czasie był całkowicie pochłonięty pracą szpiegowską.

**Ludwik Mierosławski, Aleksander Hercen, Michał Bakunin, Jan Nepomucen Janowski, Antoni Żabicki, Walery Wróblewski, Karol Marks, Piotr Ławrow**, to tylko niektóre z setek nazwisk, przewijających się w blisko pół tysiąca raportach szpiega

LEKTOR

# MA·GA·ZY·NEK

## INWAZJA Z KOSMOSU

Dzieją się na świecie rzeczy, o których nie śniło się filozofom. Oto społeczeństwo południowych stanów USA zostało zaalarmowane pojawieniem się nowych „obiektów latających". Reporterzy tamtejszych gazet sfotografowali nawet tajemnicze światła na niebie, a gubernator jednego ze stanów, który osobiście widział takie światła, wezwał komendanta miejscowej policji i nakazał mu wszczęcie śledztwa, które ustaliłoby, skąd się te światła wzięły i za czyją sprawą?

Nad miastem Greenwood w stanie Delaware pojawił się autentyczny latający talerz. Był on jednak – jak się później okazało – pochodzenia ziemskiego. Zbudowało go czterech młodzieńców, członków ochotniczej straży pożarnej, którym przewodził Clayton L. Haymond. Policji tamtejszej dowcip ten bardzo się nie podobał i dała temu wyraz w sposób niezbyt przyjemny dla młodych konstruktorów.

Wiadomości o pojawieniu się tajemniczych „obiektów latających" wywołały poważne zaniepokojenie wśród społeczeństwa na południu USA. Do władz zgłaszali się ludzie, pytając, czy to już inwazja z Kosmosu? Niestety, nie mogli otrzymać żadnej odpowiedzi, bo władze te nie wiedziały nic konkretnego na ten temat.

Dopiero komunikat Państwowego Biura Pogody wyjaśnił sytuację. Okazało się, że w tym czasie i w tej części USA wypuszczano balony meteorologiczne, a jeden z balonów o średnicy 50 m wzniósł się na wysokość 18 km. Na powłoce balonów odbija się światło słoneczne i zjawisko to może być widziane w dużym promieniu i długo po zapadnięciu zmroku. Prawdopodobnie tajemnicze zjawiska nie z tej ziemi widziane na południu USA takie znajdują wytłumaczenie.

Ale kto to wie naprawdę?

## ZAGROŻENIE

Wydawnictwom francuskim — jak poinformował „Express Wieczorny" we własnej korespondencji z Paryża — zagraża poważne niebezpieczeństwo. Tylko w ubiegłym roku wykonano we Francji 11 miliardów fotokopii. W nowoczesne aparaty do kopiowania wyposaża się francuskie szkoły, biblioteki i instytuty naukowe. Trzy wielkie wydawnictwa francuskie postawiły w stan oskarżenia Krajowy Ośrodek Badań Naukowych, który w swojej bibliotece zainstalował urządzenie do wykonywania fotokopii i każdy korzystający z biblioteki może za niewielką opłatą zrobić sobie fotokopię interesującej go partii z każdej książki.

Technika fotokopiowania jest nieuchronnym elementem rozwoju cywilizacji — wołał w paryskim sądzie adwokat Krajowego Ośrodka Badań Naukowych. Zagrożenie przyszłości książki, to zagrożenie rozwoju wiedzy — odpowiadał mu adwokat strony oskarżającej. A Francuzi nadal spokojnie robią fotokopie interesujących ich materiałów drukowanych. Jak oblicza się w tym roku wykonają oni o 15 proc. więcej fotokopii niż w roku ubiegłym. A zrobią to tym łatwiej, że systematycznie otrzymują do dyspozycji coraz to nowocześniejszy sprzęt do kopiowania.

Nam na razie to niebezpieczeństwo nie grozi.

## POCZTA POWIĘKSZEŃ

„Powiększenia" otrzymały następującej treści list:

„W nawiązaniu do — Wezwania — w rubryce „Powiększenia" w nr 41 „Odgłosów" z 14.10.73 r. uprzejmie dziękujemy za zrozumienie problemu i pomoc w propagowaniu wśród rolników skórowania ubitych zwierząt.

Hodowcy nie zawsze chcą się trudzić zdejmowaniem skór, a te nadal są towarem deficytowym; braki państwo wyrównuje importem. Szkoda, że nie wydrukowano ogłoszenia w całości, gdyż wówczas w większym jeszcze stopniu spełniłoby swoją rolę. Ubolewamy natomiast nad faktem, że dziennikarz polskiej gazety kwestionuje wyraz (bo prawdopodobnie o to chodzi), o którego istnieniu łatwo mógł się przekonać zaglądając na str. 332 tomu ósmego Słownika Języka Polskiego pod redakcją Witolda Doroszewskiego. Informujemy, że właściwe, fachowe zdejmowanie skóry: odpowiedni profil, bez zacięć, bez tłuszczu, to właśnie skórowanie i termin ten nie jest obcy rolnikom.

Jesteśmy przekonani, że „Powiększenia" stwierdzą w najbliższym numerze „Odgłosów", że „skóruj" jest wyrażeniem prawidłowym, a jeśli chodzi o skóry dla przemysłu — niezastąpionym.

A „GOSPADARZU" — to już wy.

**MIECZYSŁAW KICIŃSKI**
Zastępca Dyrektora
d/s Handlowych

„POWIĘKSZENIA": Dziękujemy za miły list. Istotnie, przyznajemy, że wszystkie użyte w haśle wyrazy znajdują się w „Słowniku Języka Polskiego" Polskiej Akademii Nauk, wydanego pod redakcją Witolda Doroszewskiego.

Jednocześnie pozwalamy sobie zwrócić uwagę, że w tymże Słowniku na str. 42f (tom II) znajduje się wyraz na „d", na str. 1397 (tom III) — na „k", na str. 326 (tom VI) na „p", za które to wyrazy użyte publicznie grożą sankcje karne.

Prosty stąd wniosek, że polskiemu dziennikarzowi niekoniecznie musi się podobać każde hasło ułożone z wyrazów, znajdujących się w „Słowniku".

Do błędu w słowie „gospodarz" przyznajemy się. Ubolewamy jednakowoż nad brakiem poczucia humoru. Ale to już inna sprawa.

## POWIĘKSZENIA

### CHORĄŻY

**Zbigniew K. Rogowski** z „Przekroju" (ten sam, co miewa „dziwne pomysły") ujawnił ostatnio, że piosenkarz Stan Borys nazywa się naprawdę Guzek. Pseudonim — Borys — jak pisze Z. K. Rogowski, jest wynikiem wschodnich koligacji piosenkarza, natomiast „Stan" według Z. K. R. ma podobno oznaczać po staropolsku „niosącego chorągiew".

Prawda jest nieco inna. Aleksander Brückner twierdzi bowiem, że „stan" to prasłowiańska nazwa... namiotu. Chorągiew to „stanica", a w ogóle nieco śmieszne są te prasłowiańskie rodowody na siłę przypisywane piosence i piosenkarzom. Stan Borys jest dobrym piosenkarzem, bez względu na to, czy się nazywa Guzek i czy stroi się czy nie w metafizyczne szaty „niosącego chorągiew".

### CAŁY PRODUKT?

Reporterka „Expressu Ilustrowanego" pisze o pewnym studencie Studium Estradowego: **„W tym gronie surowych młodych ludzi jest on już półproduktem".**

Może to i prawda, ale czy takie pisanie można nazwać całym produktem?

### PARADA TYTUŁÓW

**„Studenci do kielni"** — nawołuje „Dziennik Łódzki". A czy nie lepiej... do nauki?

**„Słoma niepotrzebna"** — informuje „Express Ilustrowany". A jeśli trzeba będzie wzniecić jakiś słomiany ogień — co wtedy?

### BANKI

Mamy już — na łamach prasy — „Bank pomysłów", „Bank informacji", „Bank krwi", „Bank 30 miliardów"... Ostatnio przybył nowy bank. „Express Ilustrowany" donosi — „Bank prefabrykatów dla budownictwa".

**Przydałby się jeszcze jakiś bank z forsą.**

### KRYTYK

Marcin Bajerowicz z poznańskiego „Tygodnia" takie stawia zarzuty książce Krzysztofa Nowickiego: „uciążliwa w czytaniu, pozbawiona konkretów... Spieszymy donieść, że podobne cechy posiada choćby „Ulisses" Joyce'a, czy „Proces" Kafki... Natomiast bardzo konkretne są „kroniki wypadków", a niezbyt uciążliwe w czytaniu są opowieści z serii „Ewa wzywa 07". Można także oglądać telewizję...

„Tydzień" zresztą też jest uciążliwy w czytaniu.

Marcin Bajerowicz wyznaje, że radzili mu rozsądni ludzie, aby na łamach „Tygodnia" nie pisał o literaturze. Święta racja — trzeba słuchać rad rozsądnych ludzi.

### KTO JEST STARY?

**„Stary łódzki robotnik, Feliks Bąbol, napisał książkę — „Łódź, która odeszła"** — tak przytomnie zrecenzował warszawski „Express Wieczorny" książkę naszego kolegi, kierownika łódzkiej redakcji Polskiej Agencji Prasowej.

Z upoważnienia Feliksa Bąbola informujemy, że wcale nie jest on taki stary.

### BOMBARDIER

**Jerzy Kataraśliński** nawołuje pisarzy w „Dzienniku Łódzkim": **bombardować publikacjami „Odgłosy" prowadzone coraz dynamiczniej przez Jerzego Wawrzaka, bombardować może i prasę codzienną..."**

Dla mnie bomba!

## NASTOLATKI NIE LUBIĄ WIERSZY?

Przypadkowo wpadł mi do rąk zeszyt jakiegoś dziewczęcia. Co prawda napis na okładce głosił, że jest to zeszyt do śpiewu, ale była to — o dziwo! — antologia 120 wierszy. Oczywiście utwory były o miłości głównie i o cierpieniach kochania tak, jak to widzą młode oczy i naiwna wyobraźnia.

Poczytajmy:

**Są dni szczęścia i radości**
**są też smutne dni**
**wśród tych uczuć najgorętsze**
**są miłosne łzy**
**Czy można w miłości wybierać**
**dręczy mnie to pytanie.**
**Nie można przecież w chłopcach przebierać**
**i to jest trudne zadanie.**
**Wiem, że cię oczekuje**
**bo ty już do mnie nie wrócisz**
**A może tak jak mnie**
**kilka dziewcząt porzucisz**
**Chcę byś długo patrzał w oczy**
**słowa „kocham" słuchać chcę**
**A gdy w słowo to uwierzę**
**Wtedy dam ci serce me.**

I tak dalej i tak dalej... Oczywiście można kpić z tych — powiedzmy to wprost — grafomańskich utworków. Jest to bowiem klasyczny przykład literackiej tandety. Ale myślę, że warto też zastanowić się i zapytać — dlaczego?

Dlaczego oni piszą i przepisują takie wierszydełka o miłości, samotności, łzach i sercach? Wiem, że takie wzruszenia są im potrzebne, ale dlaczego nie opierają tych wzruszeń o materiał literacki w lepszym gatunku?

Otóż dlatego, że mało jest prostych, wzruszających wierszy o miłości. Gałczyński, który był fascynacją mojej młodości, dziś jest już klasykiem z podręczników i wypisów literatury. Małgorzata Hillar — o kilka długości za Mistrzem Ildefonsem — też swego czasu była poczytna wśród nastolatków — dziś zamilkła jako poetka. I chociaż jej wiersze były dość banalne, to przecież zaspokajały tę naturalną potrzebę poetyckich wzruszeń: mówienia o miłości, sercu, cierpieniach kochania.

Dziś coraz większa powstaje próżnia. Pisać o miłości, smutku, sercu — to dla większości współczesnych poetów rzecz wstydliwa i poezji niegodna.

Otwieram najnowszy numer „Życia Literackiego", są tam wiersze, oczywiście. Ale co możemy z tych wierszy zaproponować zakochanej dziewczynie? Czy wyznanie poety:

**„Spocone monologi obłapują się wpół**
**zdania, beznadziejnie szukając wciąż od nowa**
**logicznego wyjścia. Robimy więc pod siebie**
**zbratani tą niespodziewaną intymnością..."**

Do diabła z taką intymnością, która robi pod siebie!

A może zakochanej nastolatce zaproponować taki wiersz:

**„Powietrze**
**Ma wiele czasu**
**Zaopiekuje się nim**
**Gdziekolwiek**
**wiatr**
**Być może".**

Ano, być może się zaopiekuje. Ale kto się zaopiekuje młodzieżą chorą na potrzebę wzruszeń? Dlaczego nikt im nie podsunie pięknych liryków Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej, Szymborskiej, Wierzyńskiego — dlaczego nikt im nie pomoże dotrzeć poza podręcznikowe wiersze Gałczyńskiego, Tuwima (choćby „Siódma jesień"), dlaczego nikt im nie powie, że proste, wzruszające liryki znaleźć można w antologiach poetów Młodej Polski...

Nastolatki lubią wiersze, ale nie wiedzą, gdzie ich szukać. Nie znajdują wzruszeń w utworach drukowanych w prasie literackiej, znajdują je zatem w amatorskim liryczeniu.

**Jerzy Wilmański**

SEX W LITERATURZE JUŻ W NASTĘPNYM NUMERZE

## CHOINKA

Bufetowa dźwigała już którąś z rzędu skrzynkę „czystej z czerwoną kartką". Trzyosobowa orkiestra z trudem rzępoliła smętne tango, z tęsknotą spoglądając na raczących się alkoholem mężczyzn. Większość z nich z ledwością trzymała się na nogach. Stojące na stoliku przy bufecie obwieszone bombkami zielone drzewko ledwo było widoczne zza kłębów dymu. Właśnie z jego przyczyny odbywała się zabawa. Była to bowiem tradycyjna choinka, zorganizowana przez Komitet Rodzicielski (!?) przy Szkole Podstawowej w Majkowicach.

Około godz. 23.00, kiedy to choinkowa zabawa na dobre się już rozkręciła, salę w remizie Ochotniczej Straży Pożarnej w Majkowicach wypełnił pisk kobiet i podniesione głosy mężczyzn.

— Biją się!

I jak to zazwyczaj bywa, poszło o to, że mężczyzna z Bąkowej Góry poprosił do tańca dziewczynę z Łęgu. Chłopcy z Łęgu nie mieli wcale ochoty na tańce i to z nią akurat, pochłonięci byli bowiem bez reszty piciem. Kiedy jednak w ten sposób ktoś ich obraził, trudno było to puścić płazem. Ruszyli więc ławą na nieszczęśnika, wygrażając pięściami. Mniej pijani jakoś złagodzili konflikt, a awanturników usunięto z sali. Zabawa trwała dalej.

Łęgowianie byli niepocieszeni. Dla nich zabawa jeszcze się nie zaczęła. Stali w grupie pod remizą radząc, co robić dalej.

Parę minut po północy Bogdan S. postanowił udać się do domu. Kilka minut później powrócił na salę.

— Pobili mnie chłopaki z Łęgu — powiedział z trudem. — Mam chyba złamaną szczękę, zawieźcie mnie do szpitala ledwo stoję na nogach...

Zbigniew S. wziął brata pod ramię i razem udali się do lekarza. Za nimi szedł ojciec. Kiedy przechodzili obok grupki stojących łęgowian, idący za nimi sąsiad wskazał jednego z mężczyzn — Jana Kulawiaka, mówiąc:

— To ten uderzył twojego syna.

W tym momencie stojący obok Kulawiaka człowiek podbiegł do Stanisława S. i uderzył go w głowę wyciągniętym z kieszeni przewodem gumowym. Uderzony upadł. Inni nie próżnowali, bili go czym popadło, kopali. Stanisław S. poczuł krew. Ostatkiem sił wstał i uciekł. Zabawa w remizie trwała w najlepsze.

Chirurg stwierdził u Bogdana S. złamanie w dwóch miejscach żuchwy. Jego ojciec doznał lżejszych obrażeń.

Milicja ustaliła, że bili: Józef Skrobek, Jan Kulawiak, Ryszard Sala i Stefan Sala oraz Stanisław Stępień. Ustalono też, że pobito Bogdana S., bo ten śmiał zwrócić uwagę łęgowianom, że zachowują się hałaśliwie i zakłócają porządek.

Sąd surowo potraktował chuliganów z Łęgowa. Jan Kulawiak skazany został na 2 lata pozbawienia wolności, Józef Skrobek na 1,6, a Ryszard Sala, Stefan Sala i Stanisław Stępień otrzymali karę 1 roku pozbawienia wolności.

**MIECZYSŁAW STOLARSKI**

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6,50 zł, kwart. 19,50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 2372. T-4. Nr indeksu 37006